

ABC

Katarzyna
Gacek

ŚMIERĆ na Zanzibarze



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

ŚMIERĆ na Zanzibarze

Katarzyna Gacek



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

*Zosi i Ryszardowi.
To była podróż mojego życia, dziękuję!*

PROLOG

Kolejka WKD o szóstej dwadzieścia z Warszawy była prawie pusta. W pierwszym wagonie oprócz mężczyzny jechało zaledwie kilku zaspanych pasażerów.

On jednak nie mógł sobie pozwolić nawet na chwilę nieuwagi. Na każdej stacji przyglądał się czujnie wsiadającym, analizował ich wygląd i zachowanie. Gdyby ktoś wydał mu się podejrzany, natychmiast opuściłby pociąg.

Im dalej od Warszawy, tym stawał się spokojniejszy. Wyglądało na to, że uda mu się dojechać do celu bez komplikacji. Nikt go nie śledził. Jego plan awaryjny sprawdzał się całkiem dobrze. Jeszcze tylko ostatni etap i będzie bezpieczny.

Za Podkową Leśną tory się rozdzieliły. Kolejka przetoczyła się przez zwrotnicę i ruszyła w kierunku Grodziska. Po kolejnym kwadransie podróży zagajniki młodych brzoź za oknem ustąpiły miejsca jednorodzinny domom, a miejsce ścieżek zajęły asfaltowe jezdnie, na których co kilkadziesiąt metrów puchły pagórki spowalniaczy. Mężczyzna znał ten krajobraz bardzo dobrze. Wiedział, że pociąg za chwilę zwolni i przy wtórze przeraźliwego pisku hamulców zatrzyma się na stacji Grodzisk Mazowiecki Radońska, ostatniej na tej linii.

Podniósł się ze swojego miejsca i stanął przy drzwiach jako pierwszy, a kiedy tylko się otworzyły, wyszedł na peron. Zapach, który uderzył go w nozdrza, również był znajomy. Woń wilgotnej ziemi i zwiędłych kwiatów, unosząca się nad pobliskim cmentarzem, mieszała się z zapachem benzyny i oleju silnikowego, warzyw i zwierząt, dochodzącym od strony placu targowego, na którym handlowali rolnicy z sąsiednich wsi.

Mężczyzna odruchowo spojrzął na zegarek. Była dopiero siódma, ale na targowisku trwał intensywny ruch. Nawet z tej odległości widział stragany pełne towaru i kręcących się między nimi ludzi. A więc jest środa, uświadomił sobie, zaskoczony, jak wydarzenia ostatnich dni skutecznie wybiły go z orbity czasu. Targ w Grodzisku zawsze odbywał się w środy.

Prawie wszyscy pasażerowie, którzy wysiedli z kolejki razem z mężczyzną, skierowali się w stronę targowiska, on jednak nie zamierzał dzisiaj nic kupować. Zresztą nawet gdyby chciał, i tak by nie mógł – ostatnie osiem złotych wydał na bilet kolejki. To był zresztą jeden z powodów, dla których wybrał właśnie WKD, a nie kolej mazowiecką. Koleją również można było dojechać z Warszawy do Grodziska, ale tam bilet kosztował jedenaście złotych. Aż tyle pieniędzy nie miał.

Skręcił w lewo, minął budynek dworca i szybkim krokiem ruszył ulicą Radońską, którą tak dobrze znał. Szedł lekko zgarbiony, chowając głowę w ramionach, a oczy – pod daszkiem wyblakłej od słońca czapki z logo klubu golfowego. Od kilku dni się z nią nie rozstawał, dawała mu złudzenie anonimowości.

Był niewyspany, zziębnięty i głodny, ale liczył, że ta podróż zmieni jego sytuację.

Dziesięć minut później zatrzymał się przed szeroką bramą zbudowaną z fantazyjnie powyginanych metalowych prętów. Obserwował przez chwilę znajdujący się po drugiej stronie ogrodzenia teren: szeroki podjazd z żółtych płyt piaskowca, klomby i żywopłoty utrzymane tak idealnie, że wyglądały jak sztuczne, krótko przyszczyżony trawnik pokryty szronem. Po chwili przeniósł wzrok na dom, piętrową willę w kolorze rdzy o ostentacyjnie turkusowych okiennicach. Mężczyzna pamiętał ten budynek sprzed lat, otynkowany na biało, i musiał przyznać, że nowy kolor elewacji dawał bardzo ciekawy efekt. Znowu spojrzął na zegarek, potem odetchnął głęboko i nacisnął dzwonek domofonu.

Za pierwszym razem nie było żadnej reakcji. Za drugim też nie.

Po trzecim dzwonku zarejestrował lekki ruch w oknie, zupełnie jakby ktoś delikatnie odsunął firankę i zaraz ją opuścił.

– Kto tam? – z głośnika na słupku furtki dobiegło ostrożne pytanie.

– Dzień dobry – odpowiedział, a potem podał swoje imię i nazwisko i przesunął się tak, żeby być widocznym dla osoby za oknem. – Wpuści mnie pani?

Właściwie dlaczego miałaby nie wpuścić?

Rozległo się ciche bzyczenie zamka. Mężczyzna popchnął furtkę i ruszył jasną ścieżką w kierunku domu, rozglądając się w poszukiwaniu kamer. Ale tak, jak przewidział, kamer nie było. To pasowało do właścicieli. Byli za bardzo pewni siebie. Właśnie takimi ich pamiętał.

Drzwi domu otworzyły się i stanęła w nich niska, bardzo szczupła siwa kobieta. Prawie się nie zmieniła od czasu, kiedy widział ją po raz ostatni. Tylko jej błękitne oczy wyblakły.

– Ależ ty wyrosłeś! – powiedziała serdecznie. – Zmężniałeś!

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia, jakby się chciała upewnić, że to nie sen.

– Sama jestem, oni wyjechali... Co cię sprowadza?

Zastanowił się. Czy już teraz jej powiedzieć, że zamierza ją zabić, czy dopiero za chwilę?

ROZDZIAŁ 1

Siedziałyśmy z mamą przy stole w kuchni. Oparcie krzesła uwierało mnie w plecy, czułam się tak, jakby drewniana poprzeczka przepiłowywała mi kręgosłup na pół. Powinnam się przesunąć do przodu albo przynajmniej zgarbić, jednak w obecności mojej matki zawsze się prostowałam. Taki odruch.

– Wszystkiego najlepszego na nowej drodze życia! – oświadczyła mama, unosząc w górę kieliszek szampana. – Gratuluję!

Nie podzielałam jej entuzjazmu.

– Ja jakoś nie uważam tego za sukces – odpowiedziałam ostrożnie.

– Niesłusznie. Zakończenia są niezwykle ważne dla naszego rozwoju, pod warunkiem że napisze się je samemu.

Och, tak. Moja matka, jedna z najpoczytniejszych polskich autorek kryminałów, w pisaniu zakończeń miała dużą wprawę.

– Właśnie dlatego odeszłam od twojego ojca – ciągnęła. – Gdybym została z nim dłużej, to on by odszedł ode mnie. Wiesz, jak bym się wtedy czuła?

Matka przymknęła oczy i odetchnęła głęboko, teatralnie. Przez chwilę wyglądała jak dziewiętnastowieczna matrona, brakowało jej tylko wachlarza. Wyobraziłam sobie, jak jej dłoń porusza się, zginając lekko w nadgarstku, a podmuch powietrza odgania kosmyki włosów z jej twarzy.

– Pamiętaj, nie możesz pozwolić, żeby twój związek się zakończył, jeżeli ty tego nie chcesz – dodała.

– Nie wiem, po co mi to mówisz. Ja właśnie od dwóch godzin nie mam związku – przypomniałam.

Popatrzyła na mnie karcącym wzrokiem.

– To są prawdy uniwersalne – wyjaśniła. – Trzeba je stosować intuicyjnie.

Mnie intuicja podpowiadała, żeby pobiec na górę, do sypialni, zawinąć się w kołdrę i trochę sobie popłakać. Płacz był kiedyś moim ulubionym narzędziem do walki z rzeczywistością. I choć przez ostatnich kilka miesięcy już w ogóle z niego nie korzystałam, to taki dzień jak dzisiaj miał swoje prawa.

Bo był to dzień mojego rozwodu.

W korytarzu coś zaszurało. Obejrzałam się szybko w obawie, czy to czasem nie dzieci. Widok matki i babki świętujących rozwód rodziców mógłby spowodować w ich delikatnej, niewinnej psychice straty nie do odrobienia.

Na szczęście to tylko pies zmieniał miejsce popołudniowej drzemki.

– Bardzo dobry ten szampan. – Matka upiła kolejny łyk.

Musiał być dobry, w końcu sama go przywiozła. Nagle coś jej się przypomniało.

– Kochanie, przecież ja mam dla ciebie prezent!

Prezent od mojej matki rzecz tym cenniejsza, że rzadka, więc trochę się ożywiłam.

– Pamiętasz, jak ci mówiłam, że jedziemy z Bogusiem na wakacje?

Bogusław, właściciel wydawnictwa, w którym matka publikowała swoje książki, prywatnie był jej chłopakiem, choć to określenie w kontekście mężczyzny lat sześćdziesiąt osiem nie brzmiało adekwatnie. No ale Boguś był nieadekwatny. Z zadziwiającą cierpliwością znosił liczne wady mojej matki, a niektóre z nich uznawał wręcz za zalety. Dysponował w stosunku do niej tak niewyobrażalnymi pokładami wyrozumiałości i cierpliwości, że nawet zdobycie przez nią bestsellera Empiku nie mogło tego tłumaczyć. Co prawda nie mieszkali razem – matka by tego nie zniosła – za to często razem wyjeżdżali.

– Coś wspominałaś, że w styczniu cię nie będzie...

– No więc wyobraź sobie, Boguś złamał nogę!

Potrząsnęłam z niedowierzaniem głową.

– Niemożliwe! Jak to?

Mama machnęła ręką.

– A, daj spokój. Wymyślił sobie narty. Ja nie mogłam jechać, bo piszę książkę, więc wyskoczył sam na szybko do Austrii, no i masz. Noga w gipsie na sześć tygodni.

– Straszny pech – przyznałam. – Bardzo mi przykro.

– No właśnie akurat tobie nie powinno być przykro – stwierdziła lekko matka, upijając kolejny łyk szampana. – Boguś wszystko opłacił z góry, przelot, hotel, nawet dodatkowe wycieczki. Szkoda, żeby się zmarnowało. Więc ustaliliśmy, że zamiast niego polecisz ty.

Jest taka baśń Andersena, w której skrzyni ze skarbami pilnuje pies o oczach wielkich jak filizanki. Śmiem przypuszczać, że moje oczy osiągnęły rozmiary patelni.

– Ja? Jak to? – wystękałam przez zaciśnięte gardło.

– Tak to. Zmienimy nazwisko na bilecie, to kosztuje co prawda parę złotych...

Wybałuszyłam oczy jeszcze bardziej. Gdyby mnie w tej chwili zobaczył jakiś endokrynolog, z pewnością kazałby mi przebadać tarczycę.

– Mamo, co ty mówisz? Ja mam z tobą jechać? Przecież nie mogę! Nie mogę zostawić dzieci, domu, psa! Nie, nie, to absolutnie niemożliwe!

Kręciłam głową, tak jakby mogło to ode mnie odsunąć przerażającą wizję podróży. Bo za podróżami naprawdę nie przepadam.

– Och, uspokój się! – fuknęła. – Dziećmi zajmie się Tomek, akurat w tym czasie są ferie. A domu i psa ktoś ci popilnuje. Twój ojciec na przykład.

– A praca? Co z pracą? – próbowałam bronić się dalej.

– Weźmiesz urlop.

– No nie wiem...

Matka odstawiała kieliszek i nachyliła się do mnie.

– Nie spodziewałam się po tobie euforii, Madziu, ale odrobinę entuzjazmu mogłabyś z siebie wykrzesać – w jej głosie pojawiła się bardzo wyraźna nuta irytacji.
– Oraz wdzięczności. Wiesz, ile ten wyjazd kosztuje?! Pomyślałam sobie, że po tych przejściach z rozwodem taka zmiana otoczenia, oderwanie się od tego wszystkiego dobrze ci zrobi. No ale skoro ma to być dla ciebie poświęcenie i gehenna...

W ten sposób zgrabnie i z dużą wprawą wskoczyła w buty biednej i niedocenianej, mnie ustawiając na pozycji niewdzięcznego dziecka.

Nie miałam siły do walki, nie dzisiaj.

– Mamo, przepraszam... – bąknęłam. – Bardzo, bardzo dziękuję i doceniam, naprawdę! Po prostu mnie zaskoczyłaś. Wiesz, że nie lubię niespodzianek.

Matka uśmiechnęła się pobłaźliwie.

– Wiem, wiem. Jesteśmy takie różne... Paszport masz? – przeszła do konkretów.

– Paszport? To my jedziemy gdzieś dalej? – Jakoś kompletnie nie wyobrażałam sobie wyjazdu poza strefę Szengen.

Moje pytanie wyraźnie matkę zirytowało.

– Dziecko, błagam, zastanów się, zanim coś powiesz. Wiesz, że nie znoszę zimna. W styczniu ciepło jest tylko „dalej”.

– To dokąd lecimy?

– Naprawdę ci nie mówiłam? Na Zanzibar.

ROZDZIAŁ 2

Pierwszego dnia po rozwodzie obudziłam się zaskakująco wypoczęta i wyspana. W nocy nie gnębiły mnie żadne koszmary, absolutna nowość, ponieważ od pół roku, czyli od momentu, w którym wszystko się między mną a moim mężem posypało, noce spędzałam na zamartwianiu się oraz przewracaniu z boku na bok.

Czy to możliwe, żeby jedna godzina spędzona na sali sądowej przyniosła aż tak spektakularne efekty?

Moja najlepsza przyjaciółka, Elka, uprzedzała mnie, że tak będzie. Że w momencie formalnego rozwodu natychmiast odzyskam spokój i radość życia. Oczywiście jej nie wierzyłam, ale miała rację: pierwszy raz od bardzo dawna czułam się dobrze i lekko. Tak jakby ktoś zdjął mi z ramion stukilową sztangę. Nic mnie w środku nie bolało, nic nie uwierało, a przede wszystkim nie było tego zaciskającego żołądek strachu, który towarzyszył mi codziennie, od rana do wieczora. Nawet poczucie życiowej porażki, które jeszcze wczoraj intensywnie dawało o sobie znać, gdzieś zniknęło.

Zadziwiające!

Z tą nową energią wyskoczyłam z łóżka i pobiegłam budzić dzieci. Udało mi się je nieźle zaskoczyć, bo zamiast klasycznego walenia w drzwi i nerwowego pokrzykiwania: „Szybko, szybko, bo się spóźnimy!”, zaserwowałam im dzisiaj delikatne: „Kochani, wstawanko, już czas, już czas...”. Musieli pomyśleć, że w nocy ktoś im podmienił matkę.

Ciągle pozostając w błogim nastroju, którego nie potrafiłam racjonalnie wytłumaczyć, zrobiłam im na śniadanie naleśniki z nutellą, co tylko wzmogło ich nieufność, zapakowałam do samochodu i odwozłam do szkoły, a lekki uśmiech nie schodził mi z twarzy. Dopiero kiedy zatrzymałam auto przed lecznicą, mój dobry nastrój prysł i wyparował, bo na trawniku niedaleko wejścia zobaczyłam wielki i błyszczący niklem motocykl mojego kolegi z pracy, niejakiego Walczaka.

Nie rozumiałam swoich emocji. Nie rozumiałam ni w ząb.

Lecznica weterynaryjna, w której pracowałam, należała do doktora Rudnickiego, wybitnego specjalisty od małych zwierząt i świetnego chirurga. Mieściła się w suterynie starej, przedwojennej willi, ale urządzona była bardzo nowocześnie

i wyposażona w świetnej jakości sprzęt medyczny, co w połączeniu z reputacją Rudnickiego przyciągało do nas tłumy. W poczekalni rzadko zdarzały się wolne krzesła, a w ciągu dnia znalezienie chwili na kawę graniczyło z cudem.

Wyglądało na to, że dzisiaj będzie podobnie. Kiedy otworzyłam drzwi, w korytarzu siedziały już dwie starsze panie, jedna trzymała na kolanach starego, grubego jamnika, druga – plastikowy transporter, z którego łypało na mnie wielkie, czarne kocisko. Znałam dobrze obie kobiety, bo im starsze były ich zwierzęta, tym częściej pojawiały się z nimi w lecznicy, zwykła kolej rzeczy. Choć zawsze przejęte stanem zdrowia pupili, śmiały się z żartów Walczaka i traktowały nas jak starych znajomych. Lubiałam je, ale nie dlatego ich widok w poczekalni mnie ucieszył. Kolejka do gabinetu oznaczała, że w środku razem z Walczakiem musi być już jakiś pacjent. A to z kolei dawało mi pewność, że kiedy tam wejść, nie znajdę się z moim kolegą sam na sam. I, jeśli się wszystko dobrze ułoży, nie będę musiała z nim w ogóle rozmawiać przez cały dzień.

Otworzyłam drzwi może odrobinę zbyt energicznie, dodając sobie tym ruchem animuszu, którego tak bardzo potrzebowałam. Kolega Walczak stał przy stole zabiegowym i mierzył temperaturę potężnemu pitbullowi, jedną ręką trzymając w górze psi ogon, drugą – termometr wiadomo gdzie. Właściciel zwierzęcia, młody człowiek o podobnie rozbudowanej muskulaturze, co jego pies, próbował go okiełznać, obejmując z całej siły łokciem za szyję, zdaje się, że w zapasach taki chwyt nazywa się nelson.

Moje gwałtowne wtargnięcie do gabinetu zaburzyło niestety tę karkołomną choreografię. Wystarczyło, że chłopak podniósł głowę, żeby popatrzeć w moją stronę i minimalnie rozluźnił uchwyt, żeby pysk pitbulla znalazł się w miejscu, w którym przed sekundą znajdował się jego zad. Walczak co prawda zdążył odskoczyć, ale zęby psa zatrasnęły się złowrogo centymetr od jego dłoni.

– Żeż kurde, Mentos, spokój!

Chłopak szarpnął za obrozę tak mocno, że pies aż przysiadł. Najwyraźniej właściciel uznał, że zamiast inwestować w wychowanie pupila, lepiej zainwestować w siłownię.

– Trzydzieści osiem stopni – odczytał Walczak. – To prawidłowa temperatura, pies jest w dobrej formie, możemy szczepić.

A potem zwrócił się do mnie z uprzejmym uśmiechem:

– Dzień dobry, pani doktor.

Ja tam się do niego nie uśmiechałam. Od trzech miesięcy, odkąd mnie znienacka pocałował, bardzo się pilnowałam, żeby mu nie okazywać sympatii. Żadnych uśmiechów, żadnych dotknięć, żadnej poufałości, żeby sobie czasem czegoś nie pomyślał. A mógłby, bo ten pocałunek niestety bardzo mi się spodobał, co Walczak, ze swoim doświadczeniem w sprawach damsko-męskich, musiał wyczuć.

Tak więc niemałym wysiłkiem woli trzymałam mojego kolegę na dystans, a on to – o dziwo – posłusznie respektował.

Trzeba zakończyć jedno, żeby zacząć drugie, powtarzałam sobie asekuracyjnie.

Miało to sens wtedy, kiedy rozwód wydawał się odległą perspektywą. Za to teraz, gdy od dwudziestu czterech godzin byłam kobietą wolną i mogłam sobie zaczynać, co chciałam, nagle poczułam strach.

Czy powinnam wykonać jakiś ruch w jego stronę? Nie, nie, to fatalny pomysł. Co by to było, gdybym mu zakomunikowała, że jestem po rozwodzie, a on miałby to w nosie? Odrzucenie, tego się bałam najbardziej. Jedynym bezpiecznym, choć wyjątkowo głupim rozwiązaniem, jakie mi przyszło do głowy, było się do niczego nie przyznawać.

Elka powiedziała mi kiedyś, że w sprawach uczuciowych oscyluję na poziomie egzaltowanej trzynastolatki. Moje aktualne zachowanie w pełni potwierdzało jej diagnozę.

– W poczekalni jest dwóch pacjentów – nawet powitanie wydawało się w tej sytuacji przesadną poufałością. – Wezmę ich do zabiegowego.

– Świetny pomysł.

Właśnie tak Walczak mnie traktował. Tak jakby tamtego pocałunku w ogóle nie było. Obojętność i profesjonalizm. Zamiast chociaż zasugerować, że moglibyśmy przyjmować razem, tak po prostu, po koleżeńsku, wysłała mnie do drugiego gabinetu. Widocznie w ogóle mu na mnie nie zależy. Zresztą gdyby mu zależało, to by przez te ostatnie trzy miesiące zrobił cokolwiek, a nie się poddawał walkowerem.

Więc nie powiem mu ani o rozwodzie, ani o Zanzibarze. Niech ma.

ROZDZIAŁ 3

Panie doktorze, mam pytanie...

To śmieszne, że zamiast po prostu je zadać, najpierw o tym uprzedzam.

– Słucham z uwagą.

– Wiem, że pracuję u pana dopiero pół roku, ale czy... czy byłoby możliwe... Czy mogłabym dostać kilka dni urlopu? W styczniu?

Kiedy tak dukałam, Rudnicki przyglądał mi się życzliwie.

– Oczywiście. Nie widzę problemu. Wyjeżdża pani na ferie?

– Nie! To znaczy tak! To znaczy w tym czasie.

– Dwa tygodnie wolnego wystarczy?

Patrzyłam na mojego szefa oszołomiona. Nie spodziewałam się, że tak to szybko i bezproblemowo pójdzie.

– Jasne! Dziękuję! – mało brakowało, a rzuciłabym mu się na szyję.

– Nie ma za co – uśmiechnął się Rudnicki. – Akurat w ferie w lecznicy ruch niewielki, klienci szaleją na nartach, a pies sam do lekarza nie przyjdzie. Dokąd pani zabiera dzieci?

Auć. I co ja powinnam w tej sytuacji odpowiedzieć?

Prawdę. Oczywiście prawdę. Że nigdzie ich nie zabieram, tylko sama się jadę byczyć w tropikach. Ale jakoś nie chciały mi te słowa przejść przez gardło.

– Tu i tam – odparłam dyplomatycznie.

– Mam nadzieję, że będzie się pani dobrze bawić!

I co? I oczywiście wypowiedział to w złą godzinę.

ROZDZIAŁ 4

Moja walizka kolorem i gabarytami przypominała słonia. Niestety, wagą również.

– Jezu, co ty tam masz? Zwłoki? – jęknął Jacek, unosząc z trudem szarego potwora i umieszczając w bagażniku samochodu.

W ustach mojego przyjaciela, komisarza policji, żart o zwłokach zabrzmiał dwuznacznie.

Inna sprawa, że ciężar mojego bagażu nawet mnie samą zaskoczył. Dałabym sobie rękę uciąć, że spakowałam głównie kostiumy kąpielowe, szorty oraz parę kolorowych łasezków o konsystencji gazy. Żadnych butów narciarskich, żadnych cegieł, żadnego trupa. Co prawda owszem, w ostatniej chwili dorzuciłam parę książek, ale wyjeżdżaliśmy na dwa tygodnie. A na plaży coś czytać trzeba.

– Paszport wzięłaś?

– Błagam...

– A kto cię tam wie. Bilety?

– U matki.

Otworzyłam drzwiczki, ale jakoś nie mogłam wsiąść. Stałam, oparta łokciem o dach auta i wpatrywałam się w mój dom tak intensywnie, jakbym miała go już nigdy więcej nie zobaczyć. Nie był to niestety widok, który chciałabym zapamiętać. W styczniowy, pochmurny ranek dom nie prezentował się najlepiej. Z pociemniałym od wilgoci dachem i kapiącym z rynien deszczem, otoczony przez zrudziałe tuje i szare, jakby pokryte pleśnią brzozy, wyglądał niczym zasmarkany, brodaty karzeł. Mimo to bardzo go kochałam. I już tęskniłam.

– No chodź, bo się spóźnimy! – pogonił mnie Sikora.

Ociągając się, wsiadłam.

– Pamiętaj, że masz tu zajrzeć koło południa, wypuścić Alfa – przypomniałam mu.

– Ojciec będzie wieczorem. Obiecał nocować. Dałam mu na wszelki wypadek twój telefon, gdyby coś się zadziało takiego wiesz, *emergency*.

– Pamiętam. I o Alfie, i o wsparciu dla szanownego taty.

Skręcił w prawo, w Jana Pawła. Przy okazji musiał się odwrócić i spojrzeć na mnie. Z miny, jaką zrobił, wywnioskowałam, że nie jest z mojego wyglądu zadowolony.

– Czy mogłabyś zmienić nastawienie? – zasugerował. – Jedziesz na drugi koniec

świata, byczyć się pod palmami. W dodatku za friko! Każdy dałby się pokroić za taką okazję, a ty wyglądasz, jakbyś się miała za chwilę poryczeć!

– Wiem... Ale tak nie lubię zostawiać domu...

– Przecież sama przed chwilą powiedziałaś, że ojciec się nim zajmie!

– On jest jak duże dziecko – uświadomiłam mu. – Nie można na nim polegać.

– Dobrze. Obiecuję, że będę tam zaglądał i sprawdzał, czy karmi psa.

– I koty – przypomniałam mu.

– I koty. Tylko proszę, przestań cierpieć. Wakacje, dziewczyno! Powtarzaj sobie cały czas, że jedziesz na wakacje. Chyba wakacje nie mogą się źle kojarzyć.

– Co ty wiesz o życiu? – powiedziałam sentencjonalnie, ale na szczęście nie usłyszał.

Bo akurat mnie wakacje kojarzyły się fatalnie. Nie przesadzę, jeśli powiem, że ich nienawidziłam. Konkretnie – nienawidziłam wakacji z moim mężem. Na co dzień Tomasz ze swoją upierdliwością, czepliwością oraz ambitnymi wymaganiami był trudny do zniesienia, jednak ratowało mnie to, że większość czasu spędzał w pracy. Dwa tygodnie wspólnego urlopu, czyli bycia ze sobą non stop, sprawiały, że nadawałam się wyłącznie do reanimacji. Konflikt gonił konflikt, a ja musiałam lawirować między dziećmi, które nie znosiły metod wychowawczych ojca, a obrażonym Tomaszem, który nie był w stanie zrozumieć, dlaczego nikt się go nie słucha. Do tego mój mąż, z oszczędności czy – jak twierdzą niektórzy – ze skąpstwa, zawsze wybierał opcję „bez posiłków”, co oznaczało, że musiałam gotować tak samo, jak w domu, tyle że w obcej, kiepsko wyposażonej kuchni. Każda kobieta, która tego doświadczyła, wie, że nie jest to rozwiązanie humanitarne.

Więc nie, wakacje nie kojarzyły mi się dobrze.

Matka czekała przed wejściem do hali odlotów. Na widok mojego bagażu skrzywiła się lekko, ale nie skomentowała. Sama miała ze sobą niewielką, turkusową walizkę, która przy mojej wyglądała jak koliber przy nosorożcu.

– No nareszcie – fuknęła. – Już myślałam, że się rozmyśliłaś. Jacku, byłbyś tak miły i nam pomógł?

Jacek zacisnął palce na bilecie *Kiss and fly*, który uprawniał do zaledwie siedmiu minut bezpłatnego parkowania. Widziałam, że się waha, ale wystarczył jeden rzut oka na moją matkę, żeby chwycił rączki obu walizek i pociągnął je skwapliwie w kierunku wejścia do hali odlotów. Matka miała w sobie coś takiego, że niełatwo się było jej sprzeciwić.

Zdążyliśmy zrobić dosłownie kilka kroków, kiedy z kieszeni kurtki Jacka dobiegł słumiony dzwonek komórki. Sikora zatrzymał się, puścił rączkę walizki i sięgnął po telefon.

– Tak? – powiedział, prostując się, co oznaczało rozmowę służbową. – Tak. Tak.

Słuchał przez kilkadziesiąt sekund, marszcząc czoło jak jamnik, po czym zakończył rozmowę i schował telefon z powrotem do kieszeni.

– Muszę lecieć. Robota. – Rozłożył bezradnie ręce.

– Jasne, poradzimy sobie – zapewniłam i zapytałam odruchowo: – A co się stało?

Normalnie Sikora nie był zbyt skłonny do dzielenia się takimi informacjami, ale teraz chciał chyba udowodnić mojej matce, że nie zostawia nas samych z jakiegoś byle powodu.

– Morderstwo – odpowiedział z satysfakcją. – W Grodzisku.

Uklonił się i ruszył w kierunku samochodu. Ciekawe, czy zdąży wyjechać przed upływem tych bezpłatnych siedmiu minut na bilecie, pomyślałam i z całej siły szarpnęłam swoją walizę, podczas gdy moja rodzicielka lekko i od niechcenia pociągnęła swoją.

Szklane drzwi otworzyły się przed nami automatycznie i z wilgotnego chłodu poranka weszliśmy do ciepłej i pełnej ludzi hali odlotów.

Matka rozejrzała się szybko, mrużąc oczy, w końcu machnęła ręką w kierunku jednego ze stanowisk.

– Tam!

Ruszyła przed siebie sprężystym krokiem, podczas gdy czarne kółka jej walizki, szorując po podłodze, zaczęły wydawać nieprzyjemne piski.

A ja, idąc za nią, nagle sobie uświadomiłam, że wpadłam z deszczu pod rynnę.

Nie przepadałam za wakacjami z moim mężem, bo musiałam się do niego bez szemrania dostosowywać. Teraz czekały mnie dwa tygodnie dostosowywania się do mojej matki.

To dopiero będzie wyzwanie...

ROZDZIAŁ 5

P o kilkunastu godzinach lotu nasz samolot wylądował na lotnisku Kisauni na Zanzibarze.

W kolejce do wyjścia ustawiliśmy się jako pierwsze, już matka o to zadbała. Śliczna ciemnoskóra stewardessa w białej sukience z zielonymi emblematami Ethiopian Airlines bez wysiłku otworzyła przed nami drzwi. Zrobiłam krok do przodu i poczułam się tak, jakbym wchodziła do fińskiej łaźni.

Oblepiło mnie coś wilgotnego i gorącego, co przypominało bardziej mokrą tetrową pieluchę niż powietrze. Oddychanie natychmiast przestało być czynnością mimowolną, a stało się walką o przetrwanie. Wilgotny osad wypełnił mi płuca, a materiał koszulki przylgnął do skóry.

Stałam tak chwilę, zaszokowana, ale matka za moimi plecami czuwała.

– Idziemy! – popchnęła mnie lekko do przodu. – W hali powinno być lepiej.

Ale nie było. Hala lotniska przypominała raczej rozbudowany warsztat samochodowy niż nowoczesny terminal. Niska i długa, kryła w swoim wnętrzu kilka stanowisk odprawy paszportowej oraz jeszcze większą duchotę niż ta, która panowała na zewnątrz. W końcu kto słyszał o klimatyzacji w warsztatach samochodowych?

Na niewielkiej powierzchni tłoczyło się tutaj przynajmniej sto osób. Część zdążyła się już ustawić w kolejce do okienka straży granicznej, część wypełniała jakieś papiery przy długich, wysokich stołach. Zdezorientowana, popatrzyłam pytająco na matkę.

– Wiza! – wyjaśniła krótko, po czym wcisnęła mi w dłoń przygotowany wcześniej długopis. – Weź druczek i pisz to samo co ja. Z wyjątkiem daty urodzin oczywiście.

Moja mama, która przez pół życia uczyła matematyki w szkole podstawowej, dyrygowanie miała we krwi.

Kiedy lekko drżącą ręką wypełniałam rubrykę „stan cywilny”, wpisując „divorced”, jakiś przechodzący obok mężczyzna walnął mnie w łokieć torbą. Torba była duża i ciężka, a uderzenie na tyle silne, że wytrąciło mi długopis, który potoczył się po blacie i spadł na ziemię, natychmiast znikając mi z oczu.

Sprawca musiał się zorientować, że o coś zaczął, bo zatrzymał się i odwrócił w moją stronę.

– Sorry! – rzucił, uśmiechając się przeprasząco, po czym ruszył dalej, a ja

zostałam z otwartymi z wrażenia ustami.

– Mamo, widziałaś? – jęknęłam, wpatrując się w miejsce, w którym zniknął w tłumie.

Matka przekreśliła coś zamasyście na formularzu, dopiero potem spojrzała na mnie nieuważnym wzrokiem.

– Pamiętasz, jak się nazywa nasz hotel? Tu trzeba wpisać.

– To był Dukaj! Przechodził tędy! Potrącił mnie! – ekscytacja wpłynęła chyba na moją dykcję, bo matka nie zrozumiała.

– Nie, na pewno nie Dubaj. Jakieś Bungalows coś tam...

– Dukaj, mamo! TEN Dukaj! Aktor!

Matka uniosła z uznaniem brwi.

– Nie wiedziałam, że to aż takie modne miejsce – mruknęła, rozglądając się ciekawie po hali. – Gdzie ty go widzisz?

Machnęłam ręką przed siebie.

– Tam poszedł. Dżizas, jaki on przystojny! Jeszcze przystojniejszy niż na ekranie!

Dukaj należał do tych aktorów, którzy nawet gdyby seplenili i zapominali tekstu, i tak nie mogliby się opędnąć od ofert. Miał urodę Hugh Jackmana i wdzięk Ryana Reynoldsa. Na jego widok kobiety dostawały palpacji serca, migotania przedsionków albo przynajmniej rumieńców. Nazwisko Dukaja działało jak magnes, więc obsadzano go we wszystkim: w komediach romantycznych, serialach kryminalnych, monumentalnych produkcjach historycznych, a nawet w sitcomach. Gdybyśmy byli teraz na Okęciu, otaczałby go tłum rozhisteryzowanych fanek.

Do których jednak moja matka nie należała.

– Zachowujesz się, jakbyś miała szesnaście lat – fuknęła. – Kończmy z tymi druczkami i chodźmy, bo zaraz zemdleję.

Procedura wizowa trwała w sumie koło godziny. Odstaliśmy swoje w dwóch kolejkach, odpowiedziałyśmy na kilka pytań siedzącego w szklanej kanciapie urzędnika, i w końcu system wypluł nas na drugą stronę bramek. Z trudem przecisnęłyśmy się do podajnika bagażu, który kręcił się tak dziarsko, że kiedy ściągałam walizkę z taśmy, o mało nie wyrwało mi ramienia.

Wyjście z hali lotniska sprawiało wrażenie tak zwanej wiecznej prowizorki. Długi, ciemny, zbudowany z blaszanych elementów korytarz, ciągnął się jak wielka rura od odkurzacza, prowadząc nas w kierunku światła. Osioł zapewne by zawrócił, ale my szłyśmy przed siebie, ciągnąc z wysiłkiem bagaże po niewygodnym, gliniastym podłożu.

Im bliżej byłyśmy wylotu tunelu, tym robiło się nie tyle jaśniej, co głośniej, bo słońce zasłaniał spory tłumek czarnoskórych kierowców, czekających na wychodzących z lotniska turystów. Przekrzykiwali się nawzajem, śmiejąc się i gestykułując gwałtownie, ale pomimo współzawodnictwa nie zauważyłam między nimi żadnego napięcia, żadnej niechęci czy agresji. Uśmiechnięci i rozgadani,

oferowali swoje usługi tak przekonująco, że nie wiedziałabym, którego wybrać.

Na szczęście nie musiałam. Miał na nas czekać kierowca z hotelu.

– Jest! – matka wskazała na wysokiego czarnoskórego chłopaka w żółtej koszulce, trzymającego tabliczkę z napisem: „Karibu Bungalows”. Stał wyprostowany, bez ruchu, z poważną miną, tak jakby chciał zaznaczyć, że jest ponad to.

Pomachałyśmy do niego. Ożywił się, rozepchnął stłoczonych dookoła mężczyzn i jednym skokiem znalazł się przy nas.

– Dzień dobry! – powiedział po polsku, bardzo wyraźnie i bez akcentu.

Musiałśmy mieć z matką głupie miny, bo chłopak uśmiechnął się szeroko, zadowolony z efektu.

– Jestem Kidogo – przedstawił się, po czym bezceremonialnie chwycił nasze walizki. – Idziemy. Tutaj, tutaj.

Ruszyłyśmy za nim przez nagrany parking pełen aut. Popękany asfalt był tak gorący, że parzył stopy przez podeszwy butów. Kidogo szedł szybko, prawie biegł, ledwo mogliśmy za nim nadążyć. Obserwowałam z przerażeniem kółka mojej walizy, podskakujące rozpaczliwie na dziurach i szczelinach, i modliłam się, żeby nie odpadły.

Jakieś dwieście metrów dalej, w cieniu jedyne rosnącego w okolicy drzewa, stały zaparkowane trzy identyczne minivany z czerwonymi oznaczeniami „Karibu Bungalows”. Przy pierwszym aucie młody mężczyzna, bardzo podobny do Kidogo i również ubrany w żółtą koszulkę, umieszczał właśnie z tyłu samochodu stertę kolorowych bagaży.

– Wy tutaj – Kidogo pokazał nam środkowego vana. – Ja iść. Goście. Dużo, dużo.

I pobiegł z powrotem w stronę wyjścia z hali.

Chłopak w żółtej koszulce uśmiechnął się zniewalająco i bez słowa zajął naszymi walizkami.

Rozejrzałam się ciekawie, szukając wzrokiem czegoś, czym mogłabym się zachwycić. Bez powodzenia. Żadnych kolorów, obsypanych kwiatami drzew, żadnego piękna, a parking pełen zakurzonych, rozklekotanych aut niepokojąco przypominał polski szrot. I tylko jaskrawe słońce, lepiąca mi się do pleców koszulka i spływające po czole krople potu przypominały mi, że jestem w Afryce.

Nagle znalezienie się w jakimkolwiek klimatyzowanym pomieszczeniu stało się jedną z najważniejszych potrzeb, leżących u podstawy piramidy Masłowa. Matka też najwyraźniej doszła do tego wniosku.

– Tutaj się nie da wytrzymać.

Gwałtownym ruchem odsunęła boczne drzwiczki auta, żeby wsiąść, i zamarła. Samochód był pełen pasażerów, czego przez przyciemniane szyby z zewnątrz nie było widać.

Zobaczyłyśmy ładną, pulchną brunetkę z włosami przewiązanymi czerwoną apaszką, która dyscyplinowała bez powodzenia kilkuletnią dziewczynkę i starszego, może ośmioletniego chłopca, kłócących się zajadle o miejsce przy oknie. Jak ja to dobrze znałam...

Na tylnej kanapie jakiś mężczyzna próbował jedną ręką przypiąć pasami fotelik, przytrzymując jednocześnie siedzące mu na kolanach dziecko. Mały wyglądał na rok, może trochę więcej, i przechylał niebezpiecznie przez ramię mężczyzny, wyciągając rączki w kierunku narysowanego na foteliku kota.

Nasze pojawienie się na tyle go zainteresowało, że natychmiast przeniósł na nas całą uwagę. Chwycił za oparcie siedzenia przed sobą i z całą energią wyskoczył w naszą stronę. Gdyby nie to, że ojciec złapał go w ostatniej chwili, mały wylądowałby na podłodze.

– Kajtek! – zdenerwował się mężczyzna. – Nie wolno tak!

Zastrzygłam uchem. Tego głosu nie sposób było pomylić z żadnym innym.

Ojciec chwycił dziecko pod pachy i umieścił w foteliku. A potem odwrócił się do nas, i tak – to był Dukaj. Dukaj w wydaniu rodzinnym.

– Filip, to krzeselko... Na pewno w porządku? – Brunetka, ewidentnie żona aktora, sięgnęła w tył przez szparę między siedzeniami i sprawdziła, czy pasy fotelika są dobrze zapięte.

Kiedy zorientowała się, że moja matka ciągle stoi w otwartych drzwiach samochodu i lustruje sytuację, odezwała się miło.

– Państwo też do Karibu Bungalows?

– Tak – odpowiedziałam zamiast matki, na której twarzy malowało się zdegustowanie. – Dzień dobry. Magdalena...

Ale nie dane mi było dokończyć kwestii, bo w tym momencie matka cofnęła się gwałtownie, wpadając na mnie.

– Tu są jeszcze dwa miejsca – zapewniła kobieta, przekładając swój bagaż podręczny z siedzenia na podłogę. – Proszę, proszę!

Ale moja rodzicielka nie miała zamiaru wsiadać.

– Nie, dziękuję! – rzuciła oschle. – Nie będziemy robić kłopotu. I zatrzasnęła drzwiczki.

Poczułam straszny zawód.

– Mogłyśmy z nimi jechać! – zauważyłam z wyrzutem.

Matka popatrzyła na mnie jak na wariatkę.

– Przyjechałam tu odpocząć – oznajmiła. – A to oznacza jedno. Żadnych dzieci.

Przez sekundę wydawało mi się, że miała na końcu języka „bachorów”, ale jednak się powstrzymała.

Jej postawa nie powinna mnie dziwić. Przez lata nauki w szkole podstawowej odporność mojej matki na osoby poniżej osiemnastego roku życia drastycznie zmalała. Co zresztą dotyczyło również jej własnych wnuków.

Na szczęście w drugim vanie nie było żadnych dzieci, w ogóle nie było nikogo, więc tam się wladowałyśmy. Chwilę później wrócił Kidogo, ciągnąc kilka walizek naraz i prowadząc za sobą całkiem sporą i urozmaiconą grupę. Pierwszy szedł wysoki, siwy mężczyzna, na oko koło siedemdziesiątki, krótko ostrzyżony, wyprostowany jak struna i lekko sztywny w ruchach, mogłabym się założyć, że emerytowany wojskowy. Tuż za nim podążała para młodych ludzi: szczupły, wysoki, rudy chłopak i trochę

nijaka blondyneczka. Trzymali się za ręce tak kurczowo, jakby ich dłonie zostały sklejone klejem super glue, i co chwila zaglądali sobie w oczy. Kiedy stanęli obok samochodu, natychmiast zaczęli się całować. Podróż poślubna jak nic, pomyślałam ze współczuciem. Bo jak wiadomo, od podróży poślubnej do rozwodu żabi skok.

Druga para, którą przyprowadził z lotniska Kidogo, musiała mieć za sobą trochę dłuższy staż związku, bo już się tak do siebie nie kleiła. On, mniej więcej czterdziestoletni, z postępującą łysiną i starannie utrzymaną krótką brodą, nie rzucałby się w oczy, gdyby nie T-shirt w kolorze intensywnej zieleni połączony z czerwonymi krótkimi spodniami i lustrzanymi okularami o złotych szklach. Jego towarzyszka, młodsza o kilka lat i niższa o kilka centymetrów, również nie miała jakiegś olśniewającej urody, za to figurę fantastyczną. Ileż ona musi spędzać czasu na siłowni, przebiegło mi przez myśl.

Ostatnim z grupy był młody, nienagannie wystylizowany mężczyzna w białej koszulce Lacoste, granatowych płóciennych spodniach i błękitnych mokasynach, który wyglądał tak, jakby jego podróż samolotem trwała dwadzieścia minut, a nie dwadzieścia godzin, jak nasza. W okularach przeciwsłonecznych wydawał się wyjątkowo przystojny, no może nie zaraz jak Dukaj, ale prawie, jednak kiedy je na chwilę przesunął na czoło, okazało się, że świetny efekt odrobinę psują dziwne, wyjątkowo jasne tęczęwki.

Po krótkiej wymianie zdań z Kidogo mężczyzna poszedł do taksówki Dukaja, trzymający się za rączkę młodzi oraz siwy starszy pan wylądowali w trzecim aucie, natomiast do naszego wsiadła para łysy brodaty i bywalczyń klubów fitness.

– *Hello!* – przywitał się mężczyzna. – *Nice to meet you.*

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi, natomiast matka z westchnieniem podniosła się ze swojego miejsca.

– Chodź na koniec – zarządziła. – Jak ja nie lubię tłoku.

– O, panie też z Polski! – ucieszył się brodaty. – Miło, naprawdę! Wojtek Soboń – przedstawił się i opadł na siedzenie przed nami.

Jego kobieta obrzuciła nas szybkim, taksującym spojrzeniem. Ona najwyraźniej nie zamierzała się przedstawiać. Soboń trochę niezręcznie objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Kobieta odepchnęła go stanowczo.

– Zwariowałaś? – syknęła. – Po co ten cyrk? Jeszcze w taki, kurwa, upał.

Soboń odchrząknął, speszony.

– Blaneczka trochę jeszcze zdenerwowana, bo bardzo nie lubi latać – wyjaśnił tonem usprawiedliwienia. – Źle się czuje, jak nie ma czegoś pod kontrolą – dodał żartobliwie.

– Może język powinna mieć pod kontrolą – mruknęła pod nosem matka i dodała szeptem: – Oprócz pieniędzy przydałoby się trochę kultury.

Blanka nie powinna była tego usłyszeć. A jednak usłyszała. Gwałtownie, jakby ktoś pociągnął za sznurek, odwróciła się do nas.

– Bo komentowanie za czyimiś plecami to wyjątkowo kulturalne jest, tak? – warknęła.

Matka już otwierała usta, żeby odpowiedzieć, na szczęście w tym momencie Kidogo wskoczył za kierownicę i uruchomił silnik.

Ruszyliśmy.

Najpierw przez dwa, może trzy kilometry jechaliśmy dwupasmową aleją, obsadzoną palmami, których grube liście zwisały nad rozgrzanym asfaltem. Co jakiś czas spomiędzy zieleni wychylał się kilkupiętrowy budynek w stylu kolonialnym. Niektóre domy były eleganckie i przypominały luksusowe pensjonaty, budowę innych porzucono w trakcie, a ich betonowe szkielety porastały krzewy i pnącza, litościwie osłaniając brzydotę ruin.

Nasze auto poruszało się zrywami, to rozwijając zawrotną prędkość pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, to gwałtownie zwalniając do zera. Gdyby nie pasy bezpieczeństwa, kilka razy podczas hamowania wylądowałabym na podłodze.

Ruch na ulicy odbywał się chaotycznie, przy akompaniamencie klaksonów i krzyków. Co chwila wydawało się, że albo my w kogoś uderzymy, albo ktoś uderzy w nas, a wrażenie śmiertelnego zagrożenia potęgował fakt, że na Zanzibarze panuje ruch lewostronny.

Im bliżej centrum miasta, tym to kłębowisko aut, skuterów, rowerów i rozklekotanych lokalnych autobusów stawało się coraz bardziej zwarte, a nasz samochód częściej stał niż jechał. Zabudowania wzdłuż drogi również zmieniły charakter. Kilkupiętrowe domy ustąpiły miejsca parterowym, przypominającym zwykłe garaże. Pomalowane obłazącą płåtami farbą i pokryte blachą, spełniały rolę sklepów i barów, ale również mieszkań. Przed nimi pełno było ludzi, którzy nigdzie nie zmierzali, tylko kręcili się w miejscu, kupując, gotując i gawędząc.

Tym, co zwracało uwagę, były kolory. Długie do ziemi suknie kobiet miały barwy jaskrawe i intensywne, podobnie jak chusty, którymi owijały głowy. Mężczyźni, najczęściej w czarnych spodniach, jasnych koszulach i plastikowych klapkach, sprawiali wrażenie, jakby ich jedynym zajęciem przez większość dnia było przemieszczanie się bez celu z miejsca na miejsce oraz przebieganie między autami.

W końcu jakoś udało nam się przedrzeć przez centrum i wjechaliśmy na drogę prowadzącą do Jambiani.

Miasto ustępowało niechętnie, niskie domy przy szosie ciągnęły się jeszcze przez kilka kilometrów. Skończyły się nagle, jakby ktoś uciął maczetą, a miejsce domów zajął las. Bujny, wilgotny, mięsisty, dopiero teraz zrozumiałam, że naprawdę jesteśmy w tropikach.

Co jakiś czas mijaliśmy wioski ulokowane wzdłuż szosy. Miejscowi poruszali się tutaj brzegiem asfaltu bez żadnego skrępowania. Jeszcze mniej respektu dla ruchu kołowego wykazywało lokalne bydło. Niektóre krowy wychodziły nam prosto pod maskę, i to, że żadna nie zginęła śmiercią tragiczną, zawdzięczały wyłącznie refleksowi kierowcy.

Życie na wsi, tak jak i w mieście, toczyło się tuż przy drodze. Na poboczach

gotowano, spożywano posiłki, odbywano spotkania i dyskutowano, zauważyłam nawet kilka osób pogrążonych w drzemce. Między dorosłymi kręciły się małe dzieci, bose, nagie i uśmiechnięte.

Mijaliśmy też starsze dzieciaki. Ubrane w identyczne szkolne mundurki, poruszały się grupkami, osobno dziewczynki, osobno chłopcy. Stroje dziewczynek składały się z długich do ziemi, ciemnych sukienek i jasnych, białych lub żółtych hidżabów. Chłopcy nosili ciemne spodnie i koszule w kolorze nakryć głowy dziewczynek. Ubrania dzieci były nieskazitelnie czyste, jakby dopiero co wyjęte z pralki, co wydawało się absolutnie niemożliwe po całym dniu spędzonym w szkole. Pomyślałam, że to by była dobra lekcja poglądowa dla mojego syna, który wychodził rano z domu w świeżo upranych dżinsach, a kiedy wracał, spodnie od razu lądowały w koszu na brudy. Zrobiłam więc kilka zdjęć telefonem z myślą o delikatnej, nienachlanej agitacji.

Przez cały czas zdjęcia robił też Wojtek Soboń, tyle tylko, że on miał bardzo porządny, profesjonalny aparat. Pomyślałam, że później poproszę go, żeby mi przesłał kilka fotografii. Na pewno będą dużo lepsze od moich, ponieważ nie miałam ani doświadczenia, ani wyczucia. Pstrykałam, co popadnie, kompletnie się nie zastanawiając nad czymś takim jak kadr, światło czy kompozycja. Elka, moja najlepsza przyjaciółka, stwierdziła kiedyś, że to, jak robię zdjęcia, mówi bardzo wiele o mnie samej. Chaos i dobre chęci, tak to określiła. A ja, choć niechętnie, musiałam przyznać jej rację.

Żeby dojechać do Jambiani, trzeba było przeciąć wyspę na skos, z zachodu na wschód. Podróż trwała prawie dwie godziny. I przez cały ten czas moja matka półgłosem komentowała to, co widzi za oknem. Przy czym nie były to komentarze pełne zachwyty. Brzmiały mniej więcej tak:

– Widziałas te domy bez dachu? Jak oni mogą mieszkać w czymś takim? A te dzieci? Puszczają je tak samopas, przecież zaraz któreś wpadnie pod samochód. Boże, jaki kurz...

W zestawie z moją matką powinny dodawać stopery do uszu dla każdego, kto miał z nią przebywać w jednym pomieszczeniu dłużej niż kwadrans.

Pierwsza nie wytrzymała Blanka.

Po mniej więcej dwudziestu minutach nagle odwróciła się do nas i odezwała ze sztuczną uprzejmością:

– Szczerze pani współczuję. Naprawdę. Jechać taki kawał drogi i wylądować w takim chujowym miejscu...

Matka zmrużyła oczy. Widziałam, że się waha, czy wdać się w pyskówkę, a była w tym naprawdę dobra, czy odpuścić. Zwyciężył rozsądek.

– Cieszę się, że mnie pani rozumie – powiedziała słodkim jak ulepek głosem. – W pewnym wieku człowiek zaczyna mieć, niestety, swoje wymagania i przyzwyczajenia. Zresztą niedługo sama się pani przekona – dodała złośliwie. – To przemijanie jest takie przygnębiające...

Przez chwilę mierzyły się wzrokiem. Pierwsza poddała się Blanka. Posłała matce

uśmiech sztuczny jak biust Dody i powróciła do wyglądania przez okno. Chyba uznała, że matka jest na tyle silnym przeciwnikiem, że nie warto marnować na nią cennej energii.

Jedyną osobą, która naprawdę świetnie się bawiła podczas tej podróży, był nasz kierowca. Kidogo albo śpiewał sobie pod nosem jakieś afrykańskie disco polo, albo snuł opowieści o Zanzibarze, dzięki czemu moją matkę było odrobinę mniej słychać.

Uprowadził nas między innymi, że na wyspie wszystko jest *hakuna matata*. Te dwa słowa, kojarzące się z kreskówką Disneya, brzmiały niewinnie. Dopiero później mieliśmy się przekonać, że to sympatyczne „nie ma problemu” w praktyce oznacza pewne, no cóż, niedopasowanie standardów. W skrócie można to przedstawić następująco: jeżeli ktoś z obsługi mówi ci, że za chwilę przyjdzie zreperować cieknący kran, to znaczy, że pojawi się w ciągu tygodnia.

Usłyszeliśmy też długi i pełen wykrzykników wykład na temat wyższości naszego hotelu nad innymi hotelami na wyspie oraz bardzo szczegółowe sprawozdanie z wesela samego Kidogo, które trwało trzy dni.

Chłopak był tak sympatyczny i miał w sobie tyle optymizmu i dobrej energii, że kiedy w pewnym momencie zaczął nas uczyć suahili, nawet moja matka powtarzała za nim słówka.

W końcu zahamował przed solidną, drewnianą bramą, zwieńczoną napisem: „Karibu Bungalows”.

– Jesteśmy – oznajmił po polsku. – *Hakuna matata!*

Gdybym wtedy wiedziała, jak potoczą się dalsze losy naszych rajskich wakacji, w ogóle nie wysiadłabym z taksówki, tylko poprosiłabym Kidogo, żeby mnie natychmiast odwiózł z powrotem na lotnisko.

ROZDZIAŁ 6

S tałyśmy pod wielką, przewiewną wiatą, stylizowaną na afrykańską chatę. Mieściła się tu recepcja, a kawałek dalej – restauracja i bar. Mimo że bryza od oceanu niosła chłodniejsze powietrze, bluzka lepiała mi się do pleców, a po nosie spływała kolejna kropla potu. Mój organizm wyraźnie dawał znać, że nie jest zachwycony tropikalnym klimatem.

– Pani Zofia Sarnecka?

Recepcjonistka – szczupła, drobna, krótko ostrzyżona dziewczyna była Polką. Co w kontekście tego, że hotel należał do Polaka i przyjmował głównie gości z Polski raczej nie dziwiło.

Podniosła wzrok znad paszportu i wbiła w matkę zaciekawione spojrzenie. Przy białej bluzce dziewczyny zauważyłam przypiętą plaketkę z imieniem „Ola”.

– Ta Zofia Sarnecka? – sprawiała wrażenie zaskoczonej i podekscytowanej zarazem.

Matka ze skromnym uśmiechem skinęła głową.

– Uwielbiam pani książki! – w głosie recepcjonistki pojawił się ten sam emocjonalny ton, który znałam ze spotkań autorskich matki.

Teraz brakuje tylko, żeby powiedziała: „Czytałam wszystkie!” – pomyślałam z niesmakiem i dokładnie w tym momencie z ust dziewczyny padły słowa:

– Czytałam wszystkie! Jak mogłam wcześniej nie skojarzyć?! Przecież widziałam pani rezerwację...

Matka machnęła bagatelizująco ręką.

– Och, wybaczam, wybaczam... – oświadczyła tonem udzielnej księżnej. – Mam nadzieję, że da nam pani domek z widokiem na ocean? – dodała chytrze.

Prośba matki nieco zbiła recepcjonistkę z tropu.

– Och, oczywiście! – bąknęła, a na jej twarzy pojawił się popłoch. – Zaraz... Moment...

Zaczęła nerwowo klikać myszką.

– Ósemka stoi pusta – ożywiła się nagle. – Tyle że to nasz jedyny bungalow bez klimatyzacji... – zawiesiła głos, patrząc niepewnie na matkę. – Są oczywiście wiatraki...

– Bierzemy oczywiście! – matka machnęła ręką lekceważąco. – W sumie to nawet lepiej. Klimatyzacja wysusza mi skórę.

Recepcjonistka uśmiechnęła się do matki promiennie, gdy nagle jej wzrok przyciągnęło coś za naszymi plecami. Dziewczyna pod opalenizną wyraźnie się zarumieniła i zaczęła trzepotać rzęsami, jakby do oka wpadło jej stado muszek owocowych.

Odwrociłam się, żeby sprawdzić, jakież to widok tak ją poruszył, i zobaczyłam Filipa Dukaja zmierzającego w naszym kierunku. Szedł energicznym, sprężystym krokiem, uśmiechnięty od ucha do ucha, najwyraźniej upał nie robił na nim wrażenia. Kawalek dalej czekała jego żona, oblepiona dziećmi i bagażami niczym samica oposa.

Dla recepcjonistki pozycja literacka mojej matki natychmiast przestała być ważna i Zofia Sarnecka z ulubionej pisarki w sekundę spadła na pozycję starszej kobiety, która zajmuje miejsce przy ladzie i której trzeba się jak najszybciej pozbyć.

– To dla pań – powiedziała dziewczyna szybko, przesuwając w stronę matki dwa płaskie klucze. – Bagaże zaraz ktoś zabierze! Do zobaczenia na obiedzie!

Przez chwilę miałam wrażenie, że krzyknie „Sio, sio!” i odgoni nas od recepcji. Na szczęście zanim moja matka zdążyła się zorientować, że jej atrakcyjność spadła na łeb na szyję, jak spod ziemi wyrósł Kidogo, chwycił nasze walizki i z zachęcającym:

– Idziemy, idziemy! – ruszył ścieżką w stronę oceanu.

Z walizkami jest jak z dziećmi, lepiej nie spuszczać ich z oczu, więc w naturalny sposób podążyliśmy za nimi. Kątem oka zdążyłam jeszcze dostrzec, jak Dukaj opiera się o ladę recepcji i sięga do tabliczki z imieniem, przypiętej do bluzki dziewczyny.

– Ola... – usłyszałam charakterystyczny, niski głos aktora. – Moja pierwsza dziewczyna miała tak na imię.

Nasz bungalow stał na skarpie, oddzielony od oceanu wąskim pasem zieleni. Parterowy, śnieżnobiały, pokryty grubym dachem z trzciny, z daleka przypominał skromną lokalną chatę. Kiedy podeszliśmy bliżej, okazało się jednak, że ma wielkie, nowoczesne okna, solidne drzwi, a w środku jest przestronny, jasny i elegancko wykończony. Składał się z niewielkiej sieni, łazienki i dużego pokoju, w którym stały dwa drewniane, rzeźbione łóżka z baldachimami z delikatnej muślinowej moskitiery. Na pościeli ktoś starannie ułożył łabędzie z ręczników. Miały szyje wykręcone w kierunku łazienki, tak jakby chciały do niej odlecieć.

Kidogo postawił walizki i popatrzył na nas z taką dumą, jakby to on był właścicielem hotelu.

– Ładne! Piękne! Podoba się?

– Może być – oświadczyła łaskawie matka, wygrzebała z kieszeni jakiś banknot i wręczyła chłopakowi. Z daleka banknot przypominał dziesięć złotych i jak znam matkę, to rzeczywiście mogła być dycha.

Kidogo płynnym, wyćwiczonym ruchem wsunął pieniądze do kieszeni spodni, uśmiechnął się po raz dwusetny w ciągu ostatniego kwadransu i zniknął.

Zostałyśmy same.

– Gdzie wolisz spać? – matka opadła na łóżko ustawione tuż przy drzwiach

tarasowych. – Bo ja właśnie tutaj. Przepiękny widok!

Mnie w związku z tym przypadło łóżko tuż przy drzwiach do łazienki. Rzuciłam się na nie tak, jak to robią na filmach, z rozłożonymi ramionami. Kiedy tak leżałam, wpatrując się w sklepienie baldachimu, nagle ogarnęło mnie zmęczenie podróżą, temperaturą, brakiem snu, wszystkim. Postanowiłam, że przez przynajmniej godzinę nie ruszę nawet małym palcem.

Za to matka zaczęła działać. Wypakowała swoje rzeczy, ułożyła je w szafie, a na koniec wyjęła z torby laptopa i ustawiła na stole. Nóżka stolika stuknęła. Matka bujnęła nim raz, potem drugi.

– Kiwa się – skonstatowała, zdziwiona. – Czterogwiazdkowy hotel, kto by się spodziewał.

Wygrzebała z torebki kartę pokładową, złożyła na pół, wsunęła pod nogę stolika. Sprawdziła. Kiwanie się zmniejszyło, ale nie ustąpiło. Złożyła więc kartę na czworo. Tym razem podziałało. Matka wyprostowała się, usatysfakcjonowana, i otworzyła komputer.

– Możesz mi sprawdzić hasło do wifi? – rzuciła.

Niechętnie usiadłam na łóżku i dotknęłam stopami podłogi. Kafle były tak orzeźwiająco chłodne, że przez chwilę zapragnęłam się na nich położyć.

Hasło znalazłam na karcie informacyjnej obok telefonu. Nie było zbyt skomplikowane.

– Karibu2020 – podyktowałam matce.

W skupieniu wstukała kod. Po chwili na ekranie pojawiła się wyszukiwarka Google. Z pewnym zdziwieniem zauważyłam, że pierwszą stroną, jaką otworzyła, był Facebook.

– Idziemy na plażę? – zaproponowałam.

Matka machnęła ręką, jakby opędzała się od muchy.

– Ja tu muszę sprawdzić kilka rzeczy, ale ty idź, oczywiście.

– Ale mam... – zaprotestowałam. – Przecież chyba na wakacjach nie będziesz siedziała przy komputerze!

Matka zmarszczyła brwi.

– A to ja ci nie powiedziałam?

– Czego?

– Że muszę dokończyć książkę?

Zatkało mnie.

– Nie, nie powiedziałaś.

– No to mówię teraz.

To wszystko brzmiało coraz bardziej abstrakcyjnie.

– Jeszcze na lotnisku słyszałam, że przyjechałaś tu odpocząć!

– Oczywiście. Od dzieci i głupich pytań.

Rozpaczliwie szukałam w głowie jakiegoś argumentu.

– Mam, przecież to bez sensu. Nie możesz pisać na... na... na Zanzibarze!

– Czemu nie? – zdziwiła się matka. – Takie samo dobre miejsce jak każde inne. Poza tym nie mam wyjścia. W wydawnictwie czekają na tekst. Koniec kropka.

I wróciła do przewijania fejsa.

Od rozwodu moich rodziców nie widywałyśmy się z matką zbyt często. Wyprowadziła się do Warszawy, zostawiając dom mnie i Tomkowi, i zajęła pisaniem. Wessały ją ruchome piaski twórczości, a upływający czas zaczęły odliczać kolejne premiery książek. Przestałyśmy się nie tylko spotykać, ale nawet – rozmawiać, bo kiedy do niej dzwoniłam, najczęściej odrzucała połączenie. Kiedy pracowała, absolutnie nikt nie mógł jej przeszkadzać.

Być może dzięki temu pisała dużo i szybko. Zaczęto nawet porównywać matkę do Mroza, co strasznie ją złościło. A jednak fakty były takie, że wydawała prawie tyle samo tytułów rocznie co on, a jej pozycja na rynku zaczynała powoli zbliżać się do jego pozycji. W konsekwencji wydawnictwo, które na książkach matki zarabiał krocie, traktowało ją jak gwiazdę.

Dlaczego w takim razie nie przesunęli jej terminu oddania tego tekstu na tyle, żeby nie musiała pracować podczas urlopu?

I nagle przyszła mi do głowy dziwna myśl: a jeżeli ta złamana noga Bogusia to kłamstwo? Jeżeli oni się po prostu ze sobą pokłócili i zerwali? To znaczy matka zerwała, a on teraz, wykorzystując swoją pozycję w wydawnictwie, mści się na niej, żądając wypełnienia umowy bez względu na okoliczności?

Nawet jeżeli ta teoria była naciągana, i tak zrobiło mi się żal matki. Zaplanowała wakacje ze swoim facetem, a teraz musi się gniesć w jednym pokoju z dorosłą córką i w dodatku kończyć książkę. Głupia sprawa.

Pomyślałam, że jedyne, co mogę w tej sytuacji zrobić, to schodzić jej z drogi. Będę niewidzialna i niesłyszalna, takie skrzyżowanie sowy i kameleona, postanowiłam. I wcielając owo postanowienie w życie, przebrałam się w jedną z kilku zwiewnych sukienek, które kupiłam przed wyjazdem podczas nerwowej tury po sklepach, oznajmiłam matce, że idę się przejść, i ruszyłam zalaną słońcem ścieżką w kierunku recepcji.

Minutę po tym, jak opuściłam klimatyzowane wnętrza, już byłam spocona jak mysz, a zwiewna sukienka przestała być zwiewna i przyłgnęła do mojego ciała, oblepiając je wilgotnym całunem, a powietrze zamiast tlenu wprowadzało do moich płuc kleisty krochmal. Zrozumiałam, że na Zanzibarze najpiękniej w moich uszach będą brzmieć dwa słowa: klimatyzacja oraz lodówka.

Ścieżka wiała się między tonącymi w zieleni bungalowami. Kilkadziesiąt metrów dalej usłyszałam jakieś zamieszanie – do sąsiedniego domku właśnie ktoś się wprowadzał. Rozsunęłam gałęzie kwitnącej na różowo, bujnej rośliny, która zasłaniała mi widok, i zobaczyłam żonę Dukaja z najmłodszym dzieckiem na ręku, stojącą w otwartych drzwiach tarasowych. Cofnęłam się szybko. Nie chciałam, żeby pomyśleli, że jestem wścibska. Albo że im cykam foty z ukrycia dla Pudelka.

Ścieżka zaprowadziła mnie na plac przed recepcją. Ola, która nas meldowała, ciągle tkwiła za ladą, najwyraźniej się nudząc. Nawet mnie nie zauważyła, wpatrzona w ekran telefonu.

Minęłam ją i podeszłam do baru. Barman, młody chłopak w koszulce z logo hotelu, przygotowywał właśnie drinka dla jedynego o tej porze klienta – tego eleganckiego przystojniaka, który jechał z lotniska taksówką z Dukajami. Mężczyzna zdążył się już przebrać – miał teraz na sobie polo w kolorze jasnego błękitu, zmienił też spodnie na krótkie, a mokasyny – na sandały. W tych swoich markowych ciuchach i z wypasionym zegarkiem, który musiał kosztować milion monet, ostentacyjnie błyszczącym na lewym nadgarstku, wyglądał na klasycznego turystę z wyższej półki, stałego bywalca butikowych hoteli. Aż dziwne, że przyjechał sam. Taki gość jak on aż się prosił o długonogą dziewczynę u boku, koniecznie w skąpym bikini i z ustami pokąsanymi przez pszczoły.

Usiadłam kilka krzeseł od niego. Odwrócił się w moją stronę i omiółł szybkim spojrzeniem. Ze zdziwieniem odnotowałam, że nie zrobił tego taksująco. W jego wzroku nie było oceny, tylko życzliwe zainteresowanie.

– Hej! – uśmiechnął się szeroko. – Widzieliśmy się dzisiaj na lotnisku.

Zsunął się ze swojego miejsca i przysiadł do mnie.

– Sylwek – wyciągnął rękę.

– Magda, miło mi – uścisnęłam ostrożnie jego dłoń.

Barman postawił przed mężczyzną szeroki kieliszek z płynem w bładocytrynowym kolorze, a ja przypomniałam sobie, po co tu przyszłam.

– Cola? – bardziej zapytałam niż poprosiłam.

Barman błysnął białymi zębami.

– Cola jasne. Już się robi – odpowiedział po polsku.

Nasz język w ustach Zanzibarczyka brzmiał abstrakcyjnie.

– Jak ci się tu podoba? – Sylwek sięgnął po drinka, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Bezceremonialność, z jaką przeszedł na ty, trochę mnie zaskoczyła.

– Och, jest... fantastycznie! – odważyłam się na entuzjazm. – Wszystko jest takie inne. Afrykańskie... – nie umiałam znaleźć odpowiednich słów, żeby opisać swoje wrażenia.

– Oczywiście, w końcu Zanzibar jest Afryką – zgodził się. – Ale pytałem o hotel.

– No cóż, wygląda super. Ale ja bardzo mało podróżuję, nie znam się na hotelach – zastrzegłam.

Na barze przede mną pojawiła się szklanka z colą. Upiłam łyk lodowatego płynu. Czuałam, jak przepływając przez gardło, cudownie chłodzi mnie od środka.

– Ja się na to miejsce zdecydowałem w ostatniej chwili – wyjaśnił Sylwester. – Mieli superpromocję. Naprawdę dobra cena, ale to zawsze niesie ryzyko. Więc jestem czujny. Choć jak na razie wszystko wygląda nieźle.

Spróbował drinka i lekko się skrzywił.

– No może poza tą margaritą.

Skinął na barmana.

– Niedobre – powiedział po polsku. – Źle zrobione. Za dużo soku z limonki. Zrób mi nowy – przesunął kieliszek w stronę chłopaka.

Tym razem polszczyzna barmana nie chciała unieść tematu.

– Nie rozumieć – rozłożył ręce i uśmiechnął się.

– Poproszę nowego drinka. Mniej limonki – tłumaczył Sylwester.

– Nie rozumieć – barman znowu się uśmiechnął.

Widziałam, że Sylwek zaczyna tracić cierpliwość. Swoją drogą nie mogłam pojąć, jak z powodu takiego drobiazgu można było robić aferę.

– W takim razie zwołaj menagera – zażądał.

– Słucham? Jakiś problem?

Obok nas jak spod ziemi pojawił się mężczyzna w nieświeżym podkoszulku i kolorowych spodenkach, które bardziej przypominały kąpielówki niż szorty. Wyglądał na zmęczonego życiem, a pod mocną opalenizną zauważyłam rozszerzone naczynka, charakterystyczne dla osób nadużywających alkoholu.

Sylwek zmrużył oczy jak kot chwilę przed atakiem.

– Nic, co by mogło pana zainteresować – uciął temat. – Czekam na menagera.

Niechlujny facet przysunął się bliżej.

– Jerzy Rachoń, słucham pana – rzucił.

Do Sylwka wreszcie dotarło.

– A więc to pan odpowiada za to miejsce... – powiedział takim tonem, jakby chodziło o karalucha w zupie. – Zwróciłem uwagę barmanowi na jakość drinka, która niestety była niezadowolająca. Udawał, że nie rozumie, o co chodzi.

Sylwek najwyraźniej się nakręcał, podczas gdy Rachoń sprawiał wrażenie całkowicie spokojnego. Prawdopodobnie ten typ klienta nie był mu obcy.

– Nasz personel się stara, ale proszę nie przeceniać ich znajomości polskiego. Niektórzy mówią całkiem dobrze, inni dopiero się uczą. Zawsze w takich wypadkach trzeba sobie pomóc angielskim – poradził. – Zaraz wszystko wyjaśnimy.

Nie miałam ochoty uczestniczyć dłużej w tej rozmowie. Kilkoma łykami dopiłam colę, zsunęłam się z krzesła i ruszyłam w stronę oceanu, zostawiając obu mężczyzn, próbujących ustalić prawidłową recepturę drinka. Jednego byłam pewna. Moja cola smakowała idealnie.

Z niewielkiego klifu, na którym zbudowany został hotel, w dół na plażę prowadziły kamienne schodki. Były strome i nierówne, dlatego schodząc, trzymałam się mocno poręczy i cały czas patrzyłam uważnie pod nogi. Dopiero kiedy moje stopy zanurzyły się w miękkim jak mąka piasku, podniosłam wzrok.

Widok, który ukazał się moim oczom, był tak idealny, że przez kilka pierwszych sekund miałam wrażenie, iż mam przed sobą gigantyczną fototapetę. Szeroki pas piasku w kolorze kości słoniowej, palmy pochylające zielone pióropusze mięsistych

liści nad wodą w kolorze turkusu, lekko spienione fale, zagarniające plażę z cichym sykiem, łódki tubylców na horyzoncie... Musiałam zamrużyć kilka razy, żeby się upewnić, że to nie sen. A kiedy w końcu do mnie dotarło, że moja rzeczywistość przez najbliższe dwa tygodnie tak właśnie będzie wyglądać, wszystkie wątpliwości natychmiast zniknęły. Znikła również, aż wstyd przyznać, tęsknota za domem, którego podobno tak nie lubiłam opuszczać, znikła tęsknota za dziećmi, które na pewno świetnie sobie teraz radzą z ojcem na nartach, znikła też, szczątkowa, ale jednak, tęsknota za Walczakiem.

Ależ tu jest bosko! – pomyślałam. Nawet upał w tym momencie przestał mi przeszkadzać.

Podeksytowana, zsunęłam z nóg sandały i pobiegłam bosą przed siebie, w kierunku wody.

Czułam, że ten pierwszy moment zetknięcia z oceanem powinien być mistyczny. Chciałam go wspominać i chciałam o nim opowiadać. Gdyby to był film, w tle powinna brzmieć jakaś piękna i wzniosła muzyka, całkiem niezłe pasowałyby *Rydwany ognia*, choć to akurat najprostsze skojarzenie. Gdyby to był film, biegłabym w zwolnionym tempie, a moje włosy rozwiewałby wiatr.

Nagle gdzieś za mną rozległ się krzyk:

– Hej, Magda! Buty włóż!

Muzyka w mojej głowie urwała się ze zgrzytem igły o analogową płytę. Zatrzymałam się, a całą wzniosłość natychmiast szlag trafił.

Czułam, jak gorący piasek parzy moje stopy, sukienka lepi się do ciała jeszcze bardziej niż przedtem, a wszędzie dookoła pachnie zgniłymi wodorostami. Odwróciłam się, rozczarowana i zła.

Kto śmiał mi to zrobić?

Od strony schodów zbliżała się dziewczyna, z którą jechaliśmy taksówką z lotniska, czyli Blanka. Zapamiętałam jej imię, bo było okropnie pretensjonalne i świetnie do niej pasowało. Zaskakujące, że ona zapamiętała moje.

W krótkiej, mieniącej się błękitami i fioletem kiece i okularach przeciwsłonecznych o wielkich, okrągłych szklach wyglądała jak elegancka mucha. Podeszła bliżej.

– O co ci chodzi z tymi butami? – zapytałam, zirytowana.

Blanka podniosła na czoło ciemne okulary i przyglądała mi się teraz, mrużąc oczy od słońca.

– Pierwszy raz w tropikach, co?

– Tak, ale co to ma wspólnego...

– Jeżowce – wyjaśniła. – Całe dno jest tutaj pełne pierdolonych jeżowców. Siedzi takie gówno w piasku, w ogóle go nie widać, a jak na niego wleziesz, to ci się kolec wbija w stopę i urlop, kurwa, z głowy.

– Czyli nie mogę chodzić po plaży na bosaka? – poczułam taki zawód, jaki zapewne poczułaby Maryja, gdyby urodziła dziewczynkę.

– Po plaży możesz. Tylko do wody się nie pchaj. Buty do pływania masz?

Pokręciłam przecząco głową.

– Jak się jedzie w tropiki, zawsze trzeba brać! – poinstruowała mnie. – W tropiki i do Chorwacji, bo tam znowu kamienie.

Blanka sięgnęła do wielkiej, kolorowej torby, przewieszanej przez ramię, i wyciągnęła z niej coś wściekle pomarańczowego.

– O, tak to wygląda – zademonstrowała. – Zajebisty kolorek, co?

Przysiadła na piasku, zrzuciła japonki, włożyła buty do pływania, potem poderwała się energicznie i ruszyła sprężystym krokiem w stronę wody. Patrzyłam z zazdrością na jej wyćwiczone ciało. Nie wiem, jak długo ja musiałabym chodzić na siłownię, żeby osiągnąć takie efekty, skoro po trzech miesiącach intensywnych treningów straciłam ledwo trzy kilogramy. Kilo na miesiąc to nie jest, umówmy się, jakiś spektakularny wynik.

Z zamyślenia po raz drugi w ciągu ostatniego kwadransa wyrwał mnie okrzyk Blanki:

– Hej, wkładaj sandały i chodź!

Blanka stała po kostki w wodzie i poganiała mnie energicznym ruchem ręki.

Więc założyłam sandały i poszłam przywitać się z oceanem.

Dla kogoś, kto z mórz znał jedynie Bałtyk, temperatura wody mogła być szokiem. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że będzie ciepła, ale nie spodziewałam się wrzątku.

– To jest jakiś odlot – jęknęłam, posuwając się po cudownie gładkim dnie coraz dalej i dalej. Podniosłam sukienkę. Jeszcze dwa kroki i delikatnie falująca woda zaczęła obmywać moje kolana. Jeszcze krok i połaskotała uda. Rozejrzałam się za Blanką. Moja nowa koleżanka brodziła po płyce tuż przy plaży.

– Hej, chodź tutaj! – pomachałam do niej. – Jest bosko!

A potem coś mi przyszło do głowy. Zawróciłam i podeszłam do Blanki, rozchlapującej wodę stopą.

– Może skoczmy po kostiumy i popływamy? – zaproponowałam.

– Ja nie pływam.

– Jak to nie pływasz?

Blanka wzruszyła ramionami.

– No nie pływam. Boję się wody. Pieprzona hydrofobia. Tyle, co mogę wejść, to do kostek. O, tak jak teraz.

Pokazała wymownie palcem w dół. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Jedyne słowo, które cisnęło mi się na usta, brzmiało:

– Dziwne...

– Dlaczego? – zdziwiła się.

– Myślałam, że teraz wszyscy potrafią pływać.

– Ja akurat nie. Nic nie poradzę, że miałam ojca debila.

Zaczynało się robić interesująco.

– Kiedy byłam mała, miałam sześć czy siedem lat, mój kochany tatuś wymyślił sobie, że mnie nauczy czegoś, jakiejś umiejętności, która zostanie ze mną do końca życia. Tak wzniosłe, rozumiesz? Mógł wybrać jazdę na rowerze albo na łyżwach, albo grę na akordeonie, cokolwiek kurwa, ale nie, on sobie wymyślił pływanie. Tylko że nie po ludzku, ostrożnie, z kołem ratunkowym czy w rękawkach, o nie. To by było banalne, a on lubił przyszaleć. Więc postanowił to zrobić inaczej, tak spektakularnie. Zabrał na łódkę mnie, zabrał jakiegoś swojego kumpla nieogara i kilka piw, i wypłynął na środek jeziora. To była taka łódka z płaskim dnem, co to od każdej najmniejszej fali się buja, jakby sztorm był, dwa metry przepłyniesz i już rzygasz. No więc ja pamiętam tylko tyle, że rzygałam. Wypłynęliśmy na środek jeziora, ojciec wypił piwo i mnie z tej łódki wyrzucił. Tylko nie widział, że ta metoda nie zawsze działa. I tak się pechowo złożyło, że akurat w moim wypadku nie zadziałała. Bo zamiast zacząć pływać, to się zaczęłam, kurwa, topić.

Uderzyła stopą w powierzchnię wody, rozbryzgując ją.

– Ojciec tak się długo zastanawiał, czy po mnie wskoczyć, że w końcu zaczął mnie ratować ten jego kolega. Też po piwku. No i niby mu się udało, ale ja dostałam takiej fobii na wodę, że przez miesiąc zębów nie mogłam umyć. – Poprawiła zsuwające się z nosa okulary. – Teraz rozumiesz, dlaczego mi z pływaniem nie po drodze.

– Przykro mi – bąknęłam, żeby coś powiedzieć.

– Mnie tam nie – parsknęła śmiechem. – Przynajmniej mam zajebistą historię do opowiadania.

Ruszyliśmy w stronę brzegu. Zaczęłam się zastanawiać, czy mój ojciec nauczył mnie czegoś, co zostało ze mną na całe życie. Do nauki jazdy na rowerze zabierał się tak długo, że w końcu sama ją opanowałam. Identycznie było z jazdą na łyżwach, na nartach i pływaniem. Ojciec działał według następującego schematu: najpierw opowiadał wszystkim naokoło, że będzie mnie uczyć, potem nawet się do tego jakoś przygotowywał: odkręcił od mojego rowerka boczne kółka, a do siodełka przymocował kij od szczotki, żeby mnie przytrzymywać w pionie, kupił mi też łyżwy figurówki i abonament na basen. Jednak za każdym razem, po pierwszej ekscytacji pomyślałam, przychodziło tyle innych, nowych, ciekawych aktywności, że zwykłe zajmowanie się dzieckiem schodziło na drugi plan.

Dokładnie tego mnie nauczył. Schodzenia na drugi plan. I zostawił w spadku na całe życie.

Chyba bym już wołała hydrofobię.

Od strony hotelu dobiegły jakieś radosne odgłosy. Odwróciłam się. Plażą nadchodził Dukaj z dwójką starszych dzieci. Dziewczynkę niósł na barana, a dookoła nich, niczym wolny elektron, krążył chłopiec. Za każdym razem, kiedy zbliżał się do ojca, próbował uszczypnąć siostrę. Mała reagowała na to wybuchami śmiechu i piskiem o wyjątkowo wysokich częstotliwościach.

– Tylko nie to – jęknęła Blanka. – Jak ja nienawidzę takich małych gnojzków.

Popatrzyła na mnie czujnie.

– Ty masz jakieś?

Powiedziała to takim tonem, że przez moment chciałam odpowiedzieć, że nie, skąd, nie mam.

– Dwoje – bąknęłam. – Zostały w domu. – I natychmiast odczułam potrzebę usprawiedliwienia. – Z ojcem.

Blanka uniosła energicznie oba kciuki w górę.

– No i bardzo dobrze! Dzieciaki na wakacjach to pomyłka. Musisz mieć, kurwa, oczy z tyłu głowy, a i tak ci się albo potopią, albo porzycją.

Przy ostatnim słowie aż się wzdrygnęła.

– A ty? To znaczy wy? Macie dzieci? – spytałam, choć doskonale wiedziałam, jaka będzie odpowiedź.

Parsknęła śmiechem.

– Czy ja wyglądam na matkę Polkę? Nie mam dzieci i nie zamierzam mieć. –

Rzuciła mi szybkie spojrzenie, żeby ocenić, jakie wrażenie zrobiła na mnie jej deklaracja. – Po prostu dbam o planetę. Segreguję śmieci, nie używam foliówek, nie jem mięsa i nie rodzę dzieci. Na świecie jest w chuj ludzi – ciągnęła – i nie zamierzam dokładać kolejnych.

Podczas naszej rozmowy Dukaj zdjął małą z ramion i postawił na plaży. Chłopiec natychmiast klepnął ją w ramię, krzyknął „berek” i puścił się biegiem w przeciwną stronę. Dziewczynka zaczęła go gonić, zaśmiewając się głośno, a Dukaj pokrzykiwał, dopingując im.

– A poza tym po prostu bachorów nie znoszę. – Blanka skrzywiła się, zde gustowana. – Dżizas, jak oni się drą. Spadam.

Popatrzyłam w dół. Między moimi stopami przepłynęła niewielka rybka w kolorze purpury.

– Ja jeszcze zostanę. Jestem zahartowana – wyjaśniłam.

Blanka przewróciła oczami.

– Jasne. Si ju.

I ruszyła w stronę schodów prowadzących do hotelu. Nie mogłam oderwać od niej wzroku. Miała nienaganną figurę, ale to, co było w niej najbardziej atrakcyjne, to sposób poruszania się. Szła, lekko kołysząc biodrami, a całe jej fantastyczne ciało krzyczało: patrzcie, jaka jestem zajebista. Coś, o czym ja mogłam tylko pomarzyć.

Pochodziłam jeszcze chwilę po wodzie, w końcu spojrzałam na zegarek i jęknęłam.

Nie, nie dlatego, że było późno.

Spod paska wyłonił się fragment białej skóry. Kontrast między nim a opaloną resztą był niepokojący.

Co mi uświadomiło, że zapomniałam się przed wyjściem posmarować kremem.

Zajrzałam sobie chyłkiem w dekolt, co tylko potwierdziło moje podejrzenia.

Pierwszego dnia na Zanzibarze udało mi się spalić na skwarę.

– Auć! Mamo, błagam cię, delikatniej!

Siedziałam na krześle w naszym domku, a matka smarowała mi ramiona specjalną maścią na poparzenia słoneczne.

– Nie przesadzaj. Ledwo cię muskam.

To, co matka nazywała muskaniem, ja odczuwałam tak, jakby mnie szorowała po plecach papierem ściernym.

– A pamiętasz, jak byliśmy na wakacjach w Juracie? – spytała nagle. – Wykopałaś sobie taką norkę w piasku, zwinęłaś się w kłębek i zasnęłaś. Dwie godziny na pełnym słońcu. Byłaś czerwona jak ćwikła. Cud, że nie dostałaś udaru. Bardzo nieodpowiedzialne zachowanie – w jej głosie zabrzmiało szczere potępienie. – Robiłam ci potem na plecy okłady ze zsiadłego mleka.

Właściwie pamięć mam niezłą. Do dziś potrafię wyrecytować inwokację z „Pana Tadeusza” oraz spore fragmenty przedstawienia, które nasza klasa przygotowała z okazji studniówki, a egzamin z farmakologii, na który trzeba się było wykuć składu niezliczonej ilości leków, zdałam śpiewająco. Ale z mojego dzieciństwa nie pamiętam prawie nic.

Jedna moja koleżanka terapeutka, przy której coś kiedyś na ten temat bąknęłam, poczęstowała mnie fachowym określeniem „wyparcie”. I tak, zapewne miała rację.

Kilka wybiórczych wspomnień, które gdzieś tam się jednak uchowały, dotyczyły zwierząt, bo w ich obecności zawsze czułam się dobrze. Bezpiecznie. Być może dlatego incydent z Juraty zapamiętałam całkiem niezłe, bo w „norcie”, o której wspomniała matka, usnęłam z ropuchą. Piękną, wielką ropuchą, którą postanowiłam oswoić. Znalazłam ją po drodze na plażę i nic nie mówiąc matce, schowałam do swojego wiaderka. A potem wykopałam dla niej wielki, piękny dół, wpuściłam ją do środka i usatysfakcjonowana położyłam się w piasku razem z moją zdobyczą. Po czym faktycznie usnęłam.

– Miałam pięć lat – przypomniałam. – Zniknęłam wam z oczu na pół dnia, a wy mnie nawet nie próbowaliście szukać, bo o mnie zapomnieliście. To jest dopiero nieodpowiedzialne zachowanie.

Choć nie widziałam twarzy mojej mamy, z nerwowych ruchów jej dłoni wywnioskowałam, że nie jest zachwycona moją uwagą. Zastanawiała się pewnie, czy ją zignorować, czy sprostować.

Sprostować nie miała jak.

– Masz pozdrowienia od Bogusia – gładko zmieniła temat.

– O, dziękuję! Jak on się czuje?

Głowę bym dała, że matka delikatnie wzruszyła ramionami.

– Siedzi sobie na kanapie przed telewizorem, więc jak ma się czuć?

– Siedzi sobie na kanapie przed telewizorem z nogą w gipsie... – przypomniałam jej.

– No i?

Rozmowy z moją matką na temat uczuć innych osób nigdy się nie kleiły.

Za to ja, pokryta grubą warstwą maści, kleiłam się jak UHU.

– Wystarczy! – Na podkreślenie swoich słów matka lekko klepnęła mnie w ramię. Aż podskoczyłam.

A potem mój wzrok padł na stojący na stoliku komputer.

– Będiesz teraz pisać? – spytałam chytrze.

– Raczej nie.

Każda inna znana mi osoba domyśliłaby się natychmiast celu mojego pytania i dodała: Może chciałabyś skorzystać? No ale nie moja matka, dlatego zapytałam sama:

– Mogę skorzystać?

– Możesz. Tylko nie popsuj.

Sygnał Skype'a pulsował i pulsował, pulsował i pulsował, a moje serce trzepotało z tęsknoty jak kijanka w wysychającej kałuży. Tak bardzo chciałam usłyszeć i zobaczyć moje dzieci, że nawet żółty kolor ikonki oraz dyskretny komunikat, że użytkownik Kubix był ostatnio aktywny pięć godzin temu, nie mógł mnie powstrzymać przed podejmowaniem kolejnych prób dodzwonienia się do syna.

– Wyłącz to! – krzyknęła matka z łazienki. – Bo zwariuję!

– Nie ma ich – jęknęłam.

– Słyszę. Od dziesięciu minut słyszę.

– Ale dlaczego?

Matka weszła do pokoju przebrana w jasną, bardzo obcisłą sukienkę z dekoltem, którego ja nie założyłabym nawet pod groźbą śmierci. Stała przed dużym lustrem wiszącym w holu i zaczęła się sobie uważnie przyglądać.

– No wiesz, jak ktoś jedzie do Bukowiny na narty, to nie po to, żeby siedzieć przed komputerem i czekać na rozmowę z Zanzibarem – mówiąc to, gładziła się dłonią po brzuchu. – Czy ona się tutaj za bardzo nie marszczy?

Zmrużyłam oczy, mimo to nie udało mi się dostrzec ani jednej fałdki materiału. Matka miała fantastyczne ciało, to trzeba jej było przyznać. Odkąd zaczęła robić karierę jako pisarka, bardzo dbała o swój image. Chodziła na przykład regularnie – dużo regularniej niż ja – na siłownię, podejrzewałam ją też o korzystanie z zabiegów wyszczuplających, choć nimi się akurat nie chwaliła.

– Nie, absolutnie nic się nie marszczy – zapewniłam ją.

Matka, uspokojona, wyciągnęła z walizki ponczo w biało-czarne maziaje, i narzuciła je na siebie. Do tego dołożyła słomkowy kapelusz z wielkim rondem, który zaskakująco dobrze przeżył podróż, oraz okulary przeciwsłoneczne o wielkich kwadratowych szklach, które zasłaniały jej połowę twarzy. Okręciła się przed lustrem jak nastolatka wychodząca na randkę. W ogóle się nie dziwię Bogusiowi, że wolał zasponsorować mój wyjazd, niż puszczać matkę samą.

– Idę na kolację – oznajmiła. I zanim zdążyłam w jakikolwiek sposób się do tego

odnieść, dodała: – Ty lepiej zostań. Ta maść jest taka... nieestetyczna.

Popatrzyłam na swoje białe, lepkie ramiona. Z przykrością musiałam przyznać jej rację.

– Coś ci przyniosę – pocieszyła mnie i już jej nie było.

Odwrociłam się z powrotem do ekranu komputera z nadzieją, że może ikonka Kubixa zmieniła kolor na zielony, ale oczywiście to się nie stało.

Z nudów, a może z nerwów, wpisałam do okienka z lupką imię i nazwisko Elki. Skype przeżuł je i błyskawicznie wypluł, bagatela, czterdzieści dwa kontakty. Moją przyjaciółkę rozpoznałam na ósmym z kolei zdjęciu. Pod którym, co zaskakujące, paliła się zielona ikonka dostępności. Natychmiast kliknęłam w słuchawkę.

Pulsujący sygnał zabrzmiał ponownie. Tym razem już po kilku sekundach na ekranie pojawiło się wnętrze kuchni, którą tak dobrze znałam. Oraz, również znajoma, twarz mojej przyjaciółki.

– Madzia? – zdziwiła się Elka. – Już się stęskniłaś?

– No trochę – przyznałam. – Ale nie za tobą, tylko za dziećmi. Dzwonię do nich i nie odbierają. I tak się zastanawiam...

Elka zbliżyła twarz do ekranu, tak jakby chciała przejść przez niego na drugą stronę. A potem zaczęła się śmiać. Jak zwykle szczerze i jak zwykle niepohamowanie. Kiedy Elka się śmiała, odchyłała głowę do tyłu tak, że widać jej było podniebienie. Teraz, w kamerze komputera, wyglądała jakby chciała połknąć podrzucony w górę orzeszek.

Uspokoila się dopiero po chwili.

– Jesteś niemożliwa – powiedziała, wycierając palcami łzy z kącików oczu. – Naprawdę chcesz, żebym dzwoniła teraz do Tomka?

Tak, taka była Elka. Obcesowa to mało powiedziane.

Bo oczywiście dokładnie o to mi chodziło. Żeby pod byle jakim pretekstem zatelefonowała do mojego byłego męża i wypytała go, czy z dziećmi wszystko w porządku. W końcu nic by ją to nie kosztowało.

– Nie, coś ty. Nie musi być teraz. Za dziesięć minut wystarczy – chciałam, żeby to zabrzmiało luźno i niezobowiązująco.

– Miałam nadzieję, że ten wyjazd będzie dla ciebie terapeutyczny. Że odetniesz dzieciakom pępowinę. I może spotkasz kogoś fajnego...

Ta znowu swoje. Od pół roku popychała mnie w dwa kompletnie różne kierunki. Z jednej strony lansowała pogląd, że powinnam koniecznie się z kimś przespać. A z drugiej strony tłumaczyła mi z ogromnym zapałem, że jeżeli chcę mieć dobry i sensowny związek, nie mogę w niego wskakiwać natychmiast po rozstaniu z mężem.

Schizofrenia.

A jednocześnie, kiedy teraz Elka wspomniała o kimś fajnym, przez głowę przeleciała mi, niczym meteoryt, zaskakująco ciepła myśl o Walczaku. Na szczęście bardzo szybko, również jak meteoryt, stopiła się w ziemskiej atmosferze. Nie będę się w ogóle zajmować teraz tym tematem, postanowiłam. Nie ma sensu.

– Przypominam ci, że jestem tutaj z matką – zwróciłam uwagę przyjaciółce. –

Żadne romanse nie wchodzą w grę. Przynajmniej moje.

Z tyłu, za Elką coś się poruszyło i nagle tuż nad jej ramieniem pojawiła się twarz Jacka.

– Halo, Zanzibar! – pomachał do kamerki.

– O, Jacek... Już wróciłeś? Co za niespodzianka! – zauważyła Elka z przekąsem.

W Podkowie dochodziła właśnie dwudziesta pierwsza. Jeżeli Jacek dopiero o tej porze skończył pracę, to nie dziwię się jego żonie, że nie była tym specjalnie zachwycona.

– Ktoś nie śpi, aby spać mógł ktoś – stwierdził Sikora sentencjonalnie, ale niewiele mu to pomogło.

– Ktoś musiał odwołać dodatkowy angielski dziecku, bo nie miał go kto zawieźć – warknęła jego żona, po czym zwróciła się do kamerki w laptopie:

– Sprawdzę ci tego Tomka.

Wstając, odsunęła krzesło tak energicznie, że uderzyła Jacka oparciem w brzuch.

– Hej, a co to za agresja? – oburzył się Sikora, ale Elka zdążyła już wyjść z pokoju.

Jacek przez chwilę wyglądał tak, jakby nie wiedział, co ze sobą zrobić. Po chwili wahania opadł na krzesło przed komputerem.

– Ledwo żyję – wyznał.

Rzeczywiście, nie wyglądał najlepiej, i nie był to raczej efekt złego oświetlenia. Ostatnim razem widziałam go w takim stanie kilka miesięcy temu, kiedy szukaliśmy wspólnie pewnego mordercy i porywacza. Sikora twierdził wtedy, że było to największe wyzwanie w jego karierze.

– Co się stało? – spytałam.

– Zabójstwo mamy na rejonie. Zasuwa od dwóch dni bez przerwy.

Na hasło „zabójstwo” zastrzygłam uchem.

– To w Grodzisku, do którego pojechałeś z Okęcia?

– Dokładnie.

– Kim była ofiara?

Normalnie odesłałby mnie do diabła, ale był chyba zbyt zmęczony, żeby się ze mną użerać.

– Kobieta, siedemdziesiąt cztery lata.

– Jak zginęła?

– Uderzenie w tył głowy. Śmierć na miejscu.

– Macie narzędzie zbrodni?

Sikora zaczął pocierać dłonią policzki, jakby sprawdzał stan swojego zarostu. Zbliżył twarz do kamerki, a jego podkrążone i pocięte siateczką drobnych naczyń krwionośnych oczy wypełniły ekran.

– Dziewczyno, może jednak zostawmy ten temat...

– Ale Jacuś... – miauknęłam.

– Powody są dwa. Pierwszy: ty masz urlop. A na urlopie ludzie odpoczywają.

Drugi: ja nie mam urlopu. Jutro wstaję o szóstej, więc pozwól, że się oddalę spać.

Pomimo tej deklaracji nie wstawał z miejsca. Uznałam, że trzeba wykorzystać szansę.

– Jasne, jasne, jak zwykle masz rację – zaczęłam dyplomatycznie. – Ale jedno mnie interesuje: czy ty, doświadczony śledczy, masz już koncepcję, kto to mógł zrobić.

Och, podejść Sikorę nie było trudno. Jego ego, na co dzień tłamszone przez przełożonych, Elkę oraz swoistą monotonię życia, nagle się zorientowało, że tym razem może błysnąć.

– Koncepcja to za dużo powiedziane. Ale jakiś punkt zaczepienia mamy. Dom został okradziony. Zastaliśmy tam niezły bajzel. Rzeczy powywalane z szaf, rozbity sejf, tylko sprzęt elektroniczny nietknięty. Więc zakładamy, że ofiara przeszkodziła złodziejom w rabunku, dlatego zginęła – nawijał, choć minutę wcześniej podobno definitywnie zamknął temat.

– Musicie w takim razie sprawdzić lokalnych włamywaczy, namierzyć fanty...

– Serio?

Chyba się zagalopowałam. Jacek był człowiekiem dobrym, miłym i spolegliwym, ale kiedy ktokolwiek próbował wtykać nos w jego śledztwo, a jeszcze nie daj boże go pouczać, dostawał piany.

– Sorry, tak mi się wyrwało... Na pewno już to robicie i w ogóle...

Uśmiechnęłam się do kamerki przepraszająco, a mój przyjaciel, który najwyraźniej miał ogromną potrzebę pogadania o swojej pracy, westchnął, zrezygnowany.

– No dobra. Powiem ci – złamał się. Prawdopodobnie pomogła mu świadomość, że znajduję się o jakieś dziesięć tysięcy kilometrów od miejsca zbrodni. – Nie możemy namierzać fantów, bo nie wiemy, co zginęło. Ofiara tam nie mieszkała, a właściciele jeszcze nie udało się przesłuchać.

Zaczynało się robić ciekawe.

– To jest dom bardzo zamożnych ludzi. Bardzo – ciągnął Sikora. – Oboje po sześćdziesiątce, dorosły syn mieszka w Szwajcarii. I oni regularnie co roku na cały styczeń do tego syna wyjeżdżają. Siedzą tam u niego od Sylwestra do początku lutego, tyle się dowiedzieliśmy od sąsiadów. A żeby nie zostawiać pustego domu, wiadomo, strzeżonego pan bóg strzeże, to sobie zawsze na ten miesiąc sprowadzali ciotkę Agatę.

– Ile miała lat, przypomnij mi?

– Siedemdziesiąt cztery.

– No, to jednak średnie zabezpieczenie – zauważyłam. – Nie lepiej było zainwestować w monitoring?

– Patrząc z perspektywy tego, co się wydarzyło, zapewne tak. Ale podobno ci właściciele nie przepadali za technicznymi nowinkami. Poza tym jednak przez tyle lat działało, nie było żadnych incydentów. Aż do teraz.

– No, jeżeli zabójstwo nazywasz incydem, to gratuluję – dociełam mu.

Bardzo lubiłam mu docinać.

– Właściciele domu wracają z tej Szwajcarii dzisiaj w nocy, umówiłem się z nimi na jutro rano. Dopiero wtedy będę wiedział, co zginęło.

Liczba pytań, które chciałam zadać Sikorze, wbrew pozorom nie malała, lecz rosła.

– Słuchaj, jeżeli ich nie było w Polsce, to kto właściwie znalazł zwłoki?

– Córka ofiary nie mogła się z nią skontaktować. Nie martwiła się specjalnie, one chyba nie były w jakichś wyjątkowo dobrych relacjach i za często ze sobą nie rozmawiały, no ale jak przez ponad tydzień się nie mogła do niej dodzwonić, to odszukała numer do znajomych z Grodziska i poprosiła, żeby sprawdzili... Lekarz twierdzi, że śmierć nastąpiła dziesięć dni przed odnalezieniem ciała.

Z tego wszystkiego nawet nie zauważyłam, że do pokoju wróciła Elka. Ciągłe wyglądała na zirytowaną. Zresztą dokładnie tak brzmiała, kiedy powiedziała do swojego męża:

– Hej, zjeżdżaj mi stąd.

Sikora nie był głupi, więc zniknął sprzed laptopa w dwie sekundy, nawet się ze mną nie żegnając.

– I co? Rozmawiałaś z Tomkiem? – nagle przypomniało mi się, po co kwadrans wcześniej usiadłam do komputera.

– Oczywiście – odpowiedziała Elka z pewnym, ledwie wyczuwalnym w głosie zniecierpliwieniem. – Choć kontakt z twoim byłym to żadna frajda. Cholerny manipulant. Nie mogę zrozumieć, jak mogłaś z nim być.

Zastanowiłam się...

– Wiesz co, ja w sumie też nie rozumiem – przyznałam, zaskoczona. – Trzyście lat... No dobra, dwanaście. Przez pierwszy rok się starał. A dlaczego manipulant?

– Próbował mnie przeciągnąć na swoją stronę.

– Jaką swoją stronę? – zdenerwowałam się natychmiast. – Przecież jesteśmy już po rozwodzie, nie walczymy ze sobą...

– Ty tak uważasz. On mi przez dziesięć minut tłumaczył, jaką jesteś wyrodną matką. Bo przecież tylko wyrodna matka wyjechałaby na Zanzibar, zostawiając dzieci same.

O mało nie dostałam zawału.

– Przecież... przecież nie zostawiłam ich samych, tylko z nim! Co on bredzi?

– Chyba odreagowuje rozwód – zasugerowała Elka. – A z dobrych wiadomości: nic się nikomu nie stało, po prostu jeżdżą na nartach od rana do nocy. Masz zadzwonić jutro wieczorem. Uprzedzi dzieciaki, będą czekać.

To straszne, że nawet teraz, po rozwodzie, z odległości dziesięciu tysięcy kilometrów Tomasz potrafił mnie doprowadzić prawie do płaczu.

– A tak przy okazji – dodała. – Powiedziałam mu, że jesteś najlepszą matką świata. I jak spróbuje cokolwiek gadać na ciebie do dzieci, to będzie miał ze mną do czynienia.

– Dziękuję, kochana – powiedziałam cicho. – Bardzo dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Zamknęłam laptopa.

W pierwszym odruchu rzuciłam się na łóżko, nie przejmując się zupełnie, że tłusta maść z moich ramion przeniesie się na poszewkę poduszki. Czułam łyzy na końcu nosa i byłam bardzo, bardzo bliska, żeby faktycznie zacząć płakać. Jeszcze pół roku temu, ba, właściwie nawet miesiąc temu w ten sposób reagowałam na wszelkie problemy i trudności. Jednak ze zdziwieniem zauważyłam, że choć nerwowo szukam guzika, żeby włączyć fontannę łez, nie potrafię go znaleźć. Rozejrzałam się po swoim wnętrzu, zaglądając w różne mniej oczywiste zakątki, i nic. Przedziwna sprawa. Zwłaszcza że zamiast zniechęcenia, poczułam nagle dziwny, wręcz absurdalny przypływ energii.

Właściwie dlaczego mam siedzieć sama i czekać, aż matka przyniesie mi coś do jedzenia? Czy naprawdę nikt tutaj nie widział spalonego słońcem turysty?

W tym momencie, oprócz energii, poczułam głód.

Podniosłam się z łóżka, podeszłam do lustra i przeprowadziłam szybką lustrację. No, może nie wyglądałam kwitnąco, ale nie sądzę, żeby mój widok miała komuś odebrać apetyt. Dla pewności ostrożnie starłam maść z ramion, zakładając, że tyle, ile się przez ten czas zdążyło wchłonąć, wystarczy, i wyszłam z pokoju.

– To jest tatar z tuńczyka, to warzywne ciapati, a tutaj – ośmiornica w mleczku kokosowym...

Stałam z pustym talerzem przy długim stole, zastawionym miskami pełnymi tak apetycznie pachnącego jedzenia, że mój żołądek zaczął z podekscytowania tańczyć salsę.

Stojąca obok mnie dziewczyna tłumaczyła mi cierpliwie, z czego powstały kolejne dania. Miała ciemne, krótko ostrzyżone włosy, błyszczące i gęste, była szczupła, drobna i energiczna.

Wyglądała na szesnaście lat i byłam przekonana, że przyjechała tu na wakacje. Jednak kiedy pochyliła się, żeby przysunąć w moją stronę półmisek z grillowanymi rybami, zauważyłam przypiętą do jej koszulki plaketkę z napisem „Kaja”.

Dziewczyna musiała zauważyć mój zdziwiony wzrok, bo uśmiechnęła się i natychmiast wyjaśniła:

– Pracuję w Karibu. Opowiadam za wydarzenia kulturalne i opiekuję się dziećmi.

Chyba musiałam wyglądać na nieprzekonaną, bo dodała:

– Mam dwadzieścia pięć lat.

Uśmiechnęłam się, speszona.

– Przepraszam. Po prostu...

– Wiem. Kiedy jestem w Polsce i chcę kupić butelkę wina, muszę pokazywać dowód osobisty. Nałożyć pani? – spytała, wskazując półmisek z rybami.

– Tak, poproszę – zgodziłam się, choć za rybami akurat nie przepadałam. Na ich korzyść przemawiał jednak fakt, że kilka godzin temu pływały jeszcze w oceanie.

– Wszystkie te dania zwykle mamy w karcie – wyjaśniła dziewczyna – ale kiedy przyjeżdża większa partia nowych gości, robimy taki szwedzki stół, żebyście państwo mogli wszystkiego spróbować.

Przełożyła mi na talerz dwa kawałki pociemniałej od ognia ryby. Patrzyłam z przyjemnością, jak sprawnie posługuje się specjalnymi teflonowymi szczypcami.

– Fantastycznie to wszystko wygląda. I pachnie – przyznałam.

– O, tak, to nasz szef kuchni, Marcin. Jest wybitny.

– Marcin?

– U nas dziewięćdziesiąt dziewięć procent gości jest z Polski – wyjaśniła. – Dlatego większość personelu to Polacy. Dodatkowo uczymy polskiego miejscowych. To wiele rzeczy ułatwia.

Nałożyłam sobie jeszcze sporą porcję grillowanych warzyw i jakiś rodzaj miejscowego pieczywa, i poszłam szukać matki.

Sala restauracyjna mieściła się pod wysokim, ukośnym dachem z trzciny, który z jednej strony opadał aż do ziemi, tworząc ścianę, natomiast z drugiej kończył się na wysokości mniej więcej czterech metrów, co pozwalało podziwiać ocean, a wiatr bez skrępowania dostawał się pod sklepienie, odświeżając powietrze. Przebiegłam wzrokiem dwa rzędy drewnianych stołów, matki nie było.

Po chwili wahania wybrałam stolik na samym końcu sali i ulokowałam się przy nim tak, żeby widzieć wejście do restauracji i bufet.

Podczas gdy jadłam, miejsce zaczęło się powoli zapełniać gośćmi. Jednymi z pierwszych, którzy się pojawili, była Blanka ze swoim facetem. Nie wiem, co mi przyszło do głowy, ale entuzjastycznie im pomachałam. Ruszyli prosto w moją stronę.

– Co jesz? – spytała Blanka, opadając na krzesło obok mnie i zaglądając mi w talerz.

Miała na sobie króciutkie szorty i jakiś mikroskopijny topik. Zauważyłam, że kiedy szła przez salę, kilka męskich głów się za nią odwróciło.

– Rybę, nie wiem, jak się nazywa.

Blanka bez skrępowania sięgnęła nad moją ręką, wzięła w palce kawałek rybiego mięsa, włożyła sobie do ust i oblizała palce. Zwróciłam uwagę na błyszczącą świeżym złotem na jej palcu obrączkę. Ciekawie, czy są długo po ślubie, zastanowiłam się.

– Rety... zajebista! Z karty?

– Nie, ze stołu.

– Wojtek, przynieś mi taką samą – rzuciła, nie patrząc na partnera.

To niesamowite, ale za każdym razem, kiedy w mojej obecności kobieta traktowała mężczyznę choć trochę z góry, czułam ucisk żołądka. To trochę jak bóle fantomowe, bo przecież byłam już po rozwodzie. Mimo to ślad po relacji, w której nie miałam kompletnie nic do powiedzenia, a która trwała prawie połowę mojego dorosłego życia, odzywał się jak rozdrapana blizna.

Nawet gdybym odważyła się kiedykolwiek zwrócić takim tonem do mojego męża, jestem pewna, że nie tylko nie spełniłby mojej prośby, to jeszcze śmiertelnie by się obraził. Podświadomie czekałam więc, żeby Wojtek przywołał Blankę do porządku.

A jednak jedyne, co powiedział, to:

– A co do picia?

– Piwo – odpowiedziała po chwili namysłu jego żona. – Tylko zimne.

Patrzyłam zafascynowana, jak Wojtek posłusznie oddała się w stronę bufetu. Akurat w tym momencie przy stole zrobił się tłok. Wśród nakładających sobie jedzenie gości rozpoznałam osoby, które leciały razem z nami samolotem: starszego mężczyznę w typie kawalerzysty, parę wczepionych w siebie kurczowo zakochanych i jak zwykle eleganckiego Sylwestra. Między gośćmi kręciła się Kaja, opowiadając o jedzeniu, zauważyłam też menagera i wysokiego, postawnego mężczyznę, przepasanego białym fartuchem, czyli prawdopodobnie kucharza Marcina.

Blanka również z zainteresowaniem obserwowała tych wszystkich ludzi. W pewnym momencie zmarszczyła czoło, tak jakby próbowała coś sobie przypomnieć.

– No nie, bez jaj... – powiedziała cicho sama do siebie. A po chwili, już na głos: – Miewasz czasami *déjà vu*? – mówiąc to, nie odrywała wzroku od zgromadzonych przy bufecie osób.

– Jasne. Na przykład za każdym razem, kiedy patrzę w lustro – zażartowałam.

– O, jaka dowcipna – prychnęła Blanka. – Pytam serio. Że na przykład widzisz kogoś w jakiejś sytuacji i wydaje ci się, że już go widziałas wcześniej, i robił to samo.

Zastanowiłam się.

– Czasami miewam – przyznałam. – Dlaczego pytasz?

– Bo ja właśnie tak mam w tym momencie – odpowiedziała, kręcąc głową z niedowierzaniem.

Ale zanim zdążyła coś dodać, do stolika wrócił Wojtek i postawił przed Blanką talerz z rybą, warzywami i kuskusem, czyli dokładnie taki zestaw, jaki jadłam ja.

– Co to jest? – spytała zaskoczona Blanka.

– Jak to co? – zdziwił się Wojtek. – Twoje zamówienie. Chciałaś to samo, co je ta pani...

– Magda – przypomniałam mu. – Mówmy sobie po imieniu.

– Oczywiście...

Ale nawet bycie miłym go nie uratowało.

– Jakie to samo? – zirytowała się Blanka. – Powiedziałam: taką samą rybę! Przecież wiesz, że nie znoszę kuskusu!

– Zapomniałem...

Wojtek wziął talerz i zawrócił w stronę bufetu.

– I piwo! Pamiętaj o piwie! Zimne ma być! – rzuciła za nim Blanka, po czym dodała z westchnieniem: – Ależ z niego dupa wołowa. Ale tak to już jest z artystami.

– A czym się twój mąż zajmuje?

Spojrzała na mnie, jakby dopiero teraz sobie przypomniała, że siedzę obok.

– Wojtek? Wojtek jest malarzem. Nieźle się sprzedaje, choć według mnie te jego obrazy to kicze są.

Nie zdążyłam się dowiedzieć niczego więcej, bo na scenie nagle pojawiła się matka. Szła boso od strony oceanu, stawiając ostrożnie stopy, jedną ręką przytrzymywała rozwiewane przez wiatr ponczo, a drugą – kapelusz na głowie. Z daleka można było pomyśleć, że bierze udział w jakimś ekskluzywnym pokazie mody.

Zatrzymała się przy wejściu na salę i zaczęła lustrować siedzących przy stolikach gości. Z pewnością chciała wybrać miejsce, które zapewniłoby jej największe zainteresowanie zebranych. Kiedy jej wzrok padł na mnie, pomachałam do niej nieśmiało. Niezadowolona, ruszyła w naszym kierunku.

– A więc jednak przyszedł – stwierdziła zamiast powitania. – Może i dobrze. Nie będę musiała ci nosić jedzenia.

– Mamo, to jest Blanka, pamiętasz, jechałyśmy razem z lotniska...

Matka nie raczyła nawet na nią spojrzeć.

– Chodź, usiądziemy bliżej bufetu – zarządziła. – Tam widzę jest wolny stolik.

Zacząłam się posłusznie podnosić, kiedy obok nas pojawił się Wojtek z piwem i rybą dla Blanki.

– Zofia Sarnecka! – Rozłożył szeroko ręce, zupełnie jakby chciał moją matkę uściskać. – Pani Zofio, przepraszam! Przepraszam najmocniej!

Matka patrzyła na niego nieufnie.

– A za co, jeśli można wiedzieć? – spytała ostrożnie.

– Że nie rozpoznałem pani od razu! Tak mi wstyd! Dopiero teraz ktoś z obsługi szepnął mi na ucho, że pani to pani!

Wojtek gwałtownie odstawił na stół talerz oraz butelkę.

– Musi pani wiedzieć, że przeczytałem wszystkie pani książki! Niektóre po kilka razy. Jestem pani najwierniejszym fanem, prawda, kochanie? – zwrócił się do Blanki.

Blanka wyglądała tak, jakby zaraz miała w niego rzucić rybą, którą jej przyniósł. Już otwierała usta, żeby coś odpowiedzieć, ale Wojtek nie dopuścił jej do głosu.

– Koniecznie musi pani z nami usiąść! Proszę, błagam... – zamasztył ruchem odsunął krzesło. – Po prostu nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę...

Ja też nie mogłam w to uwierzyć. Widziałam wcześniej różne dziwne zachowania fanów twórczości mojej matki, jednak poziom egzaltacji, jaki w ciągu kilku minut osiągnął ten wcześniej spokojny i rozsądny człowiek, wydawał się możliwy wyłącznie u nastoletnich fanek gwiazd rocka. Teraz to ja miałam ochotę stąd uciec.

Ale nie mogłam, ponieważ matka zmieniła zdanie. Stolik przy bufecie nagle kompletnie przestał ją interesować, za to zaczęła życzliwym okiem patrzeć na męża Blanki. Wiedziałam oczywiście, dlaczego tak się dzieje. Wojtek serwował matce po prostu potężną dawkę tego, co było jej do funkcjonowania potrzebne niczym tlen – uwielbienia.

– No właściwie... – westchnęła i wdzięcznie opadła na fotel. – Panie...

– Wojtek. Wojtek Sobon. Proszę mi mówić po imieniu – mówił to, patrząc matce w oczy, bałam się, że za sekundę padnie przed nią na kolana i zacznie całować po stopach.

– Panie Wojtku, widzę, że działa pan tutaj jako zaopatrzeniowiec – uśmiechnęła się wdzięcznie. – Czy byłby pan tak miły i przyniósł mi w takim razie coś do jedzenia?

Blanka przeszła ją wzrokiem.

– A może lepiej by było pójść i samemu sobie wybrać? – rzuciła w przestrzeń.

I znowu, tak jak w taksówce, matka chętnie odpowiedziała na zaczepkę.

– Jakoś nie mam ochoty się tam tłoczyć – uśmiechnęła się słodko. – Panie Wojtku, owoce morza poproszę. W dowolnej formie. Uwielbiam. Po prostu uwielbiam.

Soboń pomknął do bufetu jak na skrzydłach.

Matka ostrożnie zdjęła kapelusz i odłożyła go na krzesło obok, potem poprawiła włosy i założyła nogę na nogę. A kiedy już się z sukcesem upozowała na Elżbietę Jaworowicz, posłała Blance spojrzenie, w którym udało jej się jednocześnie zawrzeć politowanie i wyższość.

– Ja niestety nie znam żadnej pani książki – odezwała się Blanka pozornie ugodowym tonem.

Matka uśmiechnęła się wyrozumiale.

– Za to...

– Proponuję zacząć od „Cichej nocy” – przerwała jej matka. – To pierwsza książka z komisarzem Dorocińskim...

– ...za to czytałam wywiad w jakiejś gazecie. Tam było duże zdjęcie, na pół szpalty. Pani w długiej, czarnej sukni...

– A, tak, „Gazeta o książkach” – przypomniała sobie matka.

– I na tym zdjęciu wyglądała pani o jakieś dwadzieścia lat młodziej – kontynuowała słodkim głosem Blanka, podczas gdy twarz mojej matki pokrywała się purpurowymi plamami. – Musieli mieć naprawdę dobrego człowieka od retuszu.

– Czy ty widziałaś, jak ona mnie traktowała? Krzty szacunku! Bezczelna, chamska smarkuła!

Wracałyśmy z restauracji, obie w fatalnych humorach. Matka – bo przez całą kolację dogryzały sobie z Blanką, która okazała się godną przeciwniczką i zaryzykowałabym stwierdzenie, że ten pojedynek wygrała. Ja – bo uczestniczenie w tej absurdalnej walce nie należało do najprzyjemniejszych. Z jednej strony obowiązywała mnie lojalność w stosunku do matki, z drugiej – nie znosiłam świecić za nią oczami, a z trzeciej – nie chciałam stracić nowej znajomej. Najgorsze było to, że obie bez żadnego skrupowania wykorzystywały mnie jako bufor.

Akurat w tej roli miałam pewną wprawę. Identycznie wyglądało moje życie, kiedy rodzice byli jeszcze razem, a ja musiałam co chwila opowiadać się po jednej albo po drugiej stronie. Mimo to, a może właśnie dlatego, ten wieczór wykończył mnie psychicznie.

– Nie rozumiem, jak mogłaś się z nią zakolegować – narzekała matka. – I nie rozumiem, jak ten przemiły Wojtek może z nią wytrzymać. Ale to już chyba

schyłkowa tendencja, bo między nimi żadnej chemii nie ma, żadnej chemii... Ona jest tak żenująco prymitywna. Natomiast on, no cóż, jednak dusza artysty. Od razu wiedziałam, że mamy ze sobą coś wspólnego.

Przez chwilę przemknęła mi przez głowę myśl, żeby zatkać ostentacyjnie uszy i nie słuchać dalej tych bzdur, ale nie znalazłam w sobie aż tyle odwagi.

Mijaliśmy właśnie domek Dukajów, z którego, pomimo nocnej pory, wyraźnie słychać było głosy kłócących się dzieci. W pewnym momencie jedno z nich zaczęło tak głośno i piskliwie płakać, że zbulwersowana matka zatrzymała się na ścieżce, najwyraźniej zastanawiając się, czy powinna zrobić im awanturę od razu, czy dopiero jutro.

– No jeżeli tak to będzie przez dwa tygodnie wyglądało... – syknęła. – Rodziny z dziećmi powinny być trzymane osobno – dodała dobitnie. – Za murem.

To niesamowite, jak matka zmieniła się przez ostatnie lata. Z osoby spędzającej całe dni wśród dzieci i młodzieży, i całkiem nieźle radzącej sobie i z uczeniem, i z dyscypliną, w kogoś, kto ledwo toleruje własne wnuki. Z osoby kompletnie nie dbającej o siebie w stałą bywalczynię spa i salonów kosmetycznych. Z kobiety gardzącej modą w kobietę śledzącą najnowsze jej trendy. A wszystkie te zmiany rozpoczęły się w chwili, kiedy rozstała się z ojcem.

Przez całe moje dzieciństwo i młodość matka zajmowała się wyłącznie pracą i udawaniem, że w jej małżeństwie wszystko jest ok. Co rozumiałe, niewiele to dawało przestrzeni na inne, mniej ważne drobiazgi. Czyli na przykład na mnie.

Rozwód pomógł jej zrozumieć, że jedyną osobą, z którą spędzi resztę życia, jest ona sama. Dlatego zaczęła konsekwentnie stawiać na siebie, lansując teorię, że najważniejsze to być kowalem swojego losu. Decydować. Pociągać za sznurki.

Takim drobiazgiem, że na końcu jednego z tych sznurków wisiałam ja, kompletnie się nie przejmowałam.

Rozmyślałam o tym wszystkim, siedząc na tarasie i gapiąc na czarny ocean, w którym odbijały się zaskakująco inne niż w naszej części świata, jaśniejsze i bardziej skomplikowane konstelacje, a potem – przewracając się na łóżku pod gęstą moskitierą. Dziwny był ten dzień. Fantastyczny i trudny, zaskakujący i piękny. Uświadomiłam też sobie, że słowem, którego używałam dzisiaj najczęściej, było: mamó.

Od dwunastu lat, no może od jedenastu, czyli odkąd Kuba nauczył się mówić, to do mnie tak się zwracano. Słyszałam „mamó” prawie bez przerwy, a sama właściwie nie miałam okazji, żeby je wypowiadać. Nagle, w ciągu kilku godzin wszystko się zmieniło i znowu znalazłam się w butach dziecka.

Kiedyś dużo bym za to dała. Za poczucie bezpieczeństwa i za brak odpowiedzialności. Teraz wcale nie byłam taka pewna, czy z tej zamiany ról jestem zadowolona.

Nie mogąc sama ze sobą dojść do ładu, zasnęłam.

Noc miałam fatalną. W domu jestem przyzwyczajona do spania w piżamie, najchętniej flanelowej, czasami również w bluzie, i koniecznie – w skarpetach. Jadąc w tropiki zamiast ulubionego zestawu zabrałam ze sobą długi i luźny T-shirt. Niestety, choć był uszyty z cienkiej i przewiewnej bawełny, po kwadransie, przeпоcony i zmięty, przypominał wilgotny kokon. Przewracałam się więc z boku na bok, a podrażniona słońcem skóra swędziła mnie i piekła.

Ranek wstał słoneczny i rześki, termometr za oknem pokazywał zaledwie 28 stopni. Zaledwie, bo poprzedniego dnia słupek rtęci podniósł się do 33. Matka spała jak zabita, lekko pochrapując przez nos. Ostrożnie podniosłam się z łóżka, przebrałam w wyciągniętą z walizki wymiętą sukienkę, na spalone ramiona dodatkowo narzuciłam szal, cienki i lekki. Potem uchyliłam drzwi, cicho wyśliznęłam się z domu i pobiegłam na plażę, przywitać ocean.

– To chyba jakieś jaja... – powiedziałam głośno, patrząc z niedowierzaniem przed siebie. – Gdzie on jest?

Bo oceanu nie było. A przynajmniej nie było go tam, gdzie się go spodziewałam zobaczyć. Przede mną zamiast błękitno-turkusowej wody rozciągało się brunatne, pokryte kępami wodorostów i błotnistymi kałużami dno, a piasek odsłaniał czarne, chropowate fragmenty porośniętych glonami skał. Dwie przekrzywione łodzie, czekające na powrót fal, wyglądały jak wielkie, zmęczone nartniki.

Zmrużyłam oczy, próbując dostrzec miejsce, w którym zaczynała się woda. Cienki biały pas, który musiał być pianą załamujących się fal, znajdował się co najmniej dwa kilometry od brzegu. Rozczarowana, ale też ciekawa, zeszałam po kamiennych schodach na plażę i ruszyłam przed siebie, patrząc uważnie pod nogi. Biały piasek ustąpił miejsca wilgotnym zaroślom wodorostów, a w wypełnionych wodą nieckach przemykały cienkie jak przecinki kolorowe rybki. Zauważyłam też jedną czy dwie rozgwiezdy i mnóstwo muszli.

Ocean odchodząc, zostawił po sobie niezły bajzel.

Po kilkudziesięciu krokach podłoże zrobiło się niebezpiecznie grząskie, więc zawróciłam, zastanawiając się, kiedy woda raczy łaskawie wrócić na swoje miejsce.

W tym momencie na plaży pojawił się biegacz. W pierwszej chwili go nie rozpoznałam, dopiero kiedy się zbliżył, zorientowałam się, że to Sylwester. Dobiegł do mnie i zatrzymał się, oddychając ciężko.

– Norma na dzisiaj wyrobiona – wydyszał. A potem jego wzrok pobiegł w kierunku, w który jeszcze przed chwilą patrzyłam. – Też się zastanawiasz, kto ukradł ocean?

Uśmiechnęłam się. Ukraść ocean to prawie jak ukraść księżyc.

– Tak – przyznałam. – Wyszałam rano, żeby pomoczyć nogi.

– Znajdź sobie w internecie kalendarz pływów – poradził. – Tam jest napisane dokładnie, o której woda się cofa i o której wraca. Na Zanzibarze taka ściągą to podstawa.

Przyjrzałam mu się dyskretnie. Był znowu nienagannie wystylizowany, tym razem od stóp do głów cały w adidasie. Zamiast zwykłych okularów przeciwsłonecznych nosił specjalne, sportowe, o lustrzanych szklach opalizujących na żółto, a włosy przewiązał żółtą, zapewne również firmową, bandaną. Jego ciało było wysportowane i silne, jednak z zauważalną tendencją do tycia. Pomyślałam, że jeżeli nie będzie dbał o siebie i regularnie ćwiczył, za dziesięć lat zmieni mu się sylwetka, zrobi się pulchny i brzuchaty.

No, ale na razie wyglądał całkiem, całkiem.

– Nie wiesz czasem, od której wydają śniadanie? – zapytałam.

– Nie wiem. Ale możemy iść i sprawdzić.

Ruszyliśmy plażą w kierunku schodów prowadzących do hotelu. Choć kiedy wczoraj Sylwester robił aferę barmanowi, wydał mi się mało przyjemnym gościem, teraz w jego towarzystwie czułam się całkiem nieźle.

– Zaplanowałam sobie, że podczas urlopu będę codziennie rano biegał po plaży. Ty może biegasz?

Pokręciłam przecząco głową.

– Nie. Ale podziwiam tych, którzy biegają.

Czy mi się wydawało, czy wyprostował ramiona?

– Silna wola. Trzeba mieć silną wolę – stwierdził skromnie. – Zwłaszcza jak się biega maratony – ciągnął. – Zmusić ciało do takiego wysiłku przez trzy godziny to jest coś.

No cóż, moja silna wola wystarczała mi na podbiegnięcie do autobusu.

Kiedy doszliśmy do schodów, przepuścił mnie pierwszą. Starałam się stawiać eleganckie i sprężyste kroki, bo miałam dziwne wrażenie, że Sylwester wgapia się w moje pośladki. Które z całą pewnością pozostawiały wiele do życzenia.

Kiedy ma się dwoje dzieci w wieku szkolnym, śniadania kojarzą się wyłącznie z nerwowym pośpiechem, rozlanym mlekiem, tekstami: „nie będę tego jeść”, „on mi zabrał sok” i „w tej jajecznicy są glutiny”. A jeżeli do tego dochodzi jeszcze przygotowywanie w pośpiechu kanapek do szkoły, przeciętna, statystyczna matka sama nie ma szans, żeby własny posiłek spożyć we względnie spokojnym. Tym większym kulturowym szokiem stały się dla mnie śniadania w Karibu.

Siedziałam oto sama – Sylwester poszedł się przebrać – przy stole nakrytym czystym obrusem, przede mną na jednym talerzu leżały kawałki arbuza, ananasa i mango, na drugim – tosty z marmoladą pomarańczową, a nad filiżanką unosił się cudowny aromat kawy z ekspresu. I przede wszystkim nikt nic ode mnie nie chciał.

Raj, pomyślałam, odgryzając kawałek grzanki. Tak musi wyglądać raj.

Sięgnęłam po komórkę. W restauracji był bardzo mocny sygnał wi-fi, więc weszłam na Onet.pl i przejrzałam najświeższe wiadomości, ze zdziwieniem stwierdzając, że wcale tak bardzo mnie nie interesują. Przyszło mi też do głowy, żeby zadzwonić Messengerem do dzieci, otworzyłam nawet czat z Kubą, ale zamiast

nacisnąć zieloną słuchawkę, wyłączyłam telefon i odłożyłam na drugi koniec stołu. Bo nagle zdałam sobie sprawę, że chcę to moje pierwsze śniadanie na wakacjach zjeść sama ze sobą. Bez dzieci, nawet jeżeli ich obecność miałyby być tylko wirtualna.

Było to uczucie zaskakujące i odświeżające jednocześnie. Pierwszy raz od dawna nie czułam się jak wyrodna matka, nie obwinałam się za nic i nie zjadały mnie wyrzuty sumienia. Nie wiem, czy to zasługa geograficznego dystansu, tropikalnego słońca czy może, jak twierdziła matka, po prostu rozvodu, ale pewnością łącząca mnie z poprzednim życiem napięła się i pękła z traskiem. Nie tęskniłam. Było mi dobrze. I potrzebowałam jeszcze jednej filiżanki kawy.

Przyniosła mi ją kelnerka, pulchna miejscowa dziewczyna w jasnozielonych szortach i białej koszulce z logo hotelu. Patrzyłam, jak się zbliża, kołysząc biodrami i prawie nie odrywając stóp od podłogi. Ze zdziwieniem zdałam sobie sprawę, że wszyscy mieszkańcy Zanzibaru chodzą w podobny sposób, lekko szurając, tak jakby nie potrafili unieść nogi i zgiąć jej w kolanie. A potem sobie uświadomiłam, że w tym upale każdy sposób oszczędzania energii jest w cenie. I tak naprawdę powinnam brać z nich przykład.

Restauracja powoli zaczęła się zapełniać. Jako pierwsi pojawili się ci zabawni młodzi ludzie, sklejeni super glue. Przyszli, rzecz jasna trzymając się za ręce i ani na chwilę nie puszczając swoich dłoni, usiedli obok siebie przy najbardziej oddalonym stoliku, prawdopodobnie po to, żeby się bez skrępowania całować.

Chwilę później od strony recepcji nadbiegła dwójka starszych dzieci Dukaja. Przepychali się, śmiejąc i pokrzykując i robiąc mnóstwo zamieszania. Zaraz za nimi pojawił się ich ojciec z najmłodszą latoroślą na barana. Kiedy w końcu dołączyła do nich jego żona, wszyscy usiedli przy największym stole na sali.

Następni w restauracji pojawili się Blanka i Wojtek. W pierwszym odruchu chciałam zsunąć się pod stół, żeby mnie nie zauważyli, bo gdyby matka znowu zobaczyła mnie w towarzystwie Blanki, obraziłaby się na amen. Na szczęście natychmiast zapanowałam nad tym impulsem. Wyprostowałam się, dopuszczając do siebie buntowniczą myśl, że właściwie powinnam ich zawołać i czekać, jak matka na to zareaguje. Jednak zanim zdążyłam podnieść rękę, zajęli miejsca blisko wejścia i poszli nakładać sobie śniadanie ze szwedzkiego stołu.

Przyglądałam się im ciekawie, próbując dostrzec to, co zarzucała im matka, czyli brak chemii, jednak według mnie zachowywali się najzupełniej normalnie. Może nie dotykali się ani nie patrzyli sobie w oczy, ale byli dla siebie mili, nie zauważyłam między nimi napięcia ani wrogości. Nawet jeżeli moje standardy były zaniżone przez długie lata małżeństwa z mężczyzną chłodnym i apodyktycznym, Blanka i Wojtek nie wyglądali na takich, którzy mają się za chwilę rozstać.

Chwilę później nadciągnęła matka. W sukni w kolorze fuksji, kapeluszu i ciemnych okularach wyglądała jak gwiazda filmowa. Porwała z bufetu szklanekę i butelkę wody, ominęła szerokim łukiem Blankę i Wojtkę, nakładających sobie jedzenie, i bez pośpiechu podeszła do mojego stolika.

- O której ty wstałaś i dlaczego tak wcześniej? – zapytała, odkręcając butelkę.
- O wpół do siódmej. Poszłam sobie nad ocean.

- Przecież jest odpływ?
- Skąd wiesz? – zdziwiłam się.
- Wyrzałam przez okno.
- Dzień dobry paniom!

Tuż obok nas wyrósł Sylwester. Odświeżony, w kolejnym zestawie markowych ciuchów i zaczesanymi do tyłu wilgotnymi włosami wyglądał jakby właśnie zszedł z pokładu luksusowego jachtu. Matka przyjrzała mu się z zainteresowaniem. Lubiła jachty.

– Witam, witam... – uśmiechnęła się protekcjonalnie.

– Sylwester. Sylwester Leśkiewicz – przedstawił się, zginając w pół. – Domyślam się, że pani Zofia Sarnecka? Znam i podziwiam.

A więc dlatego był dla mnie taki miły, uświadomiłam sobie. Warto się zakolegować z córką ulubionej pisarki.

– Usiądzie pan z nami? – uśmiechnęła się łaskawie moja mama.

– Chętnie. Tylko przyniosę sobie coś do jedzenia.

Matka odprowadziła go wzrokiem.

– No ten całkiem miły – stwierdziła. – Wiesz o nim coś więcej?

– W jakim sensie?

– Gdzie pracuje, ile zarabia, czy jest do wzięcia...

Przez chwilę myślałam, że sama się do niego przymierzam, i wydało mi się to obrzydliwe. Biedny Boguś! I ta różnica wieku! Ale zaraz potem do mnie dotarło, że wcale jej nie chodziło o siebie.

– Mamo, chyba żartujesz – syknęłam. – Chcesz mnie swatać?

– No ktoś musi – wzruszyła ramionami. – Przecież sama sobie raczej życia nie ułożysz. Już raz próbowałaś, i co wyszło?

W ten sposób spaprała mi kolejny posiłek. A byliśmy tu dopiero drugi dzień.

Po kwadransie patrzenia na to, jak matka okręca sobie Sylwestra dookoła małego palca lewej stopy, przy okazji zachwalając mu przeróżne moje zalety, postanowiłam sobie pójść. I właśnie zaczęłam się podnosić, kiedy przestrzeń restauracji wypełnił najpierw przeszywający pisk, a później chrapliwy zgrzyt.

– Raz, raz, próba mikrofonu...

Przy ladzie recepcji stał menager z mikrofonem w dłoni.

– Halo, poproszę o uwagę! Organizujemy dla państwa dzisiaj wyjazd do pewnego wyjątkowego miejsca. Jak wiecie, Zanzibar znany jest nie tylko ze swoich przepięknych, bajkowych plaż...

– Ale też z handlu niewolnikami! – donośny, kobiecy głos należał do Blanki.

Matka spojrzała na mnie i przewróciła oczami.

– No to już jest na szczęście odległa przeszłość – zareagował natychmiast menager. – Oczywiście niechlubna. Ja chciałem państwu zaproponować obejrzenie

czegoś, z czego Zanzibar jest znany i dumny do dzisiaj. Przyprawy, proszę państwa. Zabierzemy was na farmę, gdzie będzie można zobaczyć, jak wyglądają rośliny, z których otrzymuje się popularne przyprawy, dotknąć ich, powąchać, a nawet posmakować. Z pewnością czas spędzony na farmie przypraw na długo pozostanie w państwa pamięci – recytował jak z kartki.

Wśród zebranych w restauracji gości przeszedł szmer aprobaty.

– Wyjazd planujemy o jedenastej, powrót około czwartej. Wszystkich chętnych proszę o zapisywanie się u Oli. Liczba miejsc jest ograniczona, więc...

Sylwester poderwał się z krzesła, jakby ktoś pociągnął za jakiś niewidzialny sznurek.

– Ja się bardzo chętnie wybiorę – oznajmił ochoczo. – Czy panie również zapisać?

– Pojedziesz? – zapytała matka.

– A wiesz, właściwie chętnie – odpowiedziałam. – A ty?

– Ja? – popatrzyła na mnie, zdziwiona. – Przecież ci mówiłam, że muszę kończyć książkę.

– Na co my czekamy!?! – irytowała się siedząca obok mnie Blanka. – Aż porośniemy pleśnią?

Od piętnastu minut tkwiliśmy w piątkę w hotelowym vanie – Blanka z Wojtkiem, przyklejone do siebie dzieciaki – przedstawili się jako Tymon i Asia – oraz ja. Na szczęście Sylwester tuż przed rozpoczęciem wycieczki wdał się w ożywioną dyskusję ze starszym panem, tym, który wyglądał na emerytowanego wojskowego, i wsiadł do tego samego vana, co on. Lubiłam Sylwka, ale idiotyczna sugestia matki tak mnie zmroziła, że na razie wolałam go unikać.

Choć nasze auto wydawało się raczej czyste, panująca wszędzie wilgoć odcisnęła swoje piętno na niektórych elementach konstrukcji, pokrytych podejrzany, szarym nalotem. Być może sugestia Blanki dotycząca pleśni wcale nie była taka absurdalna, jak by się mogło wydawać.

– Nie na co, tylko na kogo – zauważył Wojtek. – Patrz.

Od strony hotelu zbliżał się Dukaj. Szedł lekkim krokiem, w którym nie widać było odrobiny pośpiechu. Zauważyłam, jak Blanka z wściekłości zaciska zęby. Oj, będzie się działo.

Dukaj wsiadł do naszego auta i rozwalił się na przednim siedzeniu.

– No dobra, możemy jechać – rzucił od niechcienia.

Kierowca przekręcił kluczyk, a przez wentylatory ruszyło na nas powietrze tak samo wilgotne, jak na zewnątrz auta, może tylko odrobinę chłodniejsze. Dukaj natychmiast zaczął się wiercić. Najpierw zajął się nawiewami, ustawiając je tak, żeby powietrze leciało na niego, potem zauważył radio. Włączył je, a z głośników popłynęła na cały regulator jakaś skoczna piosenka. Gdybym miała ten nurt scharakteryzować, określiłabym go jako afrykańskie disco polo. Dukajowi tak się ta łupanina spodobała, że zaczął się bujać do rytmu i uderzać dłonią w udo, nucąc refren.

Tego już było dla Blanki za wiele.

– Proszę to wyłączyć! – zażądała.

Dukaj, odwrócił się, zaskoczony.

– Nie lubi pani muzyki?

– Uwielbiam – wycedziła, mrużąc oczy. – Tylko nie taką. Proszę to wyłączyć!

– Jasne, jasne – aktor, zaskoczony jej reakcją, przekreślił gałkę. Chyba nie był przyzwyczajony do tak obcesowego traktowania.

Nie wiedział, że Blanka nie toleruje nie tylko badziewnej muzyki.

– Czy pan wie, która jest godzina? – pozornie zmieniła temat.

Dukaj spojrział na zegar na tablicy rozdzielczej auta.

– Jedenasta piętnaście...

– Otóż to. Wycieczka miała się zacząć o jedenastej – warknęła Blanka. – Dlaczego się pan spóźnił?

Dukaj obrzucił ją rozbawionym spojrzeniem.

– Szczęśliwi czasu nie liczą – uśmiechnął się ujmująco.

– Za to szanują czas innych – odcięła się. – I nie gwiazdorzą.

Czułam, że Blanka szykuje się do dalszej przepychanki, ale Dukaj odpuścił.

– W takim razie ja bardzo wszystkich przepraszam – rzucił. A potem dodał z rozbrajającą szczerością: – Taki już jestem.

Zapowiadała się ciekawa wycieczka.

Przy wjeździe na farmę przypraw stała drewniana tablica z wymalowanym trochę niegramatycznie napisem: WEL COME SPICE FARM HERE. Na parkingu czekał już na nas przewodnik – mężczyzna wysoki, szeroki w barach i muskularny, którego sylwetka kojarzyła mi się z bokserem wagi ciężkiej. I chyba nie tylko mnie, o czym świadczyła ksywa, którą się przedstawił.

– Cześć, dziewczyny i chłopaki – powiedział po polsku. – Jestem Pudzian i pokażę wam, jak wygląda gałka muszkatołowa.

I rzeczywiście pokazał. Pokazał nam też jak rośnie pieprz, trawa cytrynowa, wanilia, imbir i jeszcze mnóstwo innych przypraw, które znałam wyłącznie z torebek Kamisu.

Podświadomie obawiając się, że między Blanką a Dukajem znowu może wybuchnąć awantura, starałam się trzymać od nich z daleka. Włókłam się więc na końcu grupy, zatopiona w myślach.

Zupełnie nieoczekiwanie wycieczka stała się dla mnie czymś w rodzaju podróży sentymentalnej, ponieważ egzotyczne nazwy najmocniej kojarzyły mi się z babką Heleną. Babka była matką mojego ojca, osobą dobrą, łagodną i wyrozumiałą. Bardzo mnie kochała, a swoją miłość wyrażała przez jedzenie. Jej kuchnia stała się dla mnie azylem, w którym chroniłam się przed napiętą atmosferą panującą w domu rodzinnym.

Wspomnienia powróciły gwałtowną falą. Zapach wanilii przypomniał mi o

ulubionym deserze, który babka podawała często na zakończenie niedzielnych obiadów. Z mleka, gotowanego z wanilią i cukrem, przygotowywała kremowy sos i polewała nim wyjęte z kompotu gruszki. Natomiast gałkę muszkatołową używała do pasztetu. Tarła ją na maleńkiej, wytwornej srebrnej tarce i pozwalała mi wsypywać aromatyczny pył do mięsnej masy.

Poruszając się wąskimi, ubitymi ścieżkami, które przecinały teren farmy jak jakiś specyficzny układ nerwowy, uświadomiłam sobie, że w zasadzie wszystkie moje wspomnienia kulinarne dotyczą kuchni mojej babki, nie matki. Babka gotowała wybitnie, przez co mama czuła się zwolniona z wszelkich kuchennych działań. Ograniczała się do najprostszych dań, których główną zaletą było to, że krótko się je przygotowywało. Nic, co trzeba było pichcić dłużej niż pół godziny nie pojawiała się na naszym stole. Matka gotowała z najprostszych przepisów, w ogóle gotowała tylko z przepisów, nie bawiąc się nigdy w żadne improwizacje. Być może dlatego, że jako nauczycielka matematyki, wkładała dzieciom do głowy wzory, do których powinny się stosować, książkę kucharską traktowała z takim samym szacunkiem jak podręczniki algebry.

Ciekawe swoją drogą, że pierwszą połowę swojego życia spędziła w sposób uporządkowany i nudny, a potem, jakby ktoś nagle przesunął jej zwrotnicę, została pisarką, zaczęła używać wyobraźni i robić rzeczy, których raczej nie dałoby się upchnąć w ramki excela.

Dreptanie od rośliny do rośliny, wążanie, dotykanie i próbowanie zajęło nam prawie dwie godziny. Na koniec Tyson wręczył każdemu z nas uplecione z liści palmy ośmiokątne czapki, które sam określał mianem „korona”, po czym zabrał wszystkich na lunch.

Zostaliśmy posadzeni przy drewnianych stołach, zbitych z nierównych, nieheblowanych desek, a dwie przysadziste kobiety w kolorowych sukniach i turbanach na głowach postawiły przed nami powyginane metalowe talerze. Na szczęście smak jedzenia, które się na nich znalazło, rekompensował wszystko.

Wylądowałam na ławce obok Wojtka Sobonia. Po skosie miałam Dukaja, który zachwycał się każdym kęsem, a przy sąsiednim stole Blanka zajęła miejsce obok Sylwestra i o coś go wypytywała, jednak byli za daleko, żebym mogła usłyszeć ich rozmowę. Rzuciła mi się w oczy gestykulacja Blanki, która wyglądała tak, jakby próbowała Sylwka do czegoś przekonać. Chyba nie bardzo jej się udało, bo w pewnym momencie energicznie wstała i przesiadła się do Tymona i Asi. Wyglądała na obrażoną.

Wojtek, który dyskretnie ją obserwował, aż westchnął.

– No i kolejny... – stwierdził ze smutkiem. – Niedługo będzie miała na pieńku z połową ludzkości.

– No tak... jest taka... wybuchowa – przyznałam.

– Wybuchowa? Owszem. Ale przede wszystkim jest bezkompromisowa. Jak tylko

coś jej się nie podoba, wali prosto z mostu. Żadnej ściemy – wyjaśnił Soboń. – Uwielbia robić sobie wrogów. Czasami, jak razem gdzieś jesteśmy, miałbym ją ochotę udusić. Świecę za nią oczami, a ona ma to wszystko w nosie.

– Rebel – podsumowałam. – Chce coś zmienić, więc walczy z systemem. Tacy ludzie są bardzo silni i bardzo wrażliwi jednocześnie.

Zamyślił się.

– Dokładnie tak. Silna i wrażliwa. Blaneczka moja...

Pomyślałam, że musi ją bardzo kochać. I jakoś wcale mnie to nie zdziwiło. Takie wyraziste osoby albo się kocha, albo się ich nienawidzi. Letnich uczuć raczej nie budzą.

Po skończonym posiłku przewodnik zaprowadził nas do sklepu, o ile sklepem można nazwać rozstawione pod drewnianym dachem stoły, pełne torebek z przyprawami, bawełnianych koszulek, toreb, czapek, kamiennych i drewnianych figurek, i wreszcie – bajecznie kolorowej biżuterii. Wiedziałam, że ceny są tu z kosmosu, a jednak nie mogłam się oprzeć i kupiłam dwa T-shirty dla Kai i Kuby, skusiłam się też na bransoletkę z mikroskopijnych koralików. Dla siebie. A po namyśle dobrałam jeszcze drugą – dla matki.

Blanka wybrała sobie niewielką, uplecioną ze sznurka torebkę.

– Ekstra kolor, co? – pomachała mi nią przed nosem.

Rzeczywiście, torebka była tak intensywnie czerwona, jakby ktoś ją pomalował klasyczną pomadką Chanel.

– Fajny – przyznałam. – Pokłóciłaś się z Sylwestrem?

– Pokłóciłam się? – spojrzała na mnie zdziwiona. Najwyraźniej miałyśmy inne skale. – A, to! Po prostu nie lubię, jak ktoś ze mnie robi idiotkę. Typowy męski szowinista – przewróciła oczami.

Rozejrzałam się szybko, czy Sylwester nas nie słyszy. Nigdzie blisko go nie było.

– To taki typ, który z góry zakłada, że kobieta nie ma racji. Nie bo nie. Mówię ci, lepiej takich omijać z daleka.

I poszła zapłacić za torebkę.

Pod drzewem niedaleko sklepiku zauważyłam grupkę dzieci. Było ich sześcioro, w różnym wieku, najmłodsze mogło mieć jakieś trzy lata, najstarszy chłopiec – na oko z dziesięć. To właśnie on znajdował się w centrum – otoczony przez kolegów, coś im pokazywał, powodując tym wyraźne poruszenie. Podeszłam, zaciekawiona, a dzieciaki rozsunęły się, tworząc szepczący i chichoczący krąg wokół chłopaka.

Mały siedział na odwróconej do góry dnem przerdzewiałej puszcze. Miał na sobie wyblakłą koszulkę polo i dziurawe tu i ówdzie krótkie spodenki. Między jego stopami na ziemi stał koszyk upleciony z liści w podobny sposób jak korona, która kiwała mi się na głowie. Wieczko, którym przykryty był koszyk, miało na górze niewielki

uchwył. Chłopiec co chwila unosił je, a wtedy pozostałe dzieci odskakiwały ze śmiechem i piskiem. Ciekawe, co tam jest, pomyślałam.

Widząc mnie, chłopak przerwał zabawę i uśmiechnął się do mnie szeroko.

– *Come, come!* – skinął na mnie, przesuwając koszyk nieznacznie w moją stronę.

Przysunęłam się więc i pochyliłam, żeby zobaczyć zawartość.

Przez chwilę w ciemnym wnętrzu nie widziałam nic. A potem z tej ciemności wysunął się niewielki, trójkątny, brązowy łąpek, a z łąpka – rozdwojony, pulsujący języczek.

W koszyku siedział wąż.

Dzieciaki prawdopodobnie oczekiwały, że tak jak one odskoczę z krzykiem, jednak nie zapewniłam im tej rozrywki. Gdyby w koszyku był pająk, o, to co innego. Zrobiłabym im tam z całą pewnością niezłe przedstawienie. Ale węży się nie bałam. Właściwie mogę zaryzykować twierdzenie, że je lubiłam. Dlatego beztrudno wyciągnęłam rękę, w jego kierunku, kiedy chłopak gwałtownie zamknął wieko.

– *Ten dollar!* – rzucił.

A więc to biznes...

Pokręciłam stanowczo głową.

– Nie, nie! – powiedziałam po polsku, kręcąc gwałtownie głową. – *I don't need snake. I need photo.*

Nie byłam pewna, czy rozumie, wyjęłam więc z torby komórkę i pomachałam nią przed nosem chłopca. W jego oczach pojawiły się chytre błyski.

– *One dolar* – zażądał twardo.

Pomyślałam, że to wygórowana cena, ale nie targowałam się. Odnalazłam portmonetkę, wyjęłam z niej dolara i wręczyłam małemu. Dzieciak obejrzał banknot jak rasowy finansista, naprężając i ponosząc pod światło, po czym schował go do kieszeni i podniósł wieko koszyka.

Nachyliłam się, zrobiłam kilka zdjęć, oslepiając węża lampą błyskową, i wróciłam do swoich.

Nasz wyjazd z plantacji nie nastąpił o planowanym czasie, bo jeden z kierowców gdzieś się zapodział. Na pytanie, dokąd poszedł i kiedy wróci, pozostali dwaj rozkładali bezradnie ręce, a kiedy próbowali zadzwonić na komórkę kolegi, okazało się, że zostawił telefon w aucie. Pozostało nam czekanie.

Część uczestników wycieczki zajęła już miejsce w vanach, ale ja nie miałam ochoty się socjalizować. Zauważyłam obok parkingu dwie rachityczne ławeczki. Wybrałam tę w cieniu, a kiedy na niej usiadłam, poczułam zmęczenie i senność. Trzy godziny spędzone w upale zrobiły swoje. Spod półprzymkniętych powiek obserwowałam resztę naszej grupy. Ludzie kręcili się między samochodami, w gotowości, by wrócić do auta, kiedy tylko pojawi się kierowca. Blanka tłumaczyła coś Wojtkowi, jednak mężczyzna, zamiast słuchać, robił zdjęcia rozłożonych na ziemi kolorowych płacht, na których suszył się pieprz. Oparty o drzewo cypryjskie Dukaj

przyglądał się im z niechęcią, Sylwester robił ostatnie zakupy w sklepiku, a Tymon usiadł na drugiej ławeczce i wziął swoją dziewczynę na kolana. Na samą myśl, jak musi im być teraz gorąco, zaczęłam się jeszcze intensywniej pocić.

Nasz kierowca pojawił się kwadrans później, a na uwagi na temat spóźnienia zareagował podobnie jak Dukaj – rozłożeniem rąk i zdziwieniem, czego w ogóle od niego chcą.

Kiedy odjeżdżaliśmy, chłopca z węzłem już nie było. Nie zauważyłam, kiedy zniknął.

Matkę zastałam przy komputerze. Poczułam współczucie.

– Mamo, przecież to jest bez sensu. Napisz do wydawnictwa, poproś, żeby ci przesunęli termin. Proszę! Jesteś ich gwiazdą, na pewno się zgodzą! To jest zupełnie nieludzkie, pracować tutaj! Wiesz, ile tracisz?

Matka dopiero teraz oderwała wzrok od ekranu.

– A co, fajnie było? – zainteresowała się.

– Było super!

– No to się cieszę.

I wróciła do pracy.

Wyjęłam z torby bransoletkę i położyłam na biurku obok komputera.

– Prezent dla ciebie.

Wzięła bransoletkę i przesunęła koraliki między palcami.

– Och, jakie to urocze! – zachwyciła się.

A ja odetchnęłam. Ponieważ trafić z prezentem w gust mojej matki nie było łatwo.

– Prawda? Tak się cieszę, że ci się podoba!

– Tylko szkoda, że nie kupiłaś więcej.

– Więcej? – powtórzyłam.

– No. Tak z dziesięć? *En masse* wyglądałyby dużo lepiej.

Elka powiedziała kiedyś o mojej matce: dziurki nie robi, a krew wysie. Oburzyłam się wtedy, twierdząc, że to krzywdząca ocena.

Krzywdząca? Akurat!

Rozmowa z moimi dziećmi trwała dokładnie cztery minuty trzydzieści dwie sekundy, co obliczył Skype. Dowiedziałam się, że w Bukowinie jest super, że stoki są super i pensjonat również. Powiedzieli też, że tęsknią i że muszą kończyć, bo zaraz jest kolacja, a potem idą jeszcze pojeździć. Pa, pa, całuski.

Matka musiała mnie podsłuchiwać, bo kiedy tylko się pożegnałam, zażądała zwrotu laptopa. Oddałam go jej, trochę się ociągając, bo miałam jeszcze w planie szybkie połączenie z Elką, ale aktywnej próby negocjacji nie podjęłam. Za to żeby poprawić sobie humor, wzięłam komórkę i weszłam na Messengera. W końcu to też

był całkiem niezły sposób komunikacji. Już miałam nim zadzwonić do Elki, kiedy palec mi się omsknął i zamiast niej wybrałam Sikorę. Ech, ta podświadomość...

Odebrał po pięciu sygnałach.

– Zwariowałaś? – zapytał czule. – Przecież ja nie używam tego świństwa!

– Chciałam cię sprawdzić. Włączysz kamerkę?

Nie, żebym lubiła wideoczaty, ale wyciąganie informacji od Jacka wymagało śledzenia jego mimiki. Ponieważ nie była zbyt skomplikowana, na kilometr pod wiatr potrafiłam poznać, czy ściemnia.

– Proponujesz mi cyberseks?

– Nie, ale...

– To nie włączę. Albowiem siedzę w garażu i mam tu chlew.

Rozśmieszyl mnie tą informacją. Sikora i chlew w garażu...

Mój przyjaciel, wykonując zawód niezwykle stresujący i odpowiedzialny, kilka lat temu znalazł sobie hobby, które w cudowny sposób pomagało mu odreagowywać napięcie. Tym hobby było składanie skuterów marki vespa. Najpierw namierzał w internecie części, potem je kupował, czyścił i jeśli trzeba było, naprawiał, tuningował, a na końcu łączył w całość. Praca to była misterna, wymagająca skupienia i dokładności oraz – jak twierdził Jacek – również czułości.

A czułość dla Sikory oznaczała nie tylko delikatne obchodzenie się z narzędziami, ale również zachowanie idealnego porządku. Jego garaż wyglądał więc jak sala chirurgiczna i był prawie tak samo czysty. Określenie „mam tu chlew” oznaczało zapewne, że na podłodze leży śrubokręt.

Postanowiłam to uszanować.

– Jasne. Co tam słychać?

– W porządku. Twoja chałupa stoi, pies żyje, koty chyba też...

Kompletnie zapomniałam, że miał mi pilnować domu. Czy raczej ojca.

– Dziękuję! – natychmiast zwietrzyłam okazję, żeby przejść do tego, co mnie naprawdę interesowało. – To bardzo miłe z twojej strony, że tam zajrzałeś. Ale jak ci się w ogóle udało czas znaleźć? Masz tyle pracy przy tym morderstwie... A właśnie, jak ci idzie?

Bałam się, że natychmiast wyczuje wścibstwo, którego nienawidził, ale chyba się nie zorientował. Albo udał, że się nie orientuje.

– Idzie średnio – powiedział. – Właściwie bardzo średnio.

– Ci właściciele... Dowiedziałeś się czegoś ciekawego od nich?

– I tak, i nie...

I zamilkł.

– Sorry, zmęczony jestem – westchnął po chwili. – Nie bardzo chce mi się gadać.

Może jemu nie bardzo chciało się gadać, ale mnie bardzo chciało się słuchać.

– Na pewno już wiesz, co zginęło – drążyłam dalej.

– Tak. Ale nie powiem, żeby mnie ta wiedza do czegokolwiek przybliżała. Ukradziono gotówkę z sejfu, na szczęście nie trzymali jej tam zbyt wiele. Właściciel

domu twierdzi, że najwyżej trzydzieści tysięcy złotych.

– Faktycznie, to tyle co nic – przyznałam.

– Nabijaj się, nabijaj. Gość twierdzi, że bywało tam nawet pół miliona.

Z cenniejszych rzeczy zabrali jeszcze zegarek, bardzo drogi, ale też bardzo charakterystyczny, właściciel dostał go od żony na rocznicę ślubu. Więc był dedykowany, z grawerem na tarczy.

– Czyli macie punkt zaczepienia. Trzeba sprawdzać rynek – zabłysnęłam.

Sądząc po sapanięciu, jakie wydał z siebie Sikora, musiał teraz kręcić głową i przewracać oczami.

– Szanse, żeby wypłynął teraz, są minimalne – wyjaśnił. – Jeżeli sprawca...

– Albo sprawcy!

– ...nie są kompletnymi idiotami, poczekają trochę, zanim spróbują go opchnąć.

– Coś jeszcze zginęło?

– Tak. I tutaj jesteśmy w kropce, bo ten asortyment nam nie pasuje do żadnego schematu.

Na chwilę zawiesił głos, chyba specjalnie mnie torturując.

– Jacek!

– Zginęły ciuchy.

– Ciuchy?

– Tak. Ubrania właściciela domu. I walizka.

– W czymś musiał je wynieść. Może prędzej je sprzeda niż zegarek? – zasugerowałam.

– Może... Ale ciężko je będzie rozpoznać. Poza tym co, mam zrobić nalot na second handy?

– Czyli fanty raczej was do niego nie doprowadzą – podsumowałam. – Jakies odciski palców?

– Żadnych. Choć musiał w tym domu spędzić sporo czasu.

– Skąd wiesz?

– Sejf. Nie znał szyfru do sejfu, a jakoś się chciał do niego dostać. Zaczął za pomocą młotka, piłki do metalu i wiertarki. Kompletna amatorszczyzna. Potem rozwalił ścianę, wyjął ten sejf i zrzucił ze schodów. Serio. To mu mogło zająć nawet cały dzień.

– Czyli zabił tę biedną staruszkę, a potem tam, przy tych zwłokach... – zadrżałam. I nagle coś sobie uświadomiłam. – Słuchaj, jeżeli on spędził tyle czasu w tym domu, to znaczy, że musiał wiedzieć, że nikt go tam nie nakryje. A to znaczy, że wiedział, że wyjechali i wrócą dopiero za kilka dni.

I znowu usłyszałam, jak Sikora na drugiej półkuli ciężko wzdycha.

– Oczywiście. Tylko to nam też nic nie daje, bo o tym, że właściciele domu wyjeżdżają co roku o tej samej porze, wiedziało sporo osób. Na przykład wszyscy sąsiedzi. Już mamy wytypowanych szesnaście osób do przepytania, i raczej się na tym nie skończy.

– Od sąsiadów to się na pewno czegoś dowiedziecie. Zobaczysz. I nawet się nie obejrzysz, a sprawa ci się sama rozwiąże. Bądź dobrej myśli, po co być zły? – pouczyłam go.

– Już to gdzieś słyszałem – zgasił mnie. – Ale w sumie masz rację. Pamiętasz tę sąsiadkę Lisowskiego? Gdyby nie ona, nie uratowalibyśmy dzieciaka.

To było wyjątkowo niesprawiedliwe stwierdzenie. Nie gdyby nie ona, tylko gdyby nie ja. Bo gdybym nie skojarzyła portretu pamięciowego ze zdjęciem, nie trafilibyśmy do miejsca, w którym był przetrzymywany porwany chłopiec.

Nagle wszystko wróciło. Przypomniałam sobie całą tę dramatyczną historię, adrenalinę, jaka mnie napędzała, i poczucie, że robię rzeczy ważne. Oraz – paradoksalnie – że jestem na swoim miejscu. Dlatego teraz pod wpływem emocji powiedziałam coś, czego mówić nie było warto, bo naraziło mnie na kpinę i szyderstwo.

– Żałuję, że mnie tam z tobą nie ma.

W telefonie przez chwilę panowała cisza, a potem rozległ się śmiech. Właściwie rechot.

– Żałujesz, że cię tu ze mną nie ma? Serio? Byczysz się na plaży pod palmą, pijesz litrami mleko kokosowe i żałujesz, że cię tu nie ma? Wiesz, ile mamy stopni? Plus jeden. I mży mżawka. I zamarza na drodze. I jedyne, o czym człowiek marzy, to grzać stopy przy kominku. A nie może, bo w Podkowie zakaz.

– Dobrze wiesz, że mi nie chodzi o warunki atmosferyczne, tylko o tę sprawę – zwróciłam mu uwagę. – Przecież przy poprzednich dwóch morderstwach współpracowaliśmy.

– Tylko dlatego, że byłaś w nie zamieszana – stwierdził twardo.

– Po prostu mówię, że lubię brać udział w śledztwie. To jest takie... ekscytujące.

Tego już najwyraźniej dla Sikory było za wiele.

– No to niestety tym razem ci się nie uda. Chyba że sobie znajdziesz własnego trupa tam na tym Zanzibarze.

Skąd biedaczek mógł wiedzieć, że wymawia to w złą godzinę?

ROZDZIAŁ 7

Tej nocy spałam lepiej i dłużej. Obudziło mnie pragnienie, więc zsunęłam się z łóżka i najciszej, jak potrafiłam, zaczęłam szukać w pokoju czegoś do picia. Jedyne, co udało mi się znaleźć, to prawie pusta butelka w torbie, z którą byłam poprzedniego dnia na wycieczce. Woda była ciepła i jakby lekko słona, a starczyło jej na dwa łyki, ale wróciłam do łóżka z poczuciem, że kryzys został zażegnany.

Przez chwilę korciło mnie, żeby znowu się wybrać nad ocean, ale pomyślałam, że może tym razem byłoby miło poczekać, aż matka się obudzi, i pójść z nią razem na śniadanie. Wróciłam do łóżka.

Następnych kilka minut spędziłam, leżąc na plecach i wpatrując się w sufit. Była to jedyna czynność, która nie groziła wydawaniem dźwięków. Bo choć czytać również można po cichu, to niewyjęte po podróży książki wciąż spoczywały w walizce, walizka w szafie, a szafa stała tuż obok łóżka matki, zbyt duże ryzyko.

Dzięki wiszącemu nade mną baldachimowi z moskitiery sufit wyglądał tajemniczo i magicznie. Promienie słońca, wpadające przez tarasowe okno, przesiąkały przez gęsty muślin, rozpraszały się i miękły, z każdym delikatnym ruchem tkaniny tworząc fascynujący teatr światłocieni. Zachwycona śledziłam ich grę na nierównej białej powierzchni, a w mojej głowie pojawiło się nagle wspomnienie „Gambitu królowej”, którego bohaterka rozgrywała partie szachów, wyobrażając je sobie na suficie. Przed moimi oczami pojawiły się odwrócone do góry nogami szachowe pionki i figury, przesuwające się po wyimaginowanej szachownicy. Bohaterka przygotowywała się w ten sposób do najważniejszych rozgrywek, które odbywała potem w świecie realnym. Co ja musiałabym sobie wyobrazić, żeby się przygotować do moich najważniejszych rozgrywek? Czy na moim suficie powinny pojawić się skomplikowane operacje zwierzęcych pacjentów, czy moje dzieci, czy Tomasz, czy może moja matka? Co stanowiło dla mnie największe wyzwanie?

Odpowiedzi nie znałam. Za to zaczęłam przypominać sobie sam serial. Och, jakie to było dobre! Te szachy, temat jednocześnie hermetyczny i uniwersalny, te role... I nagle sobie uświadomiłam, że „Gambit” był właściwie pierwszym serialem, który obejrzałam sama, bez Tomka.

Bez Tomka... Ciekawe, ale uświadomienie sobie tego w ogóle mnie nie zabolowało. A jeszcze niedawno każda myśl, która dotyczyła mojego męża, przepraszam, byłego męża, wprawiała mnie w nerwowy dygot. Teraz ze zdziwieniem stwierdziłam, że

właściwie... nic nie czuję.

Ewentualnie lekki smutek... To wszystko.

Być może na tym właśnie miało polegać to nowe życie po rozwodzie, o którym tak ciągle opowiadała matka?

Przekręciłam się na bok i zaczęłam się jej przyglądać. Spała, odwrócona do mnie plecami, przykryta cienkim prześcieradłem, które unosiło się z każdym jej oddechem. Ostatni raz obserwowałam jej sen, kiedy byliśmy w trójkę, jeszcze z ojcem, na wczasach w Juracie. Miałam wtedy dziewięć, może dziesięć lat. W wynajętym domku były dwa pokoje, jeden zajęli rodzice, drugi ja. Zaledwie po dwóch dniach pobytu ojciec trochę za długo i za blisko rozmawiał z recepcjonistką w ośrodku, więc po krótkiej kłótni obrażona matka przeniosła się do mnie. Nie była smutna, raczej zacięta i zła. I bardzo samotna.

Jak wytłumaczyć fakt, że po rozwodzie nagle ta samotność przestała jej dokuczać?

Jak wytłumaczyć fakt, że ja po rozwodzie z Tomaszem przestałam za nim płakać?

No ale nie było mi dane zgłębiać dalej tego tematu. Prześcieradło się poruszyło i po chwili wynurzyła się spod niego moja matka. Z włosami w nieładzie i bez makijażu nie prezentowała się zbyt atrakcyjnie. Usiadła na łóżku i rozejrzała się mętным wzrokiem po pokoju.

– O, jesteś... – w jej zachrypniętym po nocy głosie nie było entuzjazmu. – Która godzina?

– Ósma. Idziemy na śniadanie?

– Ty idź, a ja się przez ten czas tutaj ogarnę. Nie lubię, jak mi się ktoś rano kręci po domu.

Miałam na końcu języka: „To po co mnie ze sobą brałaś na ten Zanzibar?“, ale się powstrzymałam. I poszłam do łazienki wziąć prysznic.

W Polsce nie przepadałam za mango. Były wodniste, włókniste i twarde. Jednak na Zanzibarze pod tą samą nazwą krył się sam smak, skoncentrowany w złocistym, rozpylającym się w ustach miąższu. Odkryłam to już poprzedniego dnia, dlatego dzisiaj nałożyłam sobie na talerz dwie połówki owocu, nacięte nożem w kratkę, i zawahałam się nad trzecią. Już nawet wbiłam w nią widelec, kiedy usłyszałam za sobą:

– A, tu cię mam!

Połówka mango zsunęła mi się z widelca i wylądowała z powrotem na półmisku.

Odwróciłam się i zobaczyłam uśmiechniętego i zadowolonego z życia Sylwestra.

– Znowu dzisiaj biegałam po plaży – oznajmił, biorąc talerz. – Rozglądałem się za tobą.

Uśmiechnęłam się.

– A ja się dzisiaj postanowiłam wyspać – to nawet nie było kłamstwo. – Wakacje mają swoje prawa.

Patrzyłam, jak szybko i sprawnie nakłada sobie górę jajecznic.

– Po takim wysiłku trzeba uzupełnić kalorie – wytłumaczył, dorzucając do swojej okazałej porcji jeszcze dwie kiełbaski upieczone na grillu. – Kawa?

Skinęłam głową. Podeszliśmy do ekspresu.

– Jaką chcesz? – zapytał, odstawiając talerz. – Chociaż nie, poczekaj, pozwól mi zgadnąć.

Obrzucił mnie taksującym spojrzeniem, które, mam nadzieję, było żartem.

– Wyglądasz mi na taką, która lubi latte... – oświadczył, uśmiechając się przebiegle.

– Skąd wiedziałaś?

– Masz to wypisane na czole – roześmiał się.

– Ale skąd?

– Nie każ mi zdradzać tajników męskiej kuchni. Zająłem nam miejsca – machnął ręką w kierunku tego samego stołu, przy którym siedzieliśmy poprzedniego dnia. – Szanowna mamusia dołączy?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie mam pojęcia – rzuciłam oschle.

Musiał wyczuć moją niechęć, bo natychmiast się poprawił:

– Dobra, nieważne – machnął ręką. – Czyli robimy latte...

Podstawił szklanekę pod dyszę i nacisnął guzik. Cudowny zapach uderzył mi w nozdrza. Patrzyłam na strumień wypływającego z ekspresu płynu.

– Trochę archaiczny ten ich ekspres – stwierdził. – Ale kawę robi porządną. Proszę! – Sylwester podał mi szklanekę, a nasze palce się zetknęły. Sama nie wiem, dlaczego akurat w tym momencie pomyślałam o Walczaku...

Ostatni raz widzieliśmy się dzień przed moim wyjazdem. Życzył mi miłego urlopu i rzucił jakiś taki głupekowaty tekst typu: będę tęsknił. Niezły z niego żartowniś.

Zupełnie nieoczekiwanie temat Walczaka jeszcze tego dnia powrócił. W bardzo... intensywny, jeżeli mogę to tak określić, sposób.

Towarzystwo Sylwestra trochę mnie krępowało. Był za miły, za bardzo nadskakujący. A na miłych facetów trzeba uważać. Są niebezpieczni. Wchodzą w nasze życie z butami i ani się obejrzymy, a z kumpla zmieniają się w narzeczonego. Inna sprawa, że nigdy tego na własnej skórze nie doświadczyłam, bo jedyny, z którym wzięłam ślub, akurat zbyt miły nie był. Ale instynkt mi podpowiadał, że od miłych chłopców lepiej się trzymać z daleka.

Toteż kiedy po godzinie gadania przy stoliku zaproponował mi, żebyśmy się może gdzieś razem wybrali, odmówiłam i zwiłam do naszego domku.

W środku było chłodno i pusto – matka wyniosła się z laptopem na taras. Nie wiem, jak można pisać w temperaturze trzydziestu dwóch stopni Celsjusza i wilgotności na poziomie osiemdziesięciu procent, w dodatku mając przed nosem kuszącą białą plażę i ocean, ale słynna autorka jakoś dawała radę.

Wskoczyłam w kostium, wzięłam ciuchy na zmianę, kremy, ręcznik i buty do wody, pożyczone w recepcji, i poszłam się zameldować.

– Jak ci idzie? – spytałam, raczej z grzeczności niż z ciekawości.

– Tak sobie – odpowiedziała matka, nie odrywając wzroku od ekranu.

– A... co ze śniadaniem?

– Na razie nie jestem głodna. Gdybyś mogła... – machnęła ręką w taki sposób, jakby odganiała od siebie natrętną osę.

Och, jak ja dobrze znałam ten gest.

– To nie przeszkadzam. Idę na plażę.

– I bardzo dobrze – rzuciła nieuważnie matka.

Zabrałam swoje rzeczy i wyszłam.

Choć bungalowy były postawione dosyć blisko siebie, dzięki obsadzeniu domków roślinnością mieszkańcy mogli zachowywać prywatność. Teren hotelu przecinała pajęczyna piaszczystych ścieżek, tak skomplikowana, że za każdym razem, kiedy ją pokonywałam, korciło mnie, żeby włączyć sobie w telefonie GPS.

Na szczęście w co bardziej newralgicznych punktach postawiono drewniane słupki ze strzałkami wskazującymi kierunki: restauracja, plaża, basen, parking...

Minęłam dom Dukajów, z którego wyjątkowo nie dobiegał żaden hałas – prawdopodobnie poszli na śniadanie – i kawałek dalej zatrzymałam się na jednym ze skrzyżowań.

Mogłam oczywiście ruszyć w stronę restauracji i zejść na plażę tymi samymi schodkami, z których korzystałam już kilka razy. Istniało jednak prawdopodobieństwo, że Sylwester ciągle się tam kręci, a wolałam na niego nie wpadać. Spotkanie z nim mogłoby teraz być odrobinę niezręczne.

Dlatego wybrałam kierunek, który wskazywała strzałka z napisem „dzika plaża” i zaciekawiona ruszyłam ukrytą wśród zieleni ścieżką.

Byłam pewna, że nazwa „dzika” to raczej chwyt marketingowy, ale im dalej się posuwałam, tym roślinność wokół stawała się bujniejsza i bardziej śmiała. Wąskie i ostre liście agawy czepiały się mojego ubrania, pod nogami panoszyły się w najlepsze płożące pnącza, a nad moją głową kiwały się, szarpane wiatrem, ciężkie głowy palm.

Na moment uległam złudzeniu, że cywilizacja została daleko za mną i poczułam się jak odkrywca, który pierwszy raz stawia stopę w jakimś dziewiczym miejscu. I w tym momencie bardzo blisko mnie rozległ się śmiech.

Świadomość, że obok są jednak ludzie, sprawiła, że w ciągu sekundy moja podróżnicza fantazja prysła. Tak pewnie poczułby się Hilary, gdyby na szczycie Everestu znalazł puszkę po piwie.

Rozejrzałam się, rozczarowana i zaciekawiona jednocześnie.

Śmiech i ciche szepty dochodziły z najbardziej zarośniętego fragmentu stoku. Ostrożnie rozsunałam liście, żeby sprawdzić, kto jeszcze oprócz mnie zapuścił się w te ostępy.

Kilka metrów dalej jakaś para całowała się pod palmą. Widziałam tylko plecy

stojącego do mnie tyłem mężczyzny i nogę dziewczyny, którą zarzuciła na biodra partnera.

Wiem, nie powinnam ich podglądać. Powinnam pójść dalej grzecznie ścieżką w kierunku oceanu. Ale namiętność, której byłam przypadkowym świadkiem, sprawiła, że nie mogłam zrobić kroku, a przed oczami stanęła mi, o zgrozo, ta idiotyczna scena z lasu, kiedy pozwoliłam się pocałować Walczakowi. Poczułam dziwną tęsknotę, a moje ciało natychmiast zareagowało na to wspomnienie.

Żenujące, naprawdę.

Cofnęłam się, zdegustowana sama sobą. I wtedy dziewczyna znowu się zaśmiała. A ja się zorientowałam, że ten śmiech brzmi znajomo. Zaciekawiona, ponownie wsadziłam głowę w krzaki.

Para miziała się dalej w najlepsze. Dziewczyna głaskała plecy faceta, który miał na sobie koszulę w najbardziej obciachowy wzór, jaki można było sobie wyobrazić – różowe flamingi na zielonym tle. W pewnym momencie gość przesunął się trochę i wtedy nad jego ramieniem pojawiła się jej twarz.

Tak jak myślałam, to była Blanka.

O mało nie parsknęłam śmiechem. A więc ten facet w koszuli we flamingi to Wojtek! Jakże by inaczej, nikt inny nie włożyłby na siebie takich kolorów. To oznaczało, że matka, diagnozująca związek Blanki i Wojtka, kompletnie nie miała racji. Kompletnie! Tak się nie całują ludzie, którzy zamierzają się rozstać. Na pewno nie. Te wszystkie teksty matki o braku chemii i tak dalej... Zabawne, naprawdę zabawne.

Ruszyłam przed siebie, w jakimś sensie uspokojona, choć musiałam bardzo się pilnować, żeby znowu nie zacząć myśleć o Walczaku.

Ścieżka biegła przez porośnięte dżunglą wzniesienie, potem skręciła gwałtownie i spomiędzy drzew wyprowadziła mnie prosto na biały piasek plaży.

Tak jak się spodziewałam, plaża dzika była tylko z nazwy, bo kilkaset metrów dalej, po lewej stronie, zauważyłam rozstawione kolorowe leżaki, należące zapewne do sąsiedniego hotelu.

Ruszyłam więc w prawo, żeby dotrzeć do Karibu. Szłam powoli, wzdłuż wody, a fale delikatnie łaskotały mi stopy. W zachwycie rejestrowałam każdy szczegół: unoszące się na oceanie drewniane łódki, maleńkie kraby, uciekające spod nóg, brązowe wstążki wyrzuconych na piach wodorostów. Bajka. Po prostu bajka.

Na wysokości naszego hotelu kręciło się kilka osób, miałam tylko nadzieję, że nie ma wśród nich Sylwestra. Zobaczyłam rozstawione na plaży parasole, a pod nimi – szerokie, drewniane fotele i łóżka z wygodnymi materacami. Pomyślałam, że w sumie mogłabym tu spędzić trochę czasu. Zwłaszcza że większość miejsc była wolna. Tylko na jednym łóżku leżał mężczyzna.

Podeszłam bliżej. Mężczyzna uniósł się na łokciach i pokiwał do mnie.

– Hej, Magda! Chodź, tu jest bosko!

Poczułam, że nie mam czym oddychać.

Bo tym mężczyzną był Wojtek.

ROZDZIAŁ 8

Gdyby to była komedia kryminalna, zemdlałabym sobie widowiskowo i z głowy. Niestety, w realnym świecie musiałam tej sytuacji stawić czoło.

Ruszyłam więc w stronę Wojtka, powoli, noga za nogą, żeby tylko odsunąć w czasie moment spotkania.

– Co ci się stało? – zapytał, kiedy przed nim stanęłam. – Jesteś blada jak ściana.

Przez chwilę miałam ochotę powiedzieć prawdę. Tak, Wojtku, istotnie jestem blada jak ściana, ponieważ właśnie widziałam twoją żonę, namiętnie całującą się z jakimś facetem. Myślałam, że ten facet to ty, no ale to nie ty, z czego wniosek, że Blanka cię zdradza. Więc sobie zbladłam.

– Ja? Blada? Wydaje ci się – bąknęłam i opadłam ciężko na sąsiedni leżak. – Po prostu jeszcze się nie zdążyłam opalić. Ale pracuję nad tym. Popatrz.

Odsunęłam rękaw bluzki, odsłaniając zaczerwieniony fragment skóry.

Tak jak myślałam, udało mi się tym całkowicie odciągnąć jego uwagę od emocji, które mną teraz targały.

– Cholera, nieźle się urządziłaś. Za słaby filtr czy w ogóle się nie posmarowałaś?

– To drugie. Zwyczajnie zapomniałam. No i masz.

– Czyli dobrze, że siedzimy w cieniu. Fajne to miejsce, co? – zatoczył ręką niczym udzielny władca. – I można zawołać kelnera. Napijesz się czegoś?

Zauważyłam stojącą na piasku pustą szklanekę ze słomką i zwisającym smętnie z krawędzi plasterkiem cytryny.

Pokręciłam przecząco głową.

– Coś ci pokażę.

Sięgnął pod leżak i wyjął stamtąd blok rysunkowy w grubej, ciemno-zielonej okładce. Otworzył go na pierwszej stronie i podał mi.

– To z wczoraj i z dzisiaj.

Wszystko było lepsze od rozmowy, skwapliwie zajęłam się więc oglądaniem jego prac.

Były świetne. Używał ołówka lekko i stanowczo jednocześnie, tworząc kompletne, wymowne całości z kilku zaledwie kresek. Na kolejnych stronach znajdowały się portrety pracowników hotelu, charakterystyczne sylwetki Masajów, martwe natury i motywy roślinne.

– Fantastyczne!

– To tylko szkice. Robię je, żeby uchwycić istotę. Wykorzystam je do większych form. Zanzibar to kopalnia tematów.

Na pewno miał rację, ale kompletnie mnie to nie obchodziło. Ja się tylko zastanawiałam, jak zwiąć. Prowadzenie miłej konwersacji z Wojtkiem, podczas gdy jego żona całowała się z kimś w krzakach, przerastało moje możliwości.

Normalnie wykorzystałabym jako pretekst dzieci. Tekst „Sorry, muszę lecieć odebrać syna ze szkoły” byłby wprost idealny. Ale nie miałam pod ręką syna. Ani córki. Za to miałam matkę.

– O kurczę, na śmierć zapomniałam! – jęknęłam, teatralnie uderzając się dłonią w czoło. Przecież ja jestem umówiona z mamą na kawę! Muszę lecieć! Przepraszam!

Poderwałam się z miejsca tak gwałtownie, że aż mi się zakręciło w głowie.

Musiałam naprawdę mieć panikę w oczach, bo Wojtek przyjął moją histerię za dobrą monetę.

– Nie no, oczywiście! Pani Zofia nie może czekać! Leć, leć. I pozdrów ją ode mnie koniecznie!

– Jasne!

A kiedy szłam, czy raczej prawie biegłam w kierunku schodów, usłyszałam jeszcze za sobą:

– Gdybyś gdzieś zobaczyła Blanę, to powiedz jej, że tu na nią czekam!

Ucieczka co prawda się udała, ale kompletnie nie miałam pojęcia, co dalej ze sobą zrobić. Nie mogłam wrócić do domku, w którym pracowała matka, plaża z powodu Wojtka odpadała, a samotny wypad do wioski nie był najlepszym pomysłem. Postanowiłam się więc zainstalować przy którymś z restauracyjnych stolików.

Przeszłam koło recepcji, minęłam bar i weszłam do restauracji. O tej porze nie było tu nikogo. Z westchnieniem ulgi zajęłam miejsce za donicą z olbrzymią palmą, za którą nikt mnie raczej nie powinien znaleźć. Choć, z drugiej strony, nikt mnie też nie szukał.

Wyjęłam z torby książkę i otworzyłam na pierwszej lepszej stronie wyłącznie jako alibii. Wiedziałam, że na czytaniu raczej się nie skupię.

Zdrada. Dlaczego znowu muszę mieć z nią do czynienia? Myślałam, że po rozwodzie ten temat już mnie nie będzie dotyczył, a tutaj proszę. Taka fajna para i... Cholera jasna. Przez te dwa dni zdążyłam ich naprawdę polubić. A najgorsze, że to ja byłam teraz za nich odpowiedzialna. Czy powinnam powiedzieć Wojtkowi, co widziałam, czy lepiej milczeć?

Czy gdybym ja była w jego sytuacji, chciałabym wiedzieć?

A przecież jeszcze nie tak dawno byłam w jego sytuacji.

Spróbowałam sobie przypomnieć, co wtedy czułam. Czy rzeczywiście chciałam poznać prawdę, czy starałam się unikać konfrontacji? Odpowiedź brzmiała: robiłam wszystko, żeby tylko nie stanąć z problemem twarzą w twarz. Aż do pewnego momentu. Więc może lepiej nic mu jednak nie mówić?

Co powinnam, do jasnej cholery, zrobić?

Bez namysłu sięgnęłam po telefon i otworzyłam Messengera. Zielona kropka przy ikonke Elki błyszczała zachęcająco, więc zadzwoniłam.

– Madzia! No popatrz, jak się wstrzeliłaś! Akurat sobie zrobiłam kawę! Co tam słyszać?

Wyobraziłam sobie niewielki gabinet na piętrze biblioteki, królestwo Elki. Przybiegałam tam do niej po poradę i wsparcie tak często, że obok tabliczki z napisem „Dyrektor” powinna zawisnąć druga, „Elżbieta Sikora, terapia indywidualna idiotek”.

– Potrzebuję twojej pomocy – zaczęłam bez wstępów. – Sprawa jest taka.

I opowiedziałam jej w skrócie całą historię.

– Czy powinnam mu powiedzieć? Jak myślisz? – zapytałam na koniec.

Elka zastanawiała się nie dłużej niż pięć sekund.

– Nie. Zdecydowanie nic mu nie mów.

Zdziwiłam się.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście. To są obcy ludzie. Nie znasz ich. Nie masz pojęcia, jak wyglądają ich związki. Zostaw to.

– Ale...

– Są dorośli. Poradzą sobie.

W tym momencie gdzieś bardzo blisko Elki rozległ się natarczywy dzwonek telefonu.

– Madziu, kurczę, ktoś mi się dobija na stacjonarny. Muszę kończyć. Pa!

I rozłączyła się. A ja zaczęłam analizować to, co od niej usłyszałam.

Elka miała rację. Blanka i Wojtek byli dorośli. Dorośli ludzie rozwiązują swoje problemy, nie chowają głowy w piasek.

No tak, odezwał się jednak w mojej głowie cichy, wredny głosik. Tylko żeby problem rozwiązać, dobrze wiedzieć, że on istnieje. A Wojtek nie ma pojęcia, że Blanka go zdradza.

– Są dorośli! – powtórzyłam dobitnie. – Poradzą sobie!

Powoli zaczęłam się uspokajać i odprężyć...

Nagle od strony domków doleciał rozpaczliwy krzyk:

– Ratunku! Pomocy! *Help!*

Zamarłam. Wołanie o pomoc w środku dnia w tych rajskich dekoracjach wydawało się czymś tak abstrakcyjnym, że przez chwilę nie byłam w stanie zareagować. To musi być jakiś żart, pomyślałam. Wyglupy na poziomie gimbazy.

A jednak kilka sekund później krzyk się powtórzył.

– *Help! Help me!*

Dopiero teraz do mnie dotarło, że naprawdę dzieje się coś poważnego. Poderwałam się od stołu i ruszyłam biegiem w kierunku, z którego dobiegało wołanie. Kiedy mijałam recepcję, z biura wypadł Rachoń, menager.

– Co to było? – wydusił przerażony.

– Ktoś wzywa pomocy! Gdzieś tam! – machnęłam ręką przed siebie.
Pobiegliśmy.

Minutę później zatrzymaliśmy się przed domkiem, z którego dochodziły coraz bardziej rozpaczliwe krzyki. Ze zdziwieniem zorientowałam się, że to domek należący do Blanki i Wojtka. Menager załomotał pięścią w drzwi, a nie słysząc odpowiedzi, szarpnął za klamkę i otworzył je.

Wpadliśmy do środka. Ja, z moimi doświadczeniami, byłam prawie pewna, że zobaczymy krew, dużo krwi. Czego spodziewał się Rachoń, nie wiem. Jednak wewnątrz domku było puste, nie zauważyliśmy też żadnych śladów świadczących o tym, że mógł się tu rozegrać jakiś dramat.

– Ratunku!

Krzyk dochodził z łazienki.

Dopadliśmy do drzwi. Były zamknięte. Rachoń uderzył w nie ramieniem, raz i drugi, za trzecim razem zamek ustąpił.

Naszym oczom ukazało się eleganckie wnętrze, całe w kremowych kafkach, nowoczesny prysznic i umywalka. I Blanka, stojąca na klapie sedesu i machająca na oślep szczotką toaletową.

Gdyby nie autentyczne przerażenie w jej oczach, myślałabym, że robi sobie z nas jaja.

– Tu jest waż! – wrzasnęła. – Kurwa mać! Uważajcie!

W tym momencie go zobaczyłam. Leżał na środku pomieszczenia, zwinięty w spiralę. Miał uniesioną głowę i raz po raz badał otoczenie, wysuwając cienki, rozdwojony na końcu język. Jak dla mnie, nie wyglądał groźnie. Zapewne dlatego zrobiłam krok do przodu, żeby lepiej go sobie obejrzeć, za to menager gwałtownie odskoczył. Zderzyliśmy się z impetem i o mało nie przewróciliśmy na podłogę.

Rachoń, kiedy tylko odzyskał równowagę, chwycił mnie za ramiona i wypchnął z łazienki na środek pokoju.

– Co pani robi? – wydarł się.

– Chciałam mu się przyjrzeć – wyjaśniłam.

Popatrzył na mnie jak na wariatkę.

– Zabraniam pani tam wchodzić! Ja się nim zajmę!

Chwycił okrągły, metalowy stolik, zrzucając z jego blatu jakieś drobiazgi.

– Chyba nie chce go pan zabijać? – teraz ja się przeraziłam. – Powinniśmy go złapać w wiadro i wypuścić gdzieś dalek...

– Pani oszalała – wycedził przez zaciśnięte zęby i ruszył w kierunku łazienki, trzymając stolik za nogi, z blatem skierowanym w dół.

– Pan nie ma prawa go zabijać! – teraz to ja podniosłam głos. – Jestem lekarzem weterynarii! Nie zgadzam się!

Mężczyzna, nie zwracając na mnie uwagi, wsunął się ostrożnie do łazienki

i szybkim, zwinnym ruchem przygniół węża blatem stolika do podłogi. Następnie oparł się o nogi stolika całym ciałem, nacisnął jeszcze mocniej i podniósł mebel, żeby sprawdzić efekt.

– Jak pani jest weterynarzem, to proszę sprawdzić, czy nie żyje – zakpił.

Wsunęłam się do łazienki. Nawet nie będąc fachowcem, można było stwierdzić bez żadnych wątpliwości, że zwierzę jest martwe, jego głowa zamieniła się bowiem w krwawą galarete, rozsmarowaną po podłodze. Okropne.

– Dlaczego go pan zabił? – spytałam z pretensją.

– Żeby on nie zabił nas – odpowiedział.

W mojej głowie wąż kojarzył się wyłącznie z nieszkodliwymi zaskrońcami, które łapałam jako dziecko na stawach w Żółwinie. Nawet studia i spora wiedza na temat zwierząt nie zmieniły mojego, jak się okazuje, naiwnego nastawienia.

– To najbardziej jadowite węże na wyspie. Zdarzały się przypadki śmierci po ukąszeniu. Wszystko zależy od tego, czy uda się na czas podać surowicę.

– Czyli po mojej łazience zapierdzenia najbardziej jadowity wąż na Zanzibarze? – odezwała się Blanka z bezpiecznej wysokości sedesu. – To chyba trochę, kurwa, obciach.

Menager wyciągnął rękę, żeby pomóc jej zejść, ale Blanka zignorowała go i zeskoczyła sama.

– Pan odpowiada za bezpieczeństwo hotelu, nie? – warknęła.

– Ja, ale...

– Jakie ale? Jakie, kurwa, ale! O mało mnie to pierdolone bydlę nie użarło! Żeby hotel na takim poziomie, za taki hajs, nie potrafił zadbać o swoich gości? Skandal! Napiszę do właściciela i on pana wypieprzy stąd na zbity pysk! – nakręcała się Blanka.

Menager nagle się zorientował, że zabicie gada bynajmniej nie rozwiązało jego problemów.

– Zaraz, moment, przecież nic się nie stało – próbował się bronić.

– Mogłam, kurwa, umrzeć! – wrzasnęła mu Blanka w twarz.

– Proszę, niech się pani uspokoi – zaczął ugodowo. – Nigdy wcześniej nam się taki przypadek nie zdarzył. Są zrobione zabezpieczenia, no i w tej części wyspy nie ma jadowitych węży.

– To co to jest w takim razie? – spytała, pokazując palcem truchło.

– Nie wiem. – Menager rozłożył ręce. – Mówię pani, że nikt tutaj w okolicy tego gatunku nie widział. Nigdy.

– Aż do dzisiaj – parsknęła Blanka. – Skandal, skandal, skandal! Pan nie potrafi zapewnić gościom bezpieczeństwa! Pan jest skończony!

Menager poczerwieniał na twarzy i zacisnął pięści. Wyglądał tak, jakby miał się na Blankę rzucić.

– Przepraszam – wycedził. – Tu jest Afryka! – Widziałam, że mężczyźni zaczynają trząść się z emocji ręce. – Nie da się upilnować wszystkiego! Możemy porozmawiać o jakiejś finansowej rekompensacie...

Poruszenie tego tematu rozsierdziło Blankę jeszcze bardziej.

– Przecież tu nie chodzi o pieniądze! Ja pierdolę! Tu chodzi o zasady! O to, jak dbacie o gości! Jadowite węże w pokoju i menager dupa. Ludzie powinni wiedzieć, co ich tu czeka. Opiszę to na Trip Advisor. I jeszcze dodam, że chciał mnie pan przekupić! Żegnam! – zakończyła, patrząc mu wyzywająco w oczy.

Rachoń, czerwony jak burak, z trudem powstrzymał się, żeby znowu nie zacząć krzyczeć. Wziął dwa głębokie wdechy i sztywno uklonił się Blance:

– Przyślę sprzątaczkę – warknął i wyszedł.

Minutę później w drzwiach bungalowu pojawił się Wojtek.

– Co u nas robił menager? – zapytał od wejścia. – Widziałem, jak wychodzi...

– Wojtek!

Blanka podbiegła do niego i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Tu był wąż! Jadowity! Ja pierdolę...

Wojtek objął ją mocno i przytulił.

– Nic ci się nie stało? – upewnił się.

– Nie, ale mało brakowało. Siedział gnojek w łazience, jak weszłam, to się od razu na mnie rzucił.

Wojtek pogłaskał Blankę po plecach.

– Moja dzielna dziewczynka – powiedział, patrząc na nią z taką czułością, że aż się poczułam niezręcznie.

Nie mogłam wyjść, bo stali centralnie w drzwiach, więc wycofałam się do łazienki, żeby ostatni raz przyjrzeć się martwemu zwierzęciu.

Wąż nie był duży. Miał może z pół metra długości, a grubością przypominał ogon kota. Jego skóra połyskiwała brązowo, a przez całą długość ciała biegła ciemniejsza o kilka tonów linia. Wyglądał bardzo podobnie do tego, którego widziałam na farmie przypraw. Ciekawe, czy to ten sam gatunek, pomyślałam, i pstryknęłam truchełku kilka fotek, żeby to potem sprawdzić.

– O, zobacz, jakie bydlę. – Blanka przyciągnęła Wojtka do drzwi łazienki.

Wojtek rzucił okiem na węża i odwrócił głowę.

– Fuj – aż się wzdrygnął. – Okropne...

– To ja już polecę – wykorzystałam okazję.

– Dzięki za pomoc! – Blanka cmoknęła mnie w policzek. – Jesteś megadzielna.

Nigdy bym tak o sobie nie powiedziała, ale nie zaprotestowałam.

Chciałam się natychmiast znaleźć jak najdalej od nich. Nie mogłam patrzeć, jak się obejmują i przytulają chwilę po tym, jak Blanka całowała się w krzakach z jakimś obcym gościem. To wszystko było zbyt trudne jak dla mnie.

ROZDZIAŁ 9

Największym wyzwaniem podczas tego wyjazdu była dla mnie świadomość, że nic nie muszę. W ciągu dnia jakoś sobie z tym radziłam, wynajdując zajęcia i aktywności, dające namiastkę obowiązków. Jednak wieczorem zaczynałam się gubić. Bo wieczory to był dla mnie w domu czas najbardziej aktywny: sprawdzałam dzieciakom lekcje, przygotowywałam kolację, kładłam spać Kaję i pilnowałam, żeby Kuba nie grał do późna na komputerze, a kiedy w końcu usnęli, zabierałam się za ogarnianie zwykłych codziennych obowiązków – wstawiałam pranie, prasowałam, zmywałam, czasami przygotowywałam obiad na następny dzień.

Teraz właśnie otwierał się przede mną kolejny niebezpieczny, bo kompletnie wolny wieczór. Matka już od godziny rozmawiała na Skypie z Bogusiem, a ja siedziałam na tarasie, gapiłam się w wiszące nad oceanem, rozgwieżdżone niebo i zastanawiałam się, czy uda mi się usnąć, czy znowu będę się przewracać z boku na bok przez pół nocy.

Sięgnęłam po książkę, którą ze sobą przyniosłam, kiedy w rozwidleniu rosnącego kilka metrów dalej drzewa, którego nazwy nie znałam, a które przypominało trochę nasz poczciwy polski sumak, coś się poruszyło. W pierwszej chwili pomyślałam o wężu, ale olbrzymie oczyska, które błysnęły w ciemności, z pewnością do węża nie należały.

Ostrożnie wstałam z leżaka i podeszłam bliżej. Jakieś dwa metry nad ziemią, na gałęzi siedziało niewielkie zwierzę o dużych uszach, krępy ciałku i długim ogonie, wyglądające jak skrzyżowanie wiewiórki z kotem. Miałam przed sobą Bush baby!

Poczułam podekscytowanie.

Zanzibar jest absolutnie zachwycającym miejscem ze wspaniałą, bujną florą, ale jego fauna jest naprawdę uboga. Zwłaszcza jeśli chodzi o ssaki. W centralnej części wyspy podobno można zobaczyć małe antylopy dikdiki, są też małpy, gerezy rude, atrakcja parku narodowego Jozani. Ale jedynym zwierzęciem, które nie boi się obecności człowieka i żyje stosunkowo blisko niego, są małpiatki galago, nazywane Bush baby ze względu na przypominające płacz dziecka odgłosy, które wydają. Te urocze stworzenia, podobne trochę do lemurów, żywią się owocami i owadami, i prowadzą nocny tryb życia.

Zwierzątko przez chwilę obserwowało mnie z zaciekawieniem, ale chyba nie spodobałam mu się zbyt, bo nagle zrobiło w tył zwrot i czmychnęło po gałęzi na sąsiednie drzewo. Ruszyłam za nim. Bush baby odczekało, żebym podeszła bliżej

i przeskoczyło na kolejne drzewo i na kolejne... Szłam za nim, zafascynowana, kiedy nagle zza kępy kolczastych krzewów o małych, mięsistych listkach, usłyszałam znajomy głos:

– Co to za pomysł?! Co ci w ogóle przyszło do głowy?! Myślisz, że ja nie mam serca?!

Głos ewidentnie należał do Wojtka i aż kipiał od emocji.

– Przestań! – odpowiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu Blanka. – Możesz sobie gadać co chcesz, o miłości, wierności i tak dalej, ja i tak zrobię to, co będę, kurwa, uważała za słuszne!

Bush baby doprowadziło mnie pod domek Blanki i Wojtka, którzy właśnie kłócili się ze sobą w najlepsze.

– Uwierz mi, nie masz racji! – unosił się Wojtek. – I nie masz pojęcia, jakie mogą być tego konsekwencje! Nie uznaję wakacyjnych romansów!

A więc już wie...

Czułam, że takie naruszanie czyjejś prywatności nie jest w porządku i że powinnam się natychmiast wycofać, jednak ciekawość, która zabiła kota, kazała mi dalej tam stać i podsłuchiwać.

– Przecież mnie znasz! Nie rób mi tego, proszę! – błagał.

Ależ jemu musi na niej zależeć, pomyślałam ze współczuciem.

– Błąd – w głosie Blanki zabrzmiała rezygnacja. – Zrobiłam błąd. Po chuj ja tu z tobą przyjeżdżałam?

– Blania...

– Muszę się napić. I nie waż się iść ze mną.

Zapadła cisza.

Zdążyłam wbić się między kłujące gałęzie krzewów, kiedy stukając klapkami, minęła mnie Blanka. Szła szybko, wyraźnie zirytowana, a poły jej żółtego, jedwabnego szlafroka falowały, rozwiewane przez lekki wiatr od oceanu.

Nieźle się narobiło, pomyślałam, zawracając w stronę naszego domku.

I jednocześnie uświadomiłam sobie, że Elka miała rację, zabraniając mi mówić Wojtkowi o tym, co widziałam. Sprawa i tak jakoś wypłynęła, a ja nie musiałam brać na siebie odpowiedzialności.

ROZDZIAŁ 10

Na Zanzibarze, oprócz oceanu wolnego czasu, miałam jeszcze jednego wroga, a był nim upał. Oczywiście wiedziałam, że jadę w tropiki, i mentalnie się na to przygotowałam, mimo to kiedy dotarłam na miejsce, mój organizm zaczął się buntować. I tak jak w ciągu dnia udawało mi się jeszcze jakoś sobie radzić z ponadtrzydziestostopniową temperaturą, wilgocią i duchotą, tak prawdziwym problemem okazały się noce.

A konkretnie – brak klimatyzacji. Rozumiem, że matka chciała mieć widok na ocean i dlatego zgodziła się na ten domek, ale to nie była zbyt rozsądna decyzja.

Bo co z tego, że wieczorem na dworze robiło się o kilka stopni chłodniej, skoro we wnętrzu domu ta różnica była właściwie niezauważalna? Ciężkie, wilgotne powietrze, mielone przez obracający się leniwie pod sufitem wiatrak, nie pozwalało ani na sen, ani na żadną inną formę wypoczynku. Czy raczej – mnie nie pozwalało, bo moja mamusia nie miała ze snem żadnych problemów. Nie wydaje mi się, żeby to było sprawiedliwe.

Wzięłam prysznic, wrzuciłam na siebie mój za duży T-shirt i wsunęłam się pod moskitierę. Ciszę przerywał cichy szum wiatraka i równomierny oddech matki, która położyła się do łóżka kwadrans przede mną i już zdążyła usnąć. Co mnie na razie nie groziło. I to nie tylko z powodu gorąca.

Motywnym przewodnim tego wieczora stała się rozmowa, którą podsłuchiłam i która wyzwoliła we mnie niechciane, bardzo silne emocje.

Nierównowaga w związku... Jakie to przykre i jakie powszechne. Jedno nadstawia policzek, podczas gdy drugie go w ten policzek całuje. Do czasu. Desperacja w głosie Wojtka sugerowała, że jego cierpliwość do Blanki i jej beztroskiego zachowania jest już na wyczerpaniu. Przyszło mi do głowy, że ta rajaska, brutalnie piękna wyspa stała się idealnym tłem dla końca ich związku. Szkoda...

Niestety temat związków, a zwłaszcza ich zakończeń, powinien być w moim mózgu zakazany pod karą grzywny. Natychmiast zaczęłam sobie przypominać różne sytuacje z lata, kiedy mój mąż był łaskaw wdać się w romans ze swoją sekretarką, czy raczej – był łaskaw dopuścić, żeby ten romans ujrzał światło dzienne. Te wspomnienia ciągle bolały, choć jakby odrobinę mniej niż jeszcze miesiąc temu i uświadomienie sobie tej różnicy sprawiło, że poczułam się odrobinę silniejsza. Budowanie pewności siebie to bardzo długi proces, rzadko spektakularny, dlatego każdy krok, który zauważamy na tej wyboistej i stromej ścieżce, warto sobie

uświadomić, wzmocnić go i pohołubić. Hołubienia siebie nigdy zbyt wiele.

Przekręciłam się na lewy bok, twarzą do drzwi tarasowych, i obserwowałam przez szybę migający światłami ogród hotelu. Oprócz ustawionych wzdłuż alejek latarni świeciły się w nim również lampy umieszczone między roślinami. Podświetlone od środka bujne kępy liści wyglądały bajkowo i tajemniczo.

Nagle, jakby ktoś wyciągnął wtyczkę z gniazdka, wszystko zgasło i na zewnątrz zapanowała nieprzenikniona ciemność.

Na Zanzibarze prąd raz jest, raz go nie ma, uprzedzał nas Kidogo w drodze z lotniska. Zdaje się, że jego przepowiednia właśnie się sprawdziła.

Poczułam się dziwnie znajomo, ponieważ w Podkowie brak prądu zdarzał się bardzo często. Wystarczył mocniejszy wiatr albo opady wilgotnego śniegu, obciążające gałęzie, żeby zerwać kable, na których naprawę czekało się potem kilka godzin. Nienawidziłam tej dezorganizacji życia, która wtedy następowała – szukania po omacku zapalek, świeczek, lichtarzy, zakręcania wody w toalecie, żeby czasami komuś nie przyszło do głowy jej spuścić, bo groziło to popsuciem pompy, a najbardziej nienawidziłam owijania się kocami i marznięcia, bo nie wiedzieć czemu takie awarie zdarzały się najczęściej zimą.

Na Zanzibarze chłód mi nie groził, groziło za to przegrzanie, ponieważ wiatrak, który dawał przynajmniej złudzenie ruchu powietrza, był na prąd i gdyby przestał chodzić, ugotowałabym się, to pewne.

A jednak cichy szum i ledwo widoczny w ciemności ruch ramion świadczył o tym, że przyrząd cały czas pracuje. A to z kolei oznaczało, że przynajmniej u nas w domku prąd jest.

Wyglądało na to, że padło tylko oświetlenie zewnętrzne.

Zamknęłam oczy i zaczęłam się, dla odmiany, oddawać rozmyślaniami na temat morderstwa w Grodzisku.

Staruszka na straży domu, rodzina spędzająca regularnie zimowe ferie w Szwajcarii, rozbity sejf, z którego zniknęło trzysta tysięcy złotych... Gdybym była na miejscu Sikory, zaczęłabym od najbliższego otoczenia. Rodzina, znajomi, pracownicy... Jeżeli ktoś wydłubuje sejf ze ściany i próbuje go rozwalić, zrzucając ze schodów, to raczej nie jest profesjonalistą. Poza tym wszystko wskazywało na to, że starsza pani sama go wpuściła, a więc musiała go znać. Takich osób nie może być dużo...

Dzień, dwa i go złapią, pomyślałam optymistycznie.

I usnęłam.

Następnego dnia rano obudziły mnie promienie słoneczne, bezczelnie penetrujące wnętrze pokoju, co mi uświadomiło, że poprzedniego wieczoru nie opuściłam rolet i albo zrobię to teraz, albo na dalszy sen nie mam szans.

Sprawdziłam czas na komórce i aż się przeraziłam, tak było absurdalnie wcześnie. Wstałam, podeszłam do okna i nagle świat wydał mi się tak szaleńczo, tak

zjawiskowo piękny, że zamiast wrócić do łóżka, poszłam do łazienki, wzięłam szybki prysznic, włożyłam kostium kąpielowy i sukienkę, i pobiegłam przywitać się z oceanem.

Wszyscy goście o tej porze jeszcze spali, miałam więc ekskluzywne poczucie bycia pierwszą osobą, która tego dnia przemierza hotelowe ścieżki. Rozkoszowałam się świadomością, że ten czas należy wyłącznie do mnie i że mogę z nim zrobić, co tylko będę chciała. A chciałam popływać.

Już z daleka było widać, że ocean znowu zniknął, więc postanowiłam skorzystać z innego rozwiązania. Minęłam pustą jeszcze o tej porze recepcję i ruszyłam w stronę basenu. Jak większość hoteli na Zanzibarze, zlokalizowanych nad oceanem, nasz również miał basen zbudowany tak, żeby pływając w nim, można było odnieść wrażenie, że tafla wody i fale oceanu łączą się w jedno. O ile oczywiście akurat ocean był łaskawie pod ręką.

Basen, wyłożony turkusowymi kaflami, mieścił się na niewielkim wzniesieniu, na tyle oddalonym od części restauracyjnej, że siedzący przy stolikach nie musieli przyglądać się kąpiącym, a jednocześnie położonym na tyle blisko, że można było bez problemu przywołać kelnera.

Żeby dostać się do basenu, trzeba się było wspiąć po kilku szerokich, wygodnych, wysypanych białym piaskiem schodach. Wchodząc po nich, zajęłam się rozpinaniem sukienki, i dopiero kiedy stanęłam nad basenem, zobaczyłam, że coś w nim pływa.

Najpierw pomyślałam, że to czyjeś ubranie, które wiatr zwał do wody, ale to skojarzenie podsunął mi mój mózg chyba tylko po to, żeby choć o kilka sekund odwlec moment, w którym musiałam zdać sobie sprawę, że patrzę na unoszące się tuż pod powierzchnią wody kobiece ciało. Nie mogłam oderwać od niego wzroku, zaszokowana i zafascynowana jednocześnie. Nie widziałam twarzy, ale fantastycznie kolorowy kostium, który bardzo dobrze kojarzyłam, oraz znajome, wysportowane ciało, nie pozostawiały wątpliwości – to była Blanka.

Tak samo pewne było również, że nie żyje.

Wiedziałam, że powinnam jakoś zareagować. Mogłabym po prostu zacząć krzyczeć, tyle że krzyk, który z pewnością zaalarmowałby obsługę, obudziłby przy okazji połowę gości, którzy natychmiast pojawiliby się nad basenem. A śmierć wymaga ciszy i intymności.

I jeszcze czegoś. Zbadania śladów. Bo pierwsza myśl, jaka mi przyszła do głowy, była następująca: jakim cudem Blanka znalazła się w wodzie?

Bo mogłabym uwierzyć we wszystko, ale na pewno nie w to, że sama z siebie weszła do basenu. Jej hydrofobia była zbyt silna. Jak w takim razie mogło dojść do utonięcia? To pytanie z pewnością wymagało odpowiedzi.

Jednocześnie uświadomiłam sobie, że w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy były to trzecie zwłoki, z którymi miałam do czynienia. Co dawało w przeliczeniu jedno ciało na trzy miesiące, upiorna średnia.

Rozejrzałam się uważnie. Kawalek dalej, na bambusowym leżaku zobaczyłam żółty szlafrok, ten sam, w którym widziałam Blankę wczoraj wieczorem. Podeszłam

bliżej, wzięłam materiał w dwa palce i ostrożnie uniosłam. Cienki jedwab wydał mi się zaskakująco ciężki. Wsunęłam dłoń do prawej kieszeni i pod palcami poczułam prostokątny kształt telefonu. Wyjęłam go, ale ponieważ był zablokowany, schowałam z powrotem.

W lewej kieszeni natomiast znalazłam coś dużo bardziej interesującego – prezerwatywę. A więc wyjście na drinka było tylko pretekstem, bo Blanka tego wieczora miała w planie seks. Pytanie, z kim?

Policja, zawiadomiona przez menagera, przyjechała do Karibu stosunkowo szybko. Najwyższy stopniem funkcjonariusz energicznie dyrygował swoimi podwładnymi, ale co z tego, skoro na Zanzibarze nikt się nigdy nie spieszy, a obok *hakuna matata* najbardziej popularnym zwrotem jest *pole, pole*, czyli powoli, powoli.

Prawdopodobnie dlatego wyciągnięcie ciała z basenu, ułożenie na noszach i przeniesienie do karetki trwało godzinami, a ja przez cały ten czas tkwiłam w części restauracyjnej, obserwując ślamazarne działania miejscowych stróżów prawa.

Informacja o śmierci Blanki rozeszła się po hotelu bardzo szybko, dzięki czemu akcję policji oprócz mnie śledziło co najmniej dwadzieścia osób. Goście próbowali podejść jak najbliżej, policjanci zaś starali się trzymać ich od basenu najdalej, jak się da. Byli uśmiechnięci i grzeczni, ale stanowczy, dzięki czemu udało się uniknąć zdeptania terenu. Czekałam, żeby funkcjonariusze zabrali się za zbieranie śladów, ale im dłużej to wszystko trwało, tym więcej miałam wątpliwości, czy to w ogóle nastąpi.

Jeszcze przed przybyciem policji menager przyprowadził nad basen Wojtka. Kiedy obsługa hotelu wyjęła ciało z wody, ukląkł przy nim, ukrył twarz w dłoniach i zaczął szlochać gwałtownie i dziwnie teatralnie. Potem nagle poderwał się na równe nogi, ruszył w kierunku baru, zdjął z półki pierwszą z brzegu butelkę z alkoholem i trzymając ją za szyjkę, tak jakby chciał uderzyć nią kogoś w głowę, oddalił się w kierunku swojego bungalowu.

Przez chwilę wahałam się, czy za nim nie pobiec, ale ponieważ było bardzo prawdopodobne, że zamiast go pocieszać, zacznę mu zadawać podchwytliwe pytania, odpuściłam sobie. Na razie.

Bardzo chciałam natomiast porozmawiać z menagerem, ale Rachoń natychmiast po odejściu Wojtka zamknął się w swoim biurze. Nie pozostało mi więc nic innego jak siedzieć i czekać.

– Ty znalazła ciało – usłyszałam zdanie wypowiedziane po angielsku z charakterystycznym miejscowym akcentem.

Podniosłam wzrok. Nade mną stał niski, krępy mężczyzna, na którego wydatnym brzuchu niebezpiecznie opinał się materiał koszuli od policyjnego munduru.

Przytaknęłam ruchem głowy.

– Ja mam pytanie – oświadczył funkcjonariusz i dosiadł się do stolika, przy

którym tkwiłam od co najmniej dwóch godzin.

Potem nachylił się do mnie i zapytał, patrząc mi w oczy:

– Która godzina?

Już sięgałam po komórkę, żeby sprawdzić, kiedy olśniło mnie, że chodzi raczej o godzinę znalezienia zwłok.

– Kwadrans po szóstej – odpowiedziałam ostrożnie, nie do końca pewna, czy dobrze się rozumiemy.

– Osoba martwa? – upewnił się policjant.

– Tak, była już martwa, kiedy przyszłam – poczułam, że wspinam się na szczyty moich językowych możliwości, których mój rozmówca z pewnością nie doceni.

– Dziękuję. Do widzenia.

Patrzyłam, zaskoczona, jak mężczyzna wstaje, kłania się i rusza do wyjścia.

– Zaraz, moment... – odwróciłam się do menagera, który podczas naszej rozmowy stał z boku i się przysłuchiwał. – To wszystko? On nic więcej nie chce wiedzieć?

– Widocznie nie – wzruszył ramionami Rachoń.

– Przecież to bez sensu! Jak można prowadzić śledztwo, nie przepytując porządnie jedyne go świadka? – uniosłam się. – Nawet mi nie pobrali odcisków palców porównawczo!

Menager westchnął.

– Jakie śledztwo? Przecież oni żadnego śledztwa nie prowadzą.

Moje zaskoczenie przeszło w osłupienie. To na pewno przez upał, pomyślałam, chwytając leżące na stole menu i wachlując się nim gwałtownie. Nie możemy się porozumieć, bo jest za gorąco.

– Bardzo możliwe, że Blanka została zamordowana – powiedziałam, wyraźnie artykułując każdą sylabę. – Przecież oni nie mogą tego tak zostawić.

Menager przez chwilę przyglądał mi się uważnie, a potem parsknął śmiechem.

– Mogą, proszę pani, mogą. Właśnie zostawili. To nie są ich pierwsze zwłoki wyłowione z hotelowego basenu, i na pewno nie ostatnie. Wakacje, luz, zabawa, alkohol i nieszczęście gotowe.

– Co pan za głupoty opowiada? – naprawdę mnie zdenerwował. – Blanka bała się wody, omijała basen szerokim łukiem. Nie mogła tak po prostu do niego wpaść i się utopić. Ktoś jej musiał w tym pomóc! Trzeba się tym zająć, zbadać...

Na twarzy Rachonia, do tej pory zmęczonej i bez wyrazu, nagle pojawiła się irytacja.

– To jest Afryka, proszę pani. Tutaj panują inne zwyczaje. Jeżeli policjant uznał tę śmierć za wypadek, to ja się nie zamierzam z nim kłócić. I pani też odradzam. Zwłaszcza że nie ma pani żadnego dowodu na poparcie tej swojej karkołomnej tezy.

Najpierw myślałam, że żartuje. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że mówi absolutnie serio.

– Gdyby ten policjant chociaż odrobinę się przyłożył do swojej pracy, na pewno by znalazł dowód – warknęłam.

– Tylko po co? – zapytał Rachoń, bezczelnie patrząc mi w oczy. – Zapewniam panią, że nikomu to śledztwo nie jest na rękę.

Dopiero w tym momencie dotarło do mnie, o co chodzi. Śledztwo w butikowym hotelu? Już sama śmierć gościa musiała być dla menagera koszmarem. Ale gdyby się okazało, że to nie była zwykła śmierć, tylko morderstwo, hotel mógłby się po takim wstrząsie nie podnieść.

– Rozumiem, że najbardziej to nie jest na rękę panu – zauważyłam. – Więc lepiej niech się pan modli, żeby to nie był seryjny morderca. Bo jak tu panu jeszcze kogoś załatwi, to nie będzie co zbierać...

Przez twarz Rachonia przemknął cień.

To była moja zemsta – nastraszyć go. Nic więcej zrobić nie mogłam.

Wstałam od stołu i odeszłam, nie oglądając się na typa. Ale jego zachowanie odniosło jeden pozytywny skutek – w tym momencie moim jedynym celem stało się odnalezienie odpowiedzi na pytanie, czy i przez kogo Blanka została zamordowana.

Matkę zastałam przy komputerze. Stukała w klawisze z nieobecny wyrazem twarzy, a na uszach miała słuchawki. Ewidentnie odpuściła sobie dzisiaj śniadanie, dlatego nie pojawiła się przy basenie podczas wizyty policji. W sumie może i dobrze?

Podeszłam do niej od tyłu i puknęłam lekko w ramię. Podskoczyła gwałtownie, zdzierając słuchawki z uszu.

– Zwariowałaś? – wrzasnęła. – Chcesz, żebym dostała zawału?

– Blanka nie żyje.

Matka, która właśnie nabrała oddechu, żeby pociągnąć dalej swoje pretensje, zamarła, zaszokowana.

– Niemożliwe – wydusiła z siebie. – Jak to się stało?

Przysunęłam sobie leżak i opadłam na niego ciężko. Dopiero teraz, kiedy zaczęły ze mnie schodzić emocje, poczułam, ile mnie ten dzisiejszy ranek kosztował.

– Znalazłam ją w basenie. Utonęła prawdopodobnie wczoraj wieczorem.

– Co za koszmarny wypadek...

– No właśnie nie – odchrząknęłam ostrzegawczo. – Nie sądzę, żeby to był wypadek. Blanka potwornie się bała wody. I nie umiała pływać. Sama z siebie by do basenu nie weszła. Uważam, że ktoś ją zamordował.

Matka zaczęła sobie opuszkami palców masować skórę na głowie. Robiła to często podczas pisania, szukając jakiegoś słowa czy pomysłu.

– Trochę niestety sama sobie przeczysz – stwierdziła w końcu. – Jeżeli, jak twierdzisz, nie umiała pływać, to utonięcie jest bardzo prawdopodobną przyczyną śmierci. Poza tym kto by ją miał zamordować? Oprócz mnie oczywiście... – zażartowała błyskotliwie.

– Nie wiem – przyznałam szczerze. – Morderca się nie podpisał ani nie zgubił paszportu nad basenem. Ale ona miała różne rzeczy za uszami, więc...

– Mianowicie? – zainteresowała się matka.

– Widziałam, jak się całowała z jakimś facetem – wyznałam niechętnie. – Zdradzała Wojtkę, a on się o tym dowiedział. Wczoraj wieczorem strasznie się pokłócili. Potem poszła niby na drinka do baru, ale raczej była umówiona na seks, bo w kieszeni jej szlafroka znalazłam prezerwatywę.

– Moment! – Matka uniosła dłoń, żeby mi przerwać. – Uporządkujmy ten chaos. Jaki szlafrok? Ona się utopiła w szlafroku?

– Nie, miała na sobie tylko kostium kąpielowy. Szlafrok leżał obok, na leżaku.

– Jeżeli go zdjęła, to znaczy, że chciała wejść do wody, bo raczej opalanie w nocy nie wchodzi w grę. Może usiadła na brzegu basenu, pewnie była po alkoholu...

– Zupełnie jakbym słyszała pana menagera...

Matka wzruszyła ramionami.

– A co mówi policja?

– Policja nic nie mówi, bo uważa, że to wypadek był.

– No widzisz. I pewnie mają rację. – A potem dodała: – Takie sprawy trzeba zostawiać profesjonalistom.

Poczułam się urażona.

– Pamiętaj, że mówisz do kogoś, kto przez ostatnie pół roku rozwiązała zagadkę śmierci pięciu osób.

Matka popatrzyła na mnie, zdziwiona.

– Nie przesadzasz z tymi liczbami?

Już miałam zacząć wymieniać, ale pomyślałam skromnie, że jednak nie będę się chwalić. Jeszcze mi zacznie zazdrościć.

– Poza tym – ciągnęła – wydaje mi się, że to nie ty rozwiązałaś tamte sprawy, tylko policja.

No właśnie, zazdrości mi, pomyślałam. Umniejsza moje zasługi, bo ja działałam w realnym świecie, a ona tylko na papierze...

– Jeśli chodzi o policję, to tutejsza ma wszystko w nosie – wyjaśniłam. – Jedyne, na czym im zależy, to się nie przemęczać. Zresztą możliwe, że ktoś im pomógł podjąć taką decyzję.

– Co masz na myśli?

– Łapówkę, mam. Menager, ten cały Rachoń, bardzo by mi pasował do takiej wersji. Dla niego śledztwo w hotelu to dramat. W ogóle bym się nie zdziwiła, gdyby im dał w łapę, żeby zostawili sprawę.

– Łapówkę? Policji? – pytania, jakie zadawała moja matka, nie były dzisiaj specjalnie błyskotliwe.

– Tak właśnie. Powiedzieć, że tutejsza policja jest przekupna, to nic nie powiedzieć. Na drogach zatrzymują wyłącznie te samochody, które wiozą turystów, bo wtedy jest szansa, że wyciągną kasę. Nie sądzę, żeby wszczęcie śledztwa w sprawie morderstwa jakoś się specjalnie różniło od przekroczenia prędkości. No, może stawką.

Mimo mojego, jak mi się wydawało, logicznego wywodu, matka wciąż wydawała się nieprzekonana.

– Kotek, wiesz, że ja zawsze sprawy kryminalne traktuję priorytetowo, ale tym razem jakoś mi się nie wydaje, żeby to było morderstwo. Naprawdę. Czy ty czasami nie masz jakiejś obsesji na bym punkcie?

Następna z klapkami na oczach. Po Rachoniu. I nagle sobie uświadomiłam, skąd ten sceptycyzm.

– Ty po prostu nie lubisz Blanki! – uderzyłam dłonią w stolik tak mocno, że laptop aż podskoczył. – Znaczą, nie lubiłaś... To dlatego!

Matka popatrzyła na mnie z wyższością.

– Dziwny pomysł! Co ma wspólnego moja sympatia do kogoś z tym, w jaki sposób zginął? Może skoro jej nie lubiłam, to mnie jeszcze oskarżysz o to, że to ja ją zamordowałam? – uniosła się.

– To w końcu wypadek czy morderstwo? Zdecyduj się – zwróciłam jej kąśliwie uwagę i poszłam sobie, zostawiając ją samą.

Wiedziałam, że kiedy matka ma przed sobą otwarty komputer, nie zachowuje się racjonalnie. Nawet jeżeli wydaje się, że bierze udział w rozmowie, odpowiada na pytania czy wręcz je zadaje, to i tak ma z tyłu głowy tylko jedną myśl: jak najszybciej wrócić do pracy. Więc może kiedy skończy książkę, będzie się z nią łatwiej dogadać?

ROZDZIAŁ 11

Jak sobie zagospodarować dzień, w którym znalazło się zwłoki? Właściwie przy moich statystykach powinnam mieć w tym wprawę, znajdowanie zwłok powoli wchodziło mi w nawyk, jednak jakoś nie potrafiłam przejść nad tym do porządku dziennego.

Położyłam się na łóżku i odwróciłam plecami do drzwi tarasowych, żeby nie patrzeć, jak matka znęca się nad komputerem. Miała okrutny sposób pisania – uderzała w klawisze z góry, prawie pionowo, jakby celowała w biegające po klawiaturze mrówki. Miałam wrażenie, że wyładowuje swoją złość, atakując bogu ducha winne kawałeczki plastiku. W efekcie takiego traktowania żywotność jej laptopów nie była zbyt długa. Zmieniała sprzęt co dwa lata, ale kto bogatemu zabroni? Poza tym lepiej, żeby się wyżywała na przedmiotach, niż na ludziach.

Po dzisiejszym poranku, wymianie zdań z policjantem, rozmowie z menagerem i teraz tej ostatniej, z matką, byłam pewna jednego – moje wakacje właśnie poszły się bujać. Wiedziałam, że dopóki nie znajdę odpowiedzi na pytanie, czy to rzeczywiście było morderstwo, a jeśli tak, to kto go dokonał, na żaden wypoczynek nie mam szans.

Tylko gdzie tych odpowiedzi szukać?

Mój wzrok padł na leżący na szafce nocnej telefon.

To jak to było z tą różnicą czasu?

– Czy ty wiesz, która godzina? Znaczy w Polsce? – Chrzękający i zachrypnięty Sikora brzmiał jak własny dziadek.

– Wiem, ale ty przecież wcześniej wstajesz.

– Wczoraj wróciłem z roboty o pierwszej w nocy. Chciałem dzisiaj trochę dłużej pospać.

– Skąd mogłam wiedzieć? Sprawa jest pilna. Potrzebuję pomocy.

Sikora milczał tak długo, że aż sprawdziłam, czy ciągle mam połączenie.

– Jacek?

– Próbuję zrozumieć, jakiej pomocy potrzebujesz ode mnie o ósmej rano, siedząc na Zanzibarze.

– Kilka dni temu kazałeś mi sobie znaleźć własnego trupa – przypomniałam mu. – No to znalazłam.

I opowiedziałam, możliwie najdokładniej, całą historię.

– Pytanie jest takie: co ja mam teraz zrobić? – zakończyłam.

– Według mnie pójść na plażę. To mówię ja, wujek dobra rada – w jego głosie było wyłącznie zmęczenie.

– Ale ja jestem prawie pewna, że to nie był wypadek! – powiedziałam tak głośno, że aż matka na tarasie podniosła wzrok znad komputera i posłała mi karcące spojrzenie.

– Ależ ja wcale nie zaprzeczam. Tylko że nie masz żadnych możliwości, żeby to udowodnić. Dlatego proponuję: zapomnij o tym. Idź na plażę, poopalaj się, zrelaksuj. To wszystko, co możesz zrobić.

Musiałam kilka razy odetchnąć, żeby się uspokoić.

– Nie zapomnę, nie zrelaksuję się, nie ma szans – uświadomiłam mu. – Znałam tę dziewczynę, lubiłam ją. Nie mogę tego tak zostawić. Nawet jeżeli to rzeczywiście był wypadek, chcę być tego pewna. Powiedz mi tylko, co byś zrobił na moim miejscu. Co ci szkodzi?

– Na twoim miejscu poszedłbym na plażę... Dobra, żartuję... Gdybym ja się za to zabierał, to przede wszystkim miałbym wyniki sekcji, przypuszczalną godzinę śmierci, zacząłbym od sprawdzenia alibi, ewentualnych badań DNA... No ale rozumiem, że ty na takie informacje nie możesz liczyć. Więc na twoim miejscu zacząłbym od motywu. Morderstwo to poważna sprawa. Nikt nie zabija ot tak sobie. Musi mieć powód. Szukaj kogoś, kto miałby motyw. Taka wskazówka wystarczy?

– Dziękuję! – uśmiechnęłam się, choć przecież nie mógł mnie widzieć. – Kochany jesteś.

– Ma się rozumieć. Tylko jedna prośba. Jeżeli już musisz wtykać nos w nie swoje sprawy, to przynajmniej uważaj. Czyli na przykład nie chlap ozorem na prawo i lewo, że według ciebie to było morderstwo, dobra?

– Jasne! Obiecuję! – zapewniłam go. – Na razie powiedziałam tylko menagerowi...

Jacek jęknął.

– Wiesz co, coraz bardziej się cieszę, że tam jesteś. A wiesz, dlaczego? Bo nie ma cię tutaj. Teraz sobie uświadomiłem, co by się działo, gdybyś mi siedziała na głowie podczas tego śledztwa w Grodzisku. Chyba odmówię litanię dziękczynną czy co – w głosie Sikory brzmiała prawdziwa ulga.

– O właśnie, sorry, że nie zapytałam! Macie coś nowego? – zainteresowałam się natychmiast.

– Zajmij się swoim trupem, nie moim – pouczył i się rozłączył.

Poderwałam się z łóżka z nową energią.

Dzięki Sikorze wiedziałam, od czego zacząć.

Kto mógł mieć lepszy motyw do morderstwa niż zazdrosny mąż?

Potrzebowałam spokoju, żeby zebrać myśli i przygotować się do wizyty u Wojtka, ale

prawdę mówiąc nie bardzo miałam gdzie się podziąć. W domku było duszno, taras zajęła matka, restauracja nie wchodziła w grę, bo na razie nie chciałam nikogo widzieć, z tego samego powodu odpadała plaża. Zdesperowana, zamknęłam się w łazience i odkręciłam prysznic. Dotyk chłodnej wody okazał się o tej porze wyjątkowo przyjemny, a jej szum działał uspokajająco, odcinał od wszystkich dochodzących z zewnątrz odgłosów i bardzo pomagał mi się skupić.

Moim głównym problemem był dysonans poznawczy, który właśnie przeżywałam.

Nie mam jakiejś specjalnej intuicji psychologicznej, ale Wojtek od początku budził moją wielką sympatię. Wydawał się wrażliwym, inteligentnym człowiekiem o lekko sarkastycznym poczuciu humoru, a to, co najbardziej mi się w nim spodobało, to jego stosunek do Blanki. Był dla niej dobry i czuły, a jednocześnie nie nachalny. Dawał jej jednocześnie troskę i swobodę, co budziło moje szczere uznanie, bo muszę przyznać, że z takimi relacjami nie spotykałam się zbyt często.

Wyglądali z boku na parę idealną, dlatego tak bardzo przeżyłam fakt, że mężczyzna, z którym całowała się Blanka, to nie był jej mąż. Kłótnia, którą potem podsłuchałam, upewniła mnie w tym, że to Wojtek jest w tym związku stroną poszkodowaną. A teraz nagle musiałam zweryfikować moje myślenie o nim o sto osiemdziesiąt stopni.

Poszukaj motywu, poradził mi Sikora, a ja nie musiałam się w ogóle wysilać, żeby go znaleźć. Miałam go jak na talerzu i to właśnie tak bardzo mnie martwiło. Nikt nie miałby solidniejszego powodu, żeby zabić, niż oszalały z zazdrości, zakochany w kobiecie mężczyzna. I co z tego, że mi to nie pasowało do Wojtka, skoro przecież tak naprawdę go nie znałam. Ted Bundy też na zdjęciach wyglądał na sympatycznego gościa.

Muszę z nim porozmawiać, zdecydowałam. Będę go pocieszać, udawać współczucie, może uda mi się z niego wyciągnąć jakąś informację. A może sam się wysypie? Jednego byłam pewna – czekała mnie konfrontacja z Wojtkiem. I lepiej jej było nie odkładać.

Zakręciłam wodę, owinęłam się ręcznikiem, otworzyłam drzwi od łazienki i zamarłam.

Na środku pokoju stał Sylwester.

Jak zwykle nienagannie ubrany, pachnący świeżością i jakąś kosztowną wodą kolońską, przyglądał mi się, wyraźnie zaciekawiony.

W pierwszym odruchu chwyciłam za brzeg ręcznika, żeby mieć pewność, że nie rozwiąże się nagle i nie zsunie na podłogę, stawiając mnie w jeszcze bardziej niezręcznej sytuacji. Bo sam fakt, że prawie goła stałam teraz przed obcym mężczyzną, już się dość wysoko kwalifikował w kategorii niezręczności roku.

– Co ty tu robisz? – jęknęłam bezradnie, chodź na usta cisnęło mi się „wyjdz!”.

– Och, wybacz! – ocknął się. – Nie miałem pojęcia... Twoja mama powiedziała, że tutaj jesteś, więc...

– Możesz poczekać na tarasie?

Kiedy tylko zniknął za drzwiami, rzuciłam się w panice kompletować garderobę. Miałam w nosie, jak będę wyglądać, chciałam jedynie być ubrana w taki sposób, żeby przynajmniej pięćdziesiąt procent mojego ciała było zakryte.

Kiedy w końcu wyszłam na zewnątrz, zastałam Sylwestra pogrążonego w rozmowie z matką. Musiał mieć niebywale umiejętności interpersonalne, skoro udało mu się odciągnąć Zofię Sarnecką od komputera i sprawić, że wyglądała na zachwyconą tym faktem.

– O, jesteś... – odezwała się na mój widok takim tonem, jakby miała pretensję, że przerywam im konwersację. – Pan Sylwester przyszedł dowiedzieć się czegoś o tym dzisiejszym incydencie.

Zamurowało mnie drugi raz w ciągu dziesięciu minut. Moja matka właśnie przed chwilą określiła śmierć Blanki mianem „incydentu”. Miałam ochotę krzyknąć.

– Dopiero teraz się dowiedziałem! – Sylwester wyglądał na zbulwersowanego. – Co za nieszcześnie. Ta dziewczyna była taka pełna życia, energii! Naprawdę, jestem wstrząśnięty.

Przynajmniej on...

– Słyszałem, że to ty ją znalazłaś... – dodał. – Bardzo ci współczuję, to musiało być straszne doświadczenie...

O dziwo, jego ton i słowa brzmiały wiarygodnie i działały kojąco. Już miałam odpowiedzieć coś w stylu: dziękuję, rzeczywiście to była trauma, ale jakoś się trzymam, kiedy do rozmowy swoim rozkosznym zwyczajem włączyła się matka.

– Powiedziałam panu Sylwestrowi, że według ciebie to wcale nie był wypadek, tylko morderstwo – zakomunikowała, bardzo z siebie dumna.

Tyle w temacie niechlapania ozorem.

– Ty nie powinnaś pisać, mamusiu? – zapytałam, wciągając na twarz uśmiech fałszywy niczym biała flaga ochlapana krwią naiwnych negocjatorów.

– Ach, rzeczywiście, te terminy... – zreflektowała się matka, patrząc na komputer z niechęcią. – To co, panie Sylwestrze, może się zobaczymy na kolacji?

– Z największą przyjemnością!

Sylwek poderwał się z fotela i cmoknął matkę w rękę – zwyczaj budzący mój silny wewnętrzny sprzeciw.

– Przejdziemy się? – zwrócił się do mnie.

– Raczej nie. Muszę zajrzeć do Wojtka, zobaczyć, w jakim jest stanie.

– Jasne – zgodził się Sylwek. – To ja cię odprowadzę.

Szliśmy między palmami, milcząc. Nagle Sylwester zatrzymał się i delikatnie chwycił mnie za łokieć. Zatrzymałam się również i odwróciłam do niego.

– Usiądziemy na chwilę? – zaproponował.

Za nami, ukryta wśród wybujałych agaw, stała drewniana ławka, pomalowana na intensywnie pomarańczowy kolor, zapewne po to, żeby w ogóle można ją było zauważyć wśród liści.

A ponieważ do rozmowy z Wojtkiem jakoś mi się specjalnie nie spieszyło, zgodziłam się.

– Naprawdę myślisz, że to było morderstwo? – w jego głosie brzmiało autentyczne zaciekawienie.

Zabawne, Sylwester okazał się pierwszą osobą, która nie wyśmiała mojej koncepcji.

– Nie jestem pewna, ale są poszlaki, które na to wskazują – odpowiedziałam ostrożnie.

– Bardzo ciekawe... – oczy zabłysły mu zainteresowaniem. – Kto to mógł zrobić, jak myślisz?

Jego zaintrygowany ton i zaciekawione spojrzenie było tym, czego bardzo teraz potrzebowałam. Toteż natychmiast przestałam się kontrolować i przedstawiłam mu całą moją teorię. Słuchał uważnie, co chwila kiwając głową.

– Najgorsze jest to, że nie masz żadnych dowodów, że to było morderstwo – podsumował mój wywód. – To trochę zawęży pole manewru.

– I tak, i nie – odpowiedziałam. – Jeżeli zabił Wojtek, z zazdrości, to jest szansa, że żadne dowody nie będą potrzebne, bo sam się przyzna. Kwestia emocji, rozumiesz? On nie jest typem zimnokrwistego mordercy. Gdyby go tylko umiejętnie sprowokować...

– W takim razie uważam, że powinnaś to zgłosić na policji – oświadczył stanowczo.

– Policji? – parsknęłam. – Żartujesz. Oni go nawet nie będą potrafili porządnie przesłuchać bez tłumacza. Żadna policja nie wchodzi w grę. Zamierzam sama z nim porozmawiać. Jestem pewna, że coś z niego wyciągnę. Uwierz mi, mam doświadczenie.

Sylwester wyglądał na zbulwersowanego moimi planami.

– No nie wiem, czy to bezpieczne – stwierdził po chwili zastanowienia. – Może byłoby rozsądniej, gdybym poszedł z tobą?

Nie chciałam, żeby tam ze mną wchodził. To spotkanie wymagało intymności. Jeżeli władujemy się tam oboje, jak para śledczych, Wojtek nie będzie miał przestrzeni, żeby się otworzyć.

Sylwek musiał wyczuć moje nastawienie, bo nagle sam się wycofał.

– Nie, dobra, nie było pytania. Nie ma sensu robić tłoku. Choć w dalszym ciągu uważam, że to ryzykowne, żebyś z nim przebywała sam na sam...

Nie, no bez przesady, pomyślałam. Ostatnio pewien facet, który chciał mi zrobić krzywdę, skończył ze śrubokrętem wbitym w udo.

– Poradzę sobie.

– Może na wszelki wypadek poczekam gdzieś w pobliżu? – zaproponował.

Nie chciało mi się z nim dyskutować, więc kiwnęłam głową. Niech sobie czeka,

jak chce.

Wstaliśmy z ławeczki i podeszliśmy pod bungalow Wojtka. Już podnosiłam rękę, żeby zapukać do drzwi, kiedy z tyłu domu, od strony tarasu, usłyszałam męski głos. To bez wątpienia był Wojtek. Najpierw myślałam, że jest z kimś, ale po chwili zrozumiałam, że rozmawia przez telefon... Ciekawe, z kim i o czym, pomyślałam i bez zastanowienia ruszyłam wzdłuż ściany budynku, żeby podejść bliżej i lepiej słyszeć. Sylwester szedł tuż za mną.

Nagle, robiąc kolejny krok, potknęłam się o coś miękkiego, leżącego na ścieżce. Gdyby Sylwester mnie nie podtrzymał, przewróciłabym się jak nic. Kiedy odzyskałam równowagę i spojrzałam pod nogi, zobaczyłam pod nogami bezkształtną bryłę zeschniętych liści. Zirytowany Sylwester jednym kopnięciem umieścił ją w krzakach i ruszyliśmy dalej.

Im byliśmy bliżej, tym słowa dochodziły do nas wyraźniej. Zatrzymaliśmy się tuż za rogiem bungalowu i zaczęliśmy podsłuchiwać, kolejna czynność, obok znajdowania zwłok, która najwyraźniej weszła mi w krew.

– Tak, teraz będę musiał załatwić wszystkie formalności, jest tego trochę. Na razie jeszcze nikt się nie zorientował, ale to nieuniknione. Koszmar, mówię ci, koszmar... Oczywiście, że czuję się winny. Mam takie straszne wyrzuty sumienia... Wszystko bym zrobił, żeby cofnąć czas... Zadzwoń jutro. Cześć.

Wycofaliśmy się szybko i cicho.

Próbowałam ułożyć sobie w głowie to, co przed chwilą usłyszałam. „Mam takie straszne wyrzuty sumienia”, „Oczywiście, że czuję się winny”, „Zrobiłbym wszystko, żeby cofnąć czas”... To brzmiało jak jednoznaczne potwierdzenie mojej teorii.

– A widzisz, mówiłam – stwierdziłam z satysfakcją.

Sylwester skrzywił się lekko.

– Kawał cynicznego drania. Nadal chcesz iść do niego?

Wszystko wskazywało na to, że Wojtek może wcale nie być taki otwarty i rozmowny, jak sądziłam. Powinam chyba zrewidować swoją strategię. I nagle poczułam, że nie mam w tym momencie siły na konfrontację.

– No jednak nie. Najpierw sobie przemyślę kilka rzeczy, tak żebym była lepiej przygotowana.

– To może kawa? – zaproponował Sylwester. – Porozmawiamy sobie spokojnie i ustalimy, co dalej.

Nie wiem dlaczego, ale nie spodobało mi się to „ustalimy, co dalej”. Dopiero po chwili zrozumiałam, że zabrzmiało to tak, jakbyśmy stanowili jedną drużynę, jakby kwestia wyjaśnienia śmierci Blanki była naszą wspólną sprawą. A nie była.

Gdyby Sylwester sam z siebie nie pojawił się w naszym domu, na pewno nie przyszłoby mi do głowy szukać u niego wsparcia, a nawet w ogóle z nim o tym rozmawiać. I nie tylko dlatego, że matka zaczęła nas swatać. Owszem, lubiłam go, wydawał się naprawdę sympatyczny, ale problem polegał na tym, że był... obcy. Nie znałam go i nie wiedziałam, czego się po nim spodziewać. Miło, że się zainteresował sprawą, miło, że mnie wysłuchał, na razie starczy.

– Dzięki – uśmiechnęłam się słabo. – Ludzie, restauracja, sorry... Nie mam ochoty na razie – moją odmowę postanowiłam okraszyć argumentami z gatunku „trauma”.

– To może zamówię do siebie do numeru? – próbował dalej.

Robiło się coraz niebezpieczniej, odmawianie na dłuższą metę nigdy nie było moją mocną stroną. W sumie na krótką też nie.

– Nie, naprawdę dziękuję, chciałabym pobyć sama, rozumiesz...

– Szkoda, ale jasne – skapitulował. – To co, widzimy się na kolacji?

Przytaknęłam, i każde z nas ruszyło w swoją stronę.

ROZDZIAŁ 12

Zamiast do domku, gdzie matka zapewne wciąż pracowała jak szalona, postanowiłam pójść na plażę. Potrzebowałam spokoju, żeby pomyśleć.

Ocean był akurat w fazie przypływu. Usiadłam na piasku i patrzyłam przed siebie, pozwalając, by szum fal powoli mnie uspokajał. Woda tego dnia miała wyjątkowo ciemny, prawie granatowy kolor, od którego jeszcze wyraźniej niż zwykle odcinały się turkusowe plamy płycizn. Gdzieś na horyzoncie przesuwały się białe plamki żagli rybackich łódek, a wiatr rozwiewał mi włosy, niosąc ze sobą lekko kwaśny zapach wodorostów.

Na plaży poza mną i grupą Masajów nie było nikogo. Masajowie, wysocy i szczupli, owinięci wzorzystymi płachtami materiału, regularnie przemierzali naszą plażę w poszukiwaniu potencjalnych klientów. Byli młodzi, uśmiechnięci i bardzo kontaktowi. Mieli ze sobą długie kije i sizalowe chińskie torby, pełne pamiątek na sprzedaż. Nosili okulary przeciwsłoneczne o lustrzanych szklach i plastikowe sandały, które wyglądały tak, jakby miały się rozpaść przy mocniejszym tupnięciu.

– Jumbo! – krzyknął jeden z nich, przechodząc obok.

– Mambo! – odpowiedziałam.

Pomachali mi i poszli dalej.

Chwilę później mój żołądek zaczął się gwałtownie dopominać o pożywienie, a ja sobie uświadomiłam, że od rana nie miałam nic w ustach. Wstałam więc, otrzepałam się z piasku, który miał kolor i konsystencję mąki, i niechętnie ruszyłam w kierunku hotelowych schodów. Wspięłam się na górę i poszłam ścieżką prosto do głównego budynku, starając się nie patrzeć w kierunku basenu.

W restauracji spodziewałam się tłoku – wiedziałam z doświadczenia, że śmierć ludzi przyciąga – a jednak było praktycznie pusto.

Wybrałam stolik po drugiej stronie baru. Podeszła do mnie kelnerka, młodziutka, sympatyczna Polka, na identyfikatorze miała napisane: „Basia”.

– Coś do picia? Do jedzenia? – zapytała.

Zamówiłam sałatkę z ośmiornicy i piwo o pociągającej nazwie Safari. Czekaając na powrót kelnerki, obserwowałam dużego, rudego kota śpiącego na murku kilka metrów dalej. Zwierzę było szczupłe, ale nie chude, miało błyszczącą sierść i wyglądało na stałego mieszkańca hotelu.

Od strony recepcji pojawiła się Kaja, animatorka kultury, z którą rozmawiałam podczas pierwszej kolacji, i podeszła do kota. Pochyliła się nad nim i zaczęła drapać

zwierzaka za uchem w sposób, który kot musiał znać i lubić, bo nagle wywrócił się na grzbiet, eksponując białe podbrzusze i domagając jeszcze więcej pieszczot.

Dziewczyna przez chwilę bawiła się ze zwierzęciem, potem wyprostowała się i wtedy napotkała mój wzrok. Skinęła na powitanie głową, a ja nagle zdałam sobie sprawę, że mam przed sobą osobę z personelu – kogoś, kto dobrze zna hotel, spędza tu dużo czasu i na pewno wie o gościach dużo więcej niż ja. Taką okazję warto było wykorzystać.

Uśmiechnęłam się więc do Kai i pomachałam ręką zapraszająco. Dziewczyna po chwili namysłu przeskoczyła przez murek i podeszła do mojego stolika.

– Dzień dobry... – zaczęła ostrożnie. – Jak się pani czuje? – w jej głosie zabrzmiała autentyczna troska.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Tak... trochę dziwnie. Ale proszę, niech pani ze mną chwilę posiedzi – zaprosiłam ją.

– Jasne... – dziewczyna odsunęła krzesło i przysiadła na nim.

– To musiało być dla pani straszne – westchnęła. – Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak straszne. Przecież wy się znałyście, jadałyście razem. – Machnęła ręką w stronę stołu, przy którym siedzieliśmy ostatnio z Blanką. – Bardzo pani współczuję.

Była ciepłą, empatyczną osobą, a jej ton sprawił, że o mały włos się nie rozkleiłam.

– Pana Wojtka też mi bardzo szkoda – dodała po chwili.

– Tak, dla niego to koszmar – przyznałam, próbując gorączkowo znaleźć jakieś pytanie, które sprawi, że dziewczyna powie więcej niż by chciała. – Zabrać żonę na bajkowe wakacje i nagle taki dramat... – zaczęłam ją podprowadzać. – Wydawali się takim szczęśliwym małżeństwem... – ciągnęłam.

Kaja rozejrzała się dookoła tak, jakby chciała sprawdzić, czy czasem ktoś nas nie podsłuchuje, po czym nachyliła się do mnie i powiedziała konfidencjonalnym szeptem:

– Tyle że oni nie byli małżeństwem.

Nawet nie musiałam udawać zaskoczenia.

– Słucham?

Od początku byłam przekonana, że Blanka i Wojtek są mężem i żoną. Sposób, w jaki się do siebie zwracali, obrączki na palcach, aluzje w rozmowach. Wiadomo, że coraz więcej par nie potrzebuje żadnego papierka, żeby być ze sobą, jednak o tych dwojgu zawsze myślałam w kategoriach małżeństwa. Jak się okazuje, nie tylko ja.

– Też się zdziwiłam – przyznała Kaja. – Ale Elka, ta z recepcji, twierdzi, że mieli inne nazwiska, a kiedy pan Wojtek robił rezerwację, to bardzo prosił, żeby domek miał dwie sypialnie.

Robiło się coraz bardziej interesująco, ale potrzebowałam więcej faktów.

– Może chcieli mieć dwie sypialnie tak na wszelki wypadek? – zasugerowałam, choć sama nie wierzyłam za bardzo w to, co mówię. – Czasami tak jest, wie pani,

kiedy na przykład jedno z małżonków chrapie...

Kaja zrobiła konspiracyjną minę.

– Nie sypiali ze sobą. Wiem, bo mi sprzątaczką powiedziała. Codziennie słała dwa łóżka.

I dodała na koniec:

– W tym związku musiał być niezły kryzys.

ROZDZIAŁ 13

Zeby nie zawracać Sikorze głowy w ciągu dnia, postanowiłam zadzwonić do niego dopiero o mojej dwudziestej pierwszej, a jego dziewiętnastej. O tej porze powinien być już po pracy. I po obiedzie, co nie mniej ważne.

Tak się idealnie złożyło, że matka, po całym dniu pisania, podczas którego zrobiła sobie tylko krótką przerwę na obiad, koło wpół do dziewiątej zamknęła komputer, przeciągnęła się i oznajmiła:

– Dziesięć stron. Świetny wynik! Idę pod prysznic.

Kiedy wyszła z łazienki, zapytałam, czy mogę skorzystać z laptopa. Zgodziła się, choć jak zwykle bez entuzjazmu, i zapytała, jakie mam plany w związku z kolacją. Kiedy odpowiedziałam, że zamierzam spędzić czas na Skypie, matka zakręciła się błyskawicznie, przebrała w jakiś kolejny, atrakcyjny ciuszek, zaprojektowany z myślą o nastolatkach, i wyfrunęła do restauracji.

Jej nieobecność była mi bardzo na rękę. Otworzyłam komputer, weszłam na Skype'a i już miałam dzwonić do Elki, kiedy nagle sobie uświadomiłam, że przecież nie wiem, co u dzieci.

To niesamowite, jak te wszystkie kryminalne wydarzenia, które mi się przytrafiały, odciągały mnie od codzienności, dając mi jednocześnie potężnego energetycznego kopa.

Oczywiście dzieciaków przy laptopie nie zastałam, co pierwszy raz od przyjazdu na Zanzibar raczej mnie ucieszyło niż zmartwiło. Na pewno dobrze się bawią, stwierdziłam, i już bez skrupułów kliknęłam symbol słuchawki przy ikonce Elki.

Moja przyjaciółka odebrała prawie natychmiast, i to na full wypasie, bo z włączoną kamerką. Ona, w przeciwieństwie do Sikory, z połączeniem wideo nie miała żadnego problemu, a bałagan w kuchni traktowała raczej jako instalację artystyczną niż coś, czego by się należało wstydzić.

– A co ty tak ciągle siedzisz przy komputerze? – zainteresowałam się na powitanie.

– No faktycznie ostatnio sporo – przyznała Elka. – Muszę przygotować newsletter z nowościami na stronę biblioteki. Dziewczyna, która się tym zajmowała, odeszła na macierzyński i masz, zarywam wieczory.

– Jacek już ci powiedział, co tu się u mnie stało? – korciło mnie strasznie, żeby z nią pogadać o Blance. Czy raczej o Wojtku.

– Myśmy się w ogóle dzisiaj nie widzieli. Jak wychodziłam rano na targ, to spał,

jak wróciłam, już go nie było. I ciągle nie ma, tak *by the way*.

– No to posłuchaj... – zaczęłam, ale Elka mi przerwała.

– Moment.

Wstała od stołu i na chwilę zniknęła z kadru, a kiedy wróciła, trzymała na ręku swojego kota w plastikowym ochronnym kołnierzu na szyi.

– A jemu co się stało?

– Rozciął sobie łapę. Tak porządnie. Musiałam z nim jechać do was do lecznicy.

– Szkoda, że mnie nie było...

Elka popatrzyła prosto w kamerkę.

– No właśnie bardzo dobrze, że cię nie było – uśmiechnęła się. – Bo dzięki temu zajął się nami pan doktor Walczak.

– Rozumiem, że był dla ciebie miły?

– Bardzo. Ma coś w sobie. Taki... magnetyzm? Oprócz tego, że jest przystojny, ale to oczywiste.

Jakoś nie miałam ochoty wysłuchiwać zachwyty nad moim kolegą z pracy.

– Może powinnaś sprawić sobie jeszcze jakieś zwierzę? – zauważyłam z przekąsem. – Ale zanim to nastąpi, posłuchaj, co tu się u mnie dzieje...

– Walczak nie miał pojęcia, że jesteś na Zanzibarze – przerwała mi Elka. – Dziwne. Wy w ogóle ze sobą gadacie?

Zaczynałam być zła.

– Oczywiście, że gadamy. Na tematy zawodowe. I wystarczy.

– Myślałam, że skoro się całujecie...

Chwyciłam laptopa i przysunęłam go sobie do twarzy tak blisko, że prawie dotknęłam nosem ekranu.

– Raz się z nim pocałowałam. Raz! A ty mi to teraz będziesz wypominała do końca życia!

– Nie wypominam ci, że się pocałowałaś. Wypominam ci, że się TYLKO pocałowałaś. To chyba różnica? Zresztą na moje oko pan doktor Walczak też chyba żałuje, że...

– Mówicie o Walczaku? – dobiegł z offu głos Jacka i po chwili pan komisarz pokazał się w kadrze. Był w kurtce i grubym szaliku okutany wokół szyi, najwyraźniej prosto z pracy. Zastanawiam się, ile słyszał z naszej rozmowy.

– Boże, u was aż tak zimno? – spróbowałam odwrócić jego uwagę.

– Tak, bo mamy zimą. To co z tym Walczakiem?

– Zszył łapę naszemu kotu i kazał pozdrowić Magdę – wyjaśniła Elka. – Jak tam w pracy?

– Zapieprz. Odgrzejesz obiadek mężowi? Proszę...

W ustach Sikory to „obiadek” zabrzmiało bezradnie i błagalnie zarazem. Elka, wywracając oczami, wstała od komputera i zaczęła przygotowywać jedzenie.

Sikora wsunął się na jej miejsce, opał łokciami o stół i westchnął ciężko.

– No co tam, koleżanko po fachu? Jak twoje śledztwo? Bo moje nietęgo.

Odwinął szalik i odwiesił na sąsiednie krzesło. Kurtki nie zdjął. W tle widziałam kręcącą się przy kuchence Elkę, a siedzący na stole kot zaczął się nagle ocierać o brzeg ekranu, kiwając komputerem. Wprost idealne warunki do rozmowy na temat zbrodni. Jeszcze tylko dziecka w tej kuchni brakowało.

– No więc dowiedziałam się kilku rzeczy... – zaczęłam. – Na przykład tego, że oni wcale nie byli małżeństwem.

Sikora pokiwał głową, ale miałam wrażenie, że mnie nie słucha.

– A my przepytaliśmy z pół Grodziska i nic – zakomunikował. – To jak szukanie igły w stogu siana.

– Mieli inne nazwiska i nie sypiali ze sobą – próbowałam dalej.

– To się zdarza w najlepszych rodzinach. Za to u nas wyszło, że ofiara miała zakaz wpuszczania do domu obcych. Żadnych listonoszy, kurierów, świadków Jehowy, po prostu nikogo. Podobno zawsze tego przestrzegają. A jednak mordercę wpuściła.

– Książd po kolędzie? – podsunęłam, uświadamiając sobie, że im szybciej omówimy sprawę z Grodziska, tym Sikora będzie miał więcej czasu i energii na moją.

– Też tak pomyślałem – przyznał. – Ale właściciele domu to przewidzieli. Od lat byli tak umówieni z proboszczem, że przychodził do nich w lutym, już po ich powrocie od syna. I ciotka to wiedziała.

– Elektryk, gazownik, straż miejska? – próbowałam dalej.

– Nie, nie i nie. Ciotka była przeszkolona i nieugięta.

– W takim razie to musiał być ktoś, kogo znała. Ja już na to zresztą wcześniej wpadłam. Ktoś od niej, z tej wsi – podsunęłam. – Może trzeba tam szukać, nie w Grodzisku? Ciotka się na pewno wszystkim chwaliła, że pilnuje domu bogatemu krewnemu. Co za problem wsiąść w samochód i przyjechać jej śladem?

– Żaden. Dlatego komenda w Lublinie wysłała tam funkcjonariuszy, sprawdzają sąsiadów. Ale to jest niewielka wioska, ludzie uprawiają pola, jeszcze na nikogo takiego, kto by wyglądał na bandytę, nie trafili.

– Może jakiś były pracownik? – kombinowałam. – Ogrodnik albo fachowiec od remontów? Takie rzeczy się zdarzają.

– Mało prawdopodobne, ale możliwe. Właściciel domu ma nam przygotować listę takich osób, to chwilę potrwa, bo sprawdza po fakturach. A w mieście już zdążyła wybuchnąć panika, wiesz, morderca staruszek i tak dalej. Starsi ludzie się barykadują w domach, w sklepie żelaznym sprzedawczyni mi powiedziała, że porządne zamki się wyprzedały, nowe będą dopiero pod koniec tygodnia. Wyobrażasz sobie?

– Tak. A czy teraz, zanim ci żona podstawia pod nos jedzenie, mógłbyś mi pomóc?

– Sorry, jasne, trup w basenie. Mów.

Zdjął kurtkę i zaczął się rozglądać, gdzie ją odwiesić. Średni był z nim dzisiaj kontakt.

Opowiedziałam mu w miarę szczegółowo i w miarę chronologicznie to, czego zdążyłam się dowiedzieć od czasu naszej ostatniej rozmowy. Nie powiem, żeby go to jakoś specjalnie poruszyło czy zainteresowało.

– Ludzie się teraz nie żenią tak hop siup – zaczął, kiedy skończyłam. – Więc

akurat fakt, że nie byli małżeństwem, aż tak bardzo go nie obciążą, jak myślisz. Ale zazdrość... no, to jest bardzo poważny motyw.

Na stole przed laptopem wylądował talerz pełen apetycznie wyglądających placków ziemniaczanych, a obok – drewniana miska z sałata.

– Dobra, dosyć tej imprezy – zarządziła z offu Elka. – Magdusia, my cię pozdrawiamy serdecznie! Baw się dobrze! Pa!

Połączenie zostało przerwane.

ROZDZIAŁ 14

Życie ma to do siebie, że nawet w obliczu największych nieszczęść, klęsk i dramatów toczy się dalej. Następnego dnia słońce wstało jak zwykle, wypełniając powietrze ostrym światłem i rosnącym z godziny na godzinę upałem. Personel restauracji, tak samo jak zwykle, przygotował śniadanie, a goście zajęli miejsca przy stolikach, omawiając dyskretnie wczorajszy wypadek. Poza mną nikt nie podawał w wątpliwość policyjnych ustaleń, dlatego poza smutkiem z powodu śmierci i współczuciem dla Wojtka wśród gości hotelowych nie wyczuwałam żadnych innych emocji.

Zazdrościłam im tego dystansu. Zazdrościłam im, że mimo wszystko będą potrafili się wyluzować, odpoczywać, i szybko o wszystkim zapomną. Mnie niestety taka amnezja nie groziła. Bałam się, że obraz unoszącego się w wodzie ciała Blanki będzie mnie prześladował jeszcze bardzo długo.

Korzystając z tego, że na śniadaniu pojawili się jednocześnie prawie wszyscy goście hotelu, zabrał głos menager:

– Szanowni państwo – powiedział do mikrofonu, a głośniki poniosły jego słowa daleko poza jadalnię. – Jak już zapewne wiecie, w naszym hotelu wydarzył się wczoraj nieszczęśliwy wypadek.

Odniosłam wrażenie, że akcentując ostatnie dwa słowa, spojrzał prosto na mnie.

– Nie chcąc się wdawać w szczegóły, powiem tylko, że jest nam niewymownie przykro z tego powodu i dokładamy wszelkich starań, żeby nigdy więcej taka sytuacja się w Karibu nie powtórzyła. Apeluję o ostrożność. Apeluję o rozwagę. Co nie znaczy, że nie powinni państwo korzystać z naszej oferty programowej i kolejnych planowanych wycieczek.

Rachoń przemawiał gładko i z patosem, a ja miałam wrażenie, jakby tańczył w lakierkach po świeżym grobie Blanki. No ale cóż innego mógł zrobić? Życie, jak już ustaliliśmy, toczyło się dalej.

– Żeby oderwać państwa od smutnych myśli, pozwalam sobie zaproponować wyjazd na jedną z najpiękniejszych plaż Zanzibaru, plażę Muyuni. Będą tam państwo mogli popływać łódką, a jeżeli ktoś miałby ochotę, to również ponurkować. Na miejscu przewidujemy lunch. Wyjazd o jedenastej z naszego parkingu, powrót około siedemnastej, liczba miejsc nieograniczona, w zależności od liczby uczestników dobierzemy transport. Aha, i ważna informacja: wycieczka jest na koszt naszego hotelu.

Przy stolikach rozpoczęły się szybkie narady, wyglądało na to, że zainteresowanie będzie spore. Ja oczywiście nie zamierzałam jechać. Nie mieściło mi się w głowie, że zaledwie dzień po tragicznej śmierci Blanki mogłabym wziąć udział w czymś takim.

Matka, która przyszła ze mną na śniadanie, nie była tak negatywnie nastawiona.

– Myślę, że to bardzo dobry pomysł z tą wycieczką – zauważyła, odkrawając skórkę od grubego, soczystego kawałka arbuza. – Trzeba ludzi stąd wyrwać, rozruszać. Mam nadzieję, że się wybierzesz?

Popatrzyłam na nią z niedowierzaniem. Naprawdę, nie podejrzewałam jej aż o taką gruboskórność.

– Mamo, daj spokój – zachnęłam się. – Nigdzie nie jadę. To niesmaczne.

Posmarowałam tost marmoladą pomarańczową i wbiłam w niego zęby. Czułam, że będzie lepiej dla nas obu, jeżeli nie pociągniemy tej konwersacji.

– Naprawdę uważasz, że Blanka by chciała, żeby z jej powodu wszyscy mieli zepsuty urlop? – spytała matka.

W jej pozornie obojętnym tonie pobrzmiwała wyraźnie nuta wyższości. Jezu, jak mnie to wkurzało.

– Nie wiem, czego by chciała Blanka – odpowiedziałam z pełnymi ustami. – To znaczy wiem. Na pewno chciałyby żyć. Ale nie żyje. I może warto by to uszanować, nie uważasz?

Matka już szukała w głowie jakiejś celnej riposty, kiedy nagle obok naszego stolika pojawił się Wojtek. Wyglądał jak nie on – kolorowe, ekstrawaganckie ciuchy, które nosił na co dzień, zastąpił bielą. Białe były wszystkie elementy jego garderoby: koszula, spodnie, tenisówki i lekka marynarka, którą narzucił na ramiona, nie mam pojęcia po co.

– Panie Wojtku kochany! Tutaj do nas prosimy! – Okrzyk matki zabrzmiał tak sztucznie, że aż mnie zemdliło. – Co za nieszczęście... Tak bardzo współczuję...

Wojtek opadł na wolne krzesło.

– Dziękuję. Ledwo żyję. Ciągle nie mogę w to uwierzyć. Jakiś koszmar.

Matka położyła uspokajającym gestem dłoń na jego ramieniu. Wojtek wzdrygnął się, jakby to była tarantula.

– Gdyby pan czegoś potrzebował, panie Wojtku – ciągnęła matka – proszę mówić. Magdusia na pewno z chęcią pomoże.

Matka zawsze lubiła dysponować moją osobą według swojego widzimisię. I nawet jeśli tym razem trochę przesadziła, wiedziała doskonale, że nie zaprotestuję.

Wojtek odwrócił się w moją stronę. Był bardzo blady i miał podkrążone oczy, jakby całą noc nie spał.

– To miłe z twojej strony – powiedział słabo. – Na razie czekam na pisemną decyzję policji. Jest tyle formalności do załatwienia. Niewyobrażalne. Gdyby nie menager, chyba bym nie ogarnął. A on staje na głowie, żeby to wszystko sprawnie przeprowadzić. I bardzo miło z jego strony, że wymyślił tę wycieczkę. Goście powinni jak najszybciej wrócić do normalności. Nie chciałbym, żeby śmierć Blanki zrujnowała wszystkim wakacje.

Słuchałam Wojtka, coraz bardziej zde gustowana. Wychwalanie menagera za to, że zabiera ludzi na wycieczkę, żeby zapomnieli o śmierci Blanki, to jednak chyba przesada.

Wojtek westchnął po raz kolejny.

– A panie się wybierają? Bo ja owszem.

Droga, którą jechaliśmy, była zaskakująco szeroka i równa, a asfalt wyglądał jak świeżo wylany, co sugerował również widok potężnych maszyn, ustawionych niczym armia transformesów wzdłuż pobocza.

– Cholerni Chińczycy – skomentował niechętnie siedzący na sąsiednim siedzeniu pułkownik.

Ten wysoki, energiczny siedemdziesięcioletek tak naprawdę nazywał się Henryk Malec, ale ze swoją sztywną, jakby wykrochmaloną sylwetką, donośnym głosem i zasadniczym sposobem bycia wyglądał jak archetyp emerytowanego wojskowego. Widywałam go prawie codziennie, jak idealnie wyprostowany i nienagannie ubrany przechadza się po terenie hotelu. Przyleciał na Zanzibar tym samym samolotem, co my, i już wtedy zwróciłam uwagę na dystans, jaki wokół siebie wytwarza.

To właśnie z powodu tego dystansu wybrałam dziś miejsce obok niego. Nie zamierzałam się z nikim socjalizować. Potrzebowałam ciszy i spokoju, żeby ułożyć sobie strategię rozmowy z Wojtkiem. Bo tylko po to się tutaj znalazłam. Żeby z nim pogadać.

Przesłuchiwanie podejrzanego jest sztuką, zwłaszcza jeżeli ma udawać zwykłą, towarzyską konwersację. Dobrze jest wiedzieć, od czego zacząć, i przede wszystkim – w którym kierunku się zmierza. Oczywiście wiedziałam, że nie mogę tak po prostu do niego podejść i zapytać, czy zabił Blankę. Ale wszystko, co mi przychodziło do głowy, sugerowało w jakiś sposób, że podejrzewam go o morderstwo. Bo co innego mogę mieć w głowie, pytając: „Dlaczego jej nie szukałeś, kiedy nie wróciła na noc?” albo „Czy były ostatnio między wami jakieś nieporozumienia?”

W dodatku rozmawiając z Wojtkiem, musiałam bardzo uważać, żeby się nie zorientował, że byłam świadkiem ich wieczornej kłótni, że widziałam zdenerwowaną Blankę wybiegającą z domku, no i oczywiście, że podsłuchałam jego rozmowę telefoniczną, w której mówił o wyrzutach sumienia.

Ta konfrontacja nie zapowiadała się ulgowo, ale tylko po to się tu znalazłam. Żeby ją przeprowadzić.

Kiedy przyszłam na parking przy hotelu, dwa wany były już pełne, w dwóch kolejnych zostały po dwa wolne miejsca. Wojtek chciał, żebym usiadła obok niego, ale ja się nie czułam na siłach, więc pod pretekstem, że nie mogę siedzieć z tyłu, bo mam chorobę lokomocyjną, przeszłam do drugiego auta i z ulgą opadłam na siedzenie obok pułkownika.

Sąsiedztwo okazało się idealne. Starszy pan, którego energia przypominała energię napiętej gitarowej struny, przez prawie całą drogę się nie odzywał. Ożywił się dopiero na widok armii maszyn za oknem i, wyraźnie zirytowany, wygłosił krótką tyradę:

– Kolonializm ekonomiczny, tak to się nazywa. Sprytne żółte gnojki. Niby pomoc finansowa, kredyty, pompują w tę Afrykę miliardy dolarów, ale swój interes mają. Gigantyczny rynek zbytu, bogactwa naturalne. Coś za coś. Tak jak tutaj, na Zanzibarze. Niby tacy pomocni, przysyłają sprzęt, pracowników, budują miejscowym drogi, tyle tylko, że w zamian za to uzyskali dostęp do łowisk. Za kilka lat nie będzie tu ani jednej ryby. Wycisną tę wyspę jak cytrynę, mówię pani.

Pół godziny później dojechaliśmy na miejsce. Nasze cztery vany zatrzymały się obok siebie na dużym, prawie pustym parkingu. Widok na ocean zasłaniała wysoka wydma, ale dochodzący zza niej szum oznaczał, że woda jest blisko.

Wyjście z klimatyzowanego wnętrza auta na słońce było jak skok do garnka wrzątku. Choć tego zaskakującego kontrastu między chłodem a upałem doświadczałam na Zanzibarze co chwila, wciąż budził on mój sprzeciw.

Kiedy wszyscy uczestnicy wycieczki zebrali się w jednym miejscu, z pewną ulgą odnotowałam, że nie ma z nami Sylwestra. Bałam się, że jego obecność może mi w jakiś sposób utrudnić rozmowę z Wojtkiem.

Byli za to Asia i Tymon. Objęci i zapatrzeni w siebie sprawiali wrażenie, jakby było im wszystko jedno, gdzie i po co się znaleźliśmy. Chłopak palcami przeczesywał dziewczynie wilgotne od potu włosy, szeptał jej coś do ucha i co chwila całował czule w czubek głowy, a ona dotykała dłonią jego policzka i zaglądała mu w oczy. Gdyby teraz na parkingu tuż obok nich wylądował statek kosmiczny, raczej by go nie zauważyli.

Na wycieczkę wybrali się też Dukajowie z dziećmi. Starszy chłopiec natychmiast po wyjściu z auta zaczął biegać zygzakiem po parkingu, energia dosłownie go rozsadzała. Niestety przy kolejnym ostrym skręcie poślizgnął się i przewrócił, ścierając sobie kolano do krwi. Matka podbiegła do niego, żeby obejrzeć ranę, Dukaj zajęł się rozkładaniem wózka, a spuszczone z oka ich średnia córka, czterolatka, wykorzystała moment swobody i ruszyła w podskokach w kierunku szosy, całe szczęście, że w ostatniej chwili chwycił ją jeden z kierowców.

Dukajowi udało się wreszcie rozłożyć spacerówkę, działanie o tyle bez sensu, że jej małe kółka w konfrontacji z piaskiem plaży były skazane na porażkę. Ustawił wózek obok busa i wszedł do środka, żeby wyjąć śpiącego ciągle w samochodowym foteliku najmłodszego syna. Mały, rozbudzony i zdezorientowany, natychmiast zaczął płakać. Patrzyłam na Dukaja kołyszącego zawzięcie dzieckiem i dziękowałam w duchu, że mam już takie przejścia za sobą. Na samą myśl, że miałyby mi się jeszcze kiedyś przydarzyć wakacje z małymi dziećmi, dostałam gęsiej skórki.

Wojtek w tym czasie kręcił się po parkingu z aparatem i fotografował to, na co żaden przeciętny turysta nie zwróciłby uwagi: starą łódź, porzuconą nie wiedzieć czemu na poboczu drogi, zardzewiały rower, oparty o drewniany słupek, czy stary plastikowy kłapek w limonkowym kolorze. Pomyślałam, że nie wygląda na jakoś

specjalnie pogrążonego w rozpacz.

Na parking wjechał mały, czerwony nissan, z którego wysiadł Rachoń, nasz menager. Rano w hotelu nie zwróciłam na to uwagi, ale teraz, z bliska widać było, że nie jest w najlepszej formie. Zaczerwienione oczy i rozszerzone naczyńka krwionośne na policzkach sugerowały, że poprzednią noc spędził w towarzystwie butelki i zdaje się, że po tym spotkaniu pozostał mu również ból głowy, bo kiedy żona Dukaja krzyknęła coś do męża, Rachoń aż się skrzywił.

Mimo wyraźnej niedyspozycji, dość energicznie zagonił nas wszystkich w jedno miejsce i przedstawił plan dnia. Najpierw mieliśmy popłynąć wycieczkowymi łodziami na atol Mnemba na snorkling, potem dalej, na otwarty ocean, żeby spotkać delfiny. Po tym wszystkim miał na nas czekać na plaży lunch.

– Do jednej łodzi mogą wsiąść maksimum cztery osoby, bardzo proszę tego przestrzegać – oznajmił Rachoń. – Jeżeli ktoś z państwa nie chce płynąć, można poczekać w restauracji, pokażę gdzie. A teraz proszę za mną.

Po pokonaniu kilku prowizorycznych, drewnianych schodków wydostaliśmy się na skarpe i naszym oczom ukazał się widok zapierający dech w piersiach. Był tak idealny, że wydawał się sztuczny. Gdyby nie fakt, że czułam na twarzy wiatr od oceanu i słyszałam szum fal, pomyślałabym, że mam przed sobą gigantyczną fototapetę.

Szeroka, mlecznobiała plaża, kępy palm rosnących wzdłuż jej granicy i ocean w kolorze turkus, na którym kilka kilometrów od brzegu przyciągała wzrok zielona plama niewielkiej wyspy, pocztówka z tego miejsca byłaby stuprocentowym kiczem.

– Popłyniemy tam? – zapytał Dukaj, wskazując wyspę.

– Nie, niestety. Na Mnemba Island nie ma wstępu, jest prywatna – wyjaśnił Rachoń. – Ale zapewniam, panie Filipie, że atrakcji nie zabraknie.

Przy brzegu czekało pięć łodzi, czy raczej łódek, bo zbyt solidnie to one nie wyglądały. Wydawały się za wąskie i wątle, żeby udźwignąć zamontowane na rufach silniki, a co dopiero pasażerów.

Żona Dukaja na ten widok stanowczo odmówiła podróży i oświadczyła, że poczeka na nas na plaży razem z dziećmi. Oprócz niej na lądzie została jeszcze jakaś para, której nie kojarzyłam, a cała reszta zaczęła ostrożnie zajmować miejsca w łódkach.

Czekając na swoją kolej, ustawiłam się obok Wojtka i to była bardzo dobra decyzja, bo po przeróżnych przetasowaniach nagle się okazało, że wylądowaliśmy w ostatniej łódce tylko we dwoje. Załoga składała się z dwóch uśmiechniętych młodych ludzi. Jeden ulokował się obok silnika, drugi wskoczył do wody i zaczął wypychać łódkę na otwarte morze. Kiedy byliśmy już na wystarczająco głębokiej wodzie, silnik nagle zakrzusił się, zawarczał i zaczął pracować nierównym rytmem astmatyka po biegu. Chłopak, który do tej pory pchał łódkę, wskoczył do środka i ruszyliśmy. A ja zdałam sobie sprawę, że lepszej okazji, żeby pogadać z Wojtkiem, mieć nie będę.

Ostrożnie usiadłam obok niego na wąskiej, niewygodnej ławeczce. Było tu tak

mało miejsca, że każdy choć trochę bardziej energiczny ruch groził wywrotką.

Rozciągnięty nad pokładem płócienny dach w szerokie, granatowe pasy, który chronił nas od słońca, co było zapewne jego głównym zadaniem, w żaden sposób nie chronił nas przed pryskającą spod dzioba wodą. Po kilku minutach od wypłynięcia byłam już kompletnie mokra.

Ale wszystkie te niedogodności bledły w obliczu jednej, najważniejszej. Kiedy patrzyłam na ocean z plaży, wydawał się idealnie gładki. Teraz niestety się okazało, że wcale taki gładki nie jest. Nasza łódź podskakiwała na nim jak kauczukowa piłka, a mój żołądek zaczął mi dawać do zrozumienia, że nie przepada za taką amplitudą. Zaczęło mnie zwyczajnie mdlić.

W takich warunkach nie było mi łatwo przystąpić do poważnej rozmowy z potencjalnym mordercą. Zwłaszcza że Wojtek nie sprawiał wrażenia, że miałby ochotę na kontakt. Przesunął się na bok i przytrzymując burty, patrzył przed siebie. Żadne z nas się nie odzywało, choć obezwładniające piękno dookoła aż się prosiło o wyrażany głośno i żarliwie zachwyt.

Kiedy dotarliśmy do miejsca, które Rachoń nazwał atolem Mnemba, pozostałe łódki już zdążyły zacumować. Spodziewałam się czegoś spektakularnego, a zobaczyłam niewielką łacę piaskową, którą właśnie zaczęła zakrywać woda. Atol był widoczny tylko w określonych momentach pływów i podobno mieliśmy szczęście, że udało nam się trafić na taką chwilę.

Pasażerowie wyskoczyli z łódek, żeby zanurzyć stopy w wilgotnym piasku, ja również z ulgą opuściłam naszą, bo każdy najmniejszy ruch pokładu niebezpiecznie przybliżał mnie do tego, o czym wolałam nie myśleć.

Przeszłam na skraj atolu i stojąc po kostki w wodzie, obserwowałam Wojtkę, który z aparatem w dłoni poruszał się od łodzi do łodzi, fotografując detale wyposażenia. Po raz nie wiem już który dzisiejszego dnia poczułam, że nie powinnam tu dzisiaj być. Fatalne uczucie, kiedy człowiek znajduje się w jednym z piękniejszych miejsc świata, a kompletnie nie potrafi się z tego cieszyć.

Kiedy woda zaczęła się podnosić, dając sygnał do odwrotu, wycieczkowicze zaczęli z powrotem lokować się w łodziach.

Tym razem usiadłam na ławce bliżej rufy z naiwną nadzieją, że może w tym miejscu kołysanie będzie mniej wyczuwalne. Niestety, nie minęła nawet minuta od włączenia silnika, kiedy przekonałam się, że sytuacja w żadnym stopniu lepsza nie jest.

Starszy z prowadzących naszą łódź mężczyzn zapytał dość zrozumiałą angielszczyzną, czy chcemy płynąć dalej na ocean w poszukiwaniu delfinów, czy poobserwować rozciągającą się bezpośrednio pod nami rafę.

Na samą myśl, że mielibyśmy tą bujającą łupiną oddalić się jeszcze bardziej od lądu, dostałam dreszczy. Na szczęście Wojtek również nie miał na to ochoty, więc zawróciliśmy i nasz kapitan poprowadził łódkę w kierunku brzegu. W pewnym

momencie wyłączył silnik, co powitałam z ogromną ulgą, i sięgnął po sporą, metalową puszkę, taką w jakich kiedyś sprzedawano marmoladę. Okazało się, że puszka pełna jest pokruszonego chleba i herbatników. Chłopak zanurzył w niej dłoń, nabrał garść okruchów i ruchem siewcy rozrzucił je po wodzie.

W jednej sekundzie pod powierzchnią dosłownie zaroilo się od ryb. Były kolorowe w beczelny i ordynarny sposób – żółć, granat, błękit, czerwień i zieleń migały mi w oczach. Patrzyłam, zafascynowana, jak się kłębią i wyrywają sobie jedzenie.

– Boże, jakie piękne! – pierwszy raz podczas tej podróży odezwałam się do Wojtka.

Przytaknął, natychmiast ustawiając obiektyw aparatu i naciskając migawkę.

Kapitan otworzył plastikową skrzynkę, wepchniętą w dziób łodzi i wyjął z niej maskę z rurką i płetwy.

– Chcecie popływać? – zapytał po angielsku, kładąc sprzęt u stóp Wojtka, jakby składał mu go w ofierze.

Wojtek pokręcił przecząco głową, a ponieważ ja również nie wyraziłam entuzjazmu, z uśmiechem wzruszył ramionami i rzucił rybom kolejną porcję karmy. Wiedziałam, że za chwilę zapali silnik i będziemy wracać. Teraz albo nigdy.

– Wojtek, wiesz, jak mi przykro z powodu Blanki – zaczęłam. – Cały czas o niej myślę. Bez przerwy.

Wojtek westchnął ciężko i nie patrząc na mnie, powiedział:

– Ja też. Czuję się tak, jakbym miał zwariować. A najgorsze jest to poczucie winy.

Nie wiem, co mi strzeliło do głowy. Może ośmieliło mnie to, co powiedział? W każdym razie w odpowiedzi pojechałam najgłupszym, najbardziej idiotycznym tekstem z możliwych:

– Zabiłeś ją?

Wojtek wyprostował się gwałtownie, jakby ktoś pociągnął za niewidzialne sznurki, przymocowane do jego tułowia. Patrzył na mnie przez chwilę, zaszokowany, w końcu się ocknął.

– Jezu, Magda, co ty mówisz?

– Tego wieczora, kiedy zginęła, przez przypadek znalazłam się pod waszym domkiem. Słyszałam, jak się kłócicie z Blanką. Ona cię zdradzała. Odkryłeś to i zrobiłeś jej z tego powodu awanturę. Kiedy wyszła na drinka, poszedłeś za nią i wepchnąłeś ją do basenu, bo wiedziałeś, że nie umie pływać – wyrzuciłam z siebie, zapominając, że to Wojtek miał mówić, nie ja.

Mężczyzna patrzył na mnie, otumaniony, z rozdziawionymi ze zdziwienia ustami. Postanowiłam go dobić.

– Wiem, że wasz związek przechodził kryzys – oświadczyłam hardo. – Że sypialiście osobno. Ten wyjazd miał być nowym otwarciem, prawda? Myślałeś, że wróci chemia, że w tym rajskim miejscu znowu się w sobie zakochacie. A nie dość, że to się nie stało, to jeszcze Blanka wdała się w romans. Podczas tej kłótni powiedziałaś, że nie uznajesz wakacyjnych romansów, ale Blanka nie zamierzała cię

słuchać. Byłeś o nią śmiertelnie zazdrosny. Nie mogłeś tego znieść, emocje wzięły górę...

– Jakie emocje? – jęknął Wojtek, kompletnie zdezorientowany. – Ja zazdrosny o Blanę? Przecież to niemożliwe! Jestem gejem!

ROZDZIAŁ 15

Nie bardzo mogłam sobie przypomnieć moment w moim życiu, kiedy czułam się bardziej idiotycznie niż teraz. Poczucie wstydu walczyło o palmę pierwszeństwa z wyrzutami sumienia, i gdybyśmy byli choć trochę bliżej brzegu, wyskoczyłabym z łódki i wracała wpław. Jedno było pewne – zostałam właśnie mistrzynią robienia z siebie kretynki i wiele wskazywało na to, że długo nikt mojego rekordu nie pobije. Chyba że znowu coś odwałę.

– Czyli że wy... nie byliście parą? – wydusiłam przez zaciśnięte gardło.

Wojtek pokręcił głową.

– No skąd... Zaraz ci wszystko wytłumaczę.

Sięgnął do swojego plecaka na sprzęt, wyjął z niego komórkę, włączył i podsunął mi pod nos. Na ekranie zobaczyłam przystojnego bruneta o szczupłej twarzy i sympatycznym spojrzeniu.

– To jest Paweł, mój partner – wyjaśnił. – Jesteśmy ze sobą od dwóch lat. Kochamy się, zależy nam na sobie. Gdybyśmy mogli, wzięlibyśmy ślub.

Schował telefon i westchnął.

– Paweł jest bardzo zazdrosny. Ja naprawdę nie daję mu powodów. Bardzo się staram, dmucham na zimne. Tylko że to jest niestety silniejsze od niego.

Sięgnął po butelkę z wodą, wypił łączywie kilka łyków i mówił dalej.

– Kilka miesięcy temu wykupiliśmy z Pawłem dwutygodniowy pobyt na Zanzibarze. To miały być nasze pierwsze wspólne wakacje. Bardzo nam obu zależało. Paweł jest skrzypkiem, gra w orkiestrze Opery Kameralnej, więc tak sobie ustawił spektakle, żeby mieć te dwa tygodnie wolne, ale... nagle się okazało, że próby, które miały się zacząć w lutym, ruszają jednak w styczniu i Paweł nie może jechać. Oczywiście ja też chciałem zrezygnować, ale Paweł nalegał, żebym się mimo wszystko wybrał. Że jestem zmęczony, przepracowany i taki wyjazd dobrze mi zrobi.

– Wracamy? – zapytał nasz kapitan, który chyba jeszcze nigdy nie miał na łodzi klientów, których nie interesują ryby, tylko rozmowa.

– Tak, tak – potwierdziłam, a moje ciało natychmiast się spięło w oczekiwaniu na rozruch silnika.

– To była prawda, bardzo potrzebowałem wakacji – wrócił do swojej opowieści Wojtek. – Ale też wiedziałem, ile Pawła to kosztuje emocjonalnie, puszczenie mnie samego na drugi koniec świata. Więc wymyśliłem, że wezmę ze sobą Blankę. Jako przyzwoitkę, rozumiesz? Z Blanką przyjaźnimy się od podstawówki i ona się bardzo

ucieszyła, jak jej to zaproponowałem. Nie zmieniałem rezerwacji, wzięliśmy jeden domek, poprosiłem tylko o taki z dwiema sypialniami. Nie widziałem też powodu, żeby wszystkim naokoło tłumaczyć nasz układ. Ale Blankę nosiło. Ona tu przyjechała z nastawieniem, że przeżyje romansik, taki niezobowiązujący i wakacyjny. I faktycznie kogoś znalazła, czy raczej ten ktoś znalazł ją. Miała niesamowite powodzenie u facetów.

W tym momencie dopadł mnie atak mdłości tak silny, że nie mogłam nawet pomyśleć o otwarciu ust. Dopiero kiedy zmieniłam pozycję i żołądek trochę się uspokoił, odezwałam się słabo:

– Nie rozumiem. Jeżeli to był tylko układ, to dlaczego jej o ten romans zrobiłeś awanturę?

Wojtek westchnął.

– To nie ja jej zrobiłem awanturę, tylko ona mi.

A myślałam, że już mnie dzisiaj nic nie zdziwi...

– Wojtek, bo ja oszaleję – jęknęłam. – Jak to ona tobie?

– Kojarzysz Marcina, szefa kuchni?

– Kojarzę... Taki wysoki, barczysty. – Nagle mnie olśniło. – Nie, nie mów mi, że ty...

– To on mnie podrywał, nie ja jego – zastrzegł się. – Kiedy się tylko zorientowałem, że jest temat, uciałem to. Ale Blanka zdążyła wywęszyć, że coś się dzieje. A ponieważ obiecała Pawłowi, że będzie mnie pilnować, postanowiła wkroczyć. I tak, to ona mi zrobiła awanturę i postraszyła mnie, że powie Pawłowi. Tłumaczyłem jej, że to nieprawda, że przecież mnie zna, nie potrafiłbym zdradzić. Nie chciała słuchać, cała Blanka. Wybiegła z domku, zdenerwowana i to był ostatni raz, kiedy ją widziałem.

Ukrył twarz w dłoniach.

– Nie wybaczę sobie tego. Nigdy. Powinienem być za nią pójsć, jeszcze raz spróbować porozmawiać. Ale... nie zrobiłem tego, bo było mi przykro. Przykro, że tak mnie nisko oceniła. I ona teraz nie żyje z powodu mojej małostkowości. Bo się na nią obraziłem, zamknąłem w pokoju i poszedłem spać. A gdybym z nią był, ten wypadek by się nie wydarzył.

Nagle wyprostował się i popatrzył na mnie.

– Bo to był wypadek, prawda?

Jeszcze godzinę temu dałabym się posiekać na plasterki, że Blanka została zamordowana. Ale Wojtek właśnie mi udowodnił, że jestem ślepa i głucha, nic nie kojarzę, nic nie dostrzegam, mam zero intuicji i na środku Sahary dałabym sobie wcisnąć wiadro piasku. Moje przekonania można było wyrzucić do kosza.

– Tak, wypadek. Na pewno wypadek – odpowiedziałam, a potem przechyliłam się przez burtę i zwymiotowałam.

Resztę podróży spędziłam, zwinięta w kłębek na dnie łodzi i jedyne, co mnie

interesowało, to stały ład. Kiedy do niego dotarliśmy, wyczołgałam się na plażę i przez dobry kwadrans nie byłam w stanie ruszyć się nigdzie dalej. Bo, co przyjąłam ze zdziwieniem, choroba morska doprowadziła mój żołądek do takiego stanu, że mdliło mnie od samego szumu fal.

Kiedy w końcu do siebie doszłam, Wojtek pomógł mi się wdrapać na wydmy, na której szczycie, w cieniu palm, nasz menager zorganizował piknik.

Naprawdę trzeba mieć pecha, żeby akurat w takim momencie zostać skonfrontowanym ze świeżutkimi, grillowanymi ośmiornicami, szaszłykiem z tuńczyka, sałatką z kalmarów, owocami chlebowca, kilkoma rodzajami humusu oraz obłędnie pachnącą sałatką z pomidorów, ogórków i cebuli. Na rozłożonych na piasku obrusach rozpierały się również drewniane miski pełne lokalnych chipsów, sezamków wielkich i grubych jak pischinger oraz ziarenek baobabu, pokrytych purpurową, słodko-cierpką skorupką.

Niestety, musiałam się zadowolić samym widokiem, bo na myśl o jedzeniu czułam w ustach ten sam niebezpieczny chłód, który zakończył się na łódce katastrofą.

Usiadłam więc sobie z boku, żeby nie przeszkadzać, objęłam ramionami kolana i zaczęłam obserwować plażę. Plaża na szczęście nie falowała.

I co teraz? – zastanawiałam się, śledząc wzrokiem małego kraba, który w pocie czoła budował sobie norkę, wyrzucając w górę fontanny piachu. Cała moja teoria o morderstwie opierała się na dwóch filarach. Pierwszym z nich był lęk Blanki przed wodą, drugim – przekonanie, że to Wojtek ją zabił z zazdrości. Teraz, po spektakularnym zburzeniu tego drugiego, pierwszy okazał się zbyt słaby, by utrzymać na sobie ciężar oskarżeń. Bez dowodów, bez motywu, bez wsparcia ciągnięcie tematu morderstwa nie miało sensu.

Tym bardziej że Wojtek tego nie chciał. Był za bardzo przytłoczony śmiercią Blanki, żeby dopuścić do siebie myśl o morderstwie. Kiedy patrzył na mnie, pytając, czy to był wypadek, w jego oczach dostrzegłam panikę. Czułam przez skórę, że wciąganie go w moje prywatne śledztwo byłoby okrucieństwem. Jedyne, co mogłam w tej sytuacji zrobić, to złożyć broń.

Powrót do hotelu pamiętam jak przez mgłę. Znowu usiadłam obok pułkownika, dzięki temu podróż upłynęła mi tak samo, jak poprzednia – w ciszy. Czy raczej względnej ciszy, bo kierowca puszczał na pełen regulator lokalną rozgłośnię radiową, nadającą rytmiczną i nieskomplikowaną muzykę, która idealnie wpisywała się w mój aktualny nastrój. Żadnego wysublimowania, żadnych niuansów, łup, łup. Czasami w życiu trzeba iść po najmniejszej linii oporu. I tyle.

Matkę zastałam w jej ulubionym miejscu, czyli na tarasie. O dziwo zamiast komputera miała przed sobą książkę. Dopiero po chwili zorientowałam się, że to „Wołanie sowy”, ostatni bestseller jej autorstwa.

– Wozisz ze sobą własne książki? – zdziwiłam się, opadając na fotel po drugiej

stronie stolika.

– Zawsze – odpowiedziała, nie odrywając wzroku od kartek. – Wyjeżdżając, zostawiam w hotelu egzemplarz z dedykacją, personel jest przeszczęśliwy, wrzucają zdjęcia na media społecznościowe i grono fanów rośnie – wyjaśniła. – Poza tym dobrze czasami wrócić do tego, co już się napisało, zobaczyć, jak co pracuje w tekście...

– Albo jak nie pracuje.

To wcale nie było złośliwe. Gdybym ja napisała książkę, z pewnością sprawdzałabym ją pod kątem tego, co wyszło źle. Matka popatrzyła na mnie z politowaniem, po czym ostentacyjnie przerzuciła kolejną stronę, dając do zrozumienia, że jej przeszkadzam.

– Fajna wycieczka – poinformowałam ją, bo najwyraźniej zapomniała zapytać. – W oceanie były rybki. Takie ładne, w paski.

Żadnej reakcji.

– I dostałam choroby morskiej.

Dalej nic.

– I Wojtek jest gejem.

Trzeba tak było od razu. Matka natychmiast się wyprostowała i podniosła na mnie pełne satysfakcji spojrzenie.

– A nie mówiłam?! Żadnej chemii, żadnej! Ja to mam oko, w przeciwieństwie do ciebie. Ty cały czas uważałaś, że są dla siebie stworzeni. Nie wiem, jak można było tego nie widzieć... – pokręciła głową z niedowierzaniem.

Zrobiło mi się trochę przykro.

– No jakoś było można – burknęłam. – Tylko teraz jest jasne, że Wojtek Blanki nie zabił.

– I to też mówiłam – przypomniała matka. – Wypadek i tyle. Ale skoro on jest gejem, to dlaczego przyjechali razem?

Musiałam jej wytłumaczyć. Matka słuchała z wyraźnym zainteresowaniem.

– Świetne! – podsumowała, gdy skończyłam. – Proste a efektowne, idealne do książki. Zapiszę sobie.

– Pytałam Sikorę, co myśli o tej sprawie – pochwaliłam się.

Matka bardzo Sikorę szanowała. Była jego wychowawczynią w podstawówce i już z tego powodu miała do niego sentyment, ale odkąd Jacek został oficerem policji, a ona pisarką kryminałów, dostrzegła dodatkowo jego ogromną przydatność. Dwie poprzednie sprawy, w które oboje byliśmy zaangażowani, śledziła z napięciem i daje głowę, że w którejś z kolejnych książek opisze je jeden do jednego, zmieniając co najwyżej nazwiska.

– Jestem pewna, że on też to uważa za wypadek – stwierdziła.

– Otóż nie – odpowiedziałam z satysfakcją.

Oczywiście było to kłamstwo, ale kto mi zabroni walczyć o resztki godności?

– Nie? – zdziwiła się niechętnie matka. – A co powiedział?

– Poszukaj motywu, a znajdziesz zabójcę – Tutaj akurat każde słowo było prawdziwe.

Dałam matce czas, żeby się z tym oswoiła, a potem pociągnęłam temat:

– Zazdrość by była idealna, ale niestety przepadła. I teraz nie wiem.

– Mówisz, motyw... – Matka chyba dała się wkręcić. – Ciężko o motyw, skoro ona tutaj w sumie nikogo nie znała.

– Znała, i owszem. Tego gościa, z którym się całowała. Pamiętasz, mówiłam ci... I była z nim umówiona tamtego wieczoru.

Matka zmarszczyła brwi i pokiwała głową z aprobatą.

– Ty wiesz, że to ciekawa koncepcja? I to by raczej wtedy też nie była zbrodnia z premedytacją, tylko albo emocje, albo przypadek. Mogli się kochać, no wiesz, jakoś tak ryzykownie...

– Ona mogła zasłać, a on pomyślał, że nie żyje i upozorował utonięcie – dokończyłam, podekscytowana.

No i proszę. Zaledwie godzinę temu obiecywałam sobie, że złożę broń i przestanę węszyć wokół śmierci Blanki, a teraz nagle sama siebie z powrotem wepchnęłam na boisko.

– Słuchaj, ten kochanek to kto to jest? – zreflektowała się nagle mamusia.

– Nie wiem – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. – Ale się dowiem.

ROZDZIAŁ 16

Nie bój się – powiedziałam do siebie, stawiając stopę na wysypanym białym żwirkiem schodku. – Nie bój się... – powtórzyłam, wchodząc ostrożnie na kolejny.

Nie myślałam, że wspięcie się na poziom basenu będzie mnie kosztowało tyle wysiłku. Nie fizycznego, rzecz jasna. Tym razem chodziło o moje emocje.

Cały czas miałam pod powiekami tamten widok: rozproszone światło poranka, wilgotne od rosy kafle posadzki, lekko falująca powierzchnia wody i ciało Blanki, unoszące się między niebem a ziemią, tak jakby nie mogło się zdecydować, czy opaść w dół, czy wypłynąć do światła. Pamiętałam też swoją pierwszą myśl, która trwała nie więcej niż ułamek sekundy, i przez ten ułamek sekundy właśnie pomyślałam o nieważkości, choć przecież wiedziałam, że to nie brak przyciągania ziemskiego powoduje ten efekt.

Nie chciałam znowu znaleźć się w tym miejscu, ale wiedziałam, że muszę. Kiedy się spadnie z konia, trzeba z powrotem na niego wsiąść, inaczej lęk zatruje nas od środka i będzie cofać z każdej nowej ścieżki. Kiedyś zgodziłabym się na to bez żalu, właściwie byłabym zadowolona, że coś mnie hamuje, że nie pozwala na posuwanie się do przodu. Ale przez ostatnie miesiące zmieniłam się na tyle, że nie zamierzałam sobie pozwolić na lęk przed nieznanym.

Stałam więc na skraju basenu i spjrzałam w dół...

Basen był pusty, bez wody. Patrząc na turkusowe płytki, pokryte gdzieniegdzie lekkim nalotem glonów, poczułam ulgę i pustkę.

I ciekawość.

Spróbowałam sobie wyobrazić, co zaszło tu tamtej nocy. Nie miałam zbyt wielu danych, ale z tego, co już wiedziałam, wyłaniał się następujący obraz: po kłótni z Wojtkiem Blanką, w kostiumie kąpielowym i szlafroku, wybiega do restauracji napić się drinka. Jest już późno, ale być może udaje jej się jeszcze zamówić alkohol. Następnie idzie nad basen, gdzie czeka na kochankę, z którym się umówiła. To, że się spotkają, musieli ustalić wcześniej, bo Blanka jest na spotkanie przygotowana.

I co potem? Mężczyzna przychodzi, zaczynają się całować... Są tak podnieceni, że Blanka zapomina o zabezpieczeniu... A może zanim dochodzi do seksu, zaczynają się kłócić? Pojawia się agresja... Mężczyzna popycha ją za mocno, Blanka wpada do wody, on ją zostawia... Może uderza głową o kamienny brzeg? Tyle pytań, tyle wątpliwości... I jest tylko jedna osoba, która mogłaby na nie odpowiedzieć. Osoba,

która prawdopodobnie ma na sumieniu śmierć Blanki.

Mężczyzna, z którym się umówiła.

Kim był? Czy jednym z hotelowych gości? Pracownikiem? A może kimś zupełnie spoza hotelu?

Musiałam się tego dowiedzieć.

Z przyzwyczajenia, a może z poczucia bezradności, postanowiłam się przede wszystkim skontaktować z Sikorą. A do tego potrzebny był mi komputer.

Przechodząc obok restauracji, zajrzałam do środka w poszukiwaniu matki. I tak, była tam.

Siedziała przy stoliku z pułkownikiem i – co zaskakujące – nie mówiła, tylko słuchała. Kiedy do nich podeszłam, starszy pan przerwał swój wywód i energicznie wstał z fotela.

– Witam, pani Magdo – powiedział, kłaniając się.

Jakoś wcześniej, podczas drogi na plażę, wydawał się mniej szarmancki, ale rozumiałam, że obecność matki podziałała na niego mobilizująco.

– Usiądzie pani z nami? – zapytał. – Dopiero co zamówiliśmy.

To oznaczało, że matka spędzi w restauracji co najmniej godzinę.

– Dziękuję, innym razem. Mamo, mogę skorzystać z twojego komputera?

Matka uśmiechnęła się słodko.

– Ależ oczywiście, kochanie.

Grzecznie podziękowałam i o mały włos nie dygnęłam na pożegnanie, po czym prawie biegiem popędziłam do bungalowu.

Godzina co prawda nie była idealna, ale jakaś szansa na załapanie Sikory istniała.

Laptop stał na stoliku w pokoju i wyglądał tak, jakby na mnie czekał. Zrzuciłam więc tylko sukienkę, zostając w samym kostiumie – upał był ciągle nie do zniesienia – włączyłam komputer i uruchomiłam Skype'a. Tym razem w ogóle nie zainteresowałam się statusem mojego syna, tylko z miejsca uderzyłam do Elki.

Siedziała ze swoim laptopem przy stole w salonie i wyglądała na lekko rozkojarzoną.

– O, Madzia... znowu ty? – zareagowała bez entuzjazmu. – Dzwonił?

– Kto? Jacek? – zdziwiłam się.

Elka machnęła lekceważąco ręką.

– Nie, nieważne. Ty do mnie czy do mojego męża?

– Do męża – odpowiedziałam szczerze. – Ale jeżeli go nie ma, chętnie pogadam z tobą.

– Podobno już jedzie. Spróbuj za pół godziny, co? Bo ja jestem w trakcie pisania sprawozdania i...

– Dobra, jasne, pa!

Już miałam wyłączyć Skype'a, kiedy na ekranie wyświetlił mi się komunikat: „Użytkownik Damwam prosi o dołączenie do kontaktów”.

Przez chwilę nie reagowałam, przyglądając się nieufnie zdjęciu profilowemu intruza. Nie dość, że było małe, to jeszcze w dodatku niewyraźne.

Wiedziałam, że najprościej byłoby gościa zlekceważyć. Ale kiedy ma się w kontaktach wszystkiego cztery osoby, trzeba nie być jakiego heroizmu, żeby, ot tak, odrzucić nową znajomość.

Zaczęłam skakać kursorem po stronie, chcąc powiększyć zdjęcie, i po kilku nieudanych próbach nagle fotka rozwinęła się na cały ekran.

Zdjęcie profilowe Damwam przedstawiało mężczyznę w czarnej skórzanej kurtce, opartego o wielki, błyszczący motocykl. Znałam zarówno tę maszynę, jak i jej właściciela. Użytkownik Damwam to był nikt inny, tylko Walczak.

– Cholera – jęknęłam. – Co ja mam teraz zrobić?

Nie mogłam tak po prostu go odrzucić. Przecież byliśmy znajomymi, pracowaliśmy razem, nie mieliśmy żadnego konfliktu.

Ale jeżeli potwierdzę, wtedy on, o rany, wtedy on prawdopodobnie do mnie zadzwoni.

I nagle przypomniało mi się pytanie Elki: „Dzwonił?”.

Czyli to jej sprawka! To ona maczała w tym palce!

Zdrajczyni jedna!

Przesunęłam kursor niebezpiecznie blisko pola z napisem: „odrzucić”, ale jednak, trochę wbrew sobie, skapitulowałam. Kliknęłam „potwierdź” i zamarłam w oczekiwaniu na efekt.

Sygnal połączenia odezwał się po dwóch minutach. Nacisnęłam zieloną słuchawkę i w tym momencie ekran wypełniła twarz Walczaka, aż się odsunęłam od komputera, tak mnie ta nagła obecność zaskoczyła. Walczak wyglądał niestety dokładnie tak, jak zwykle, czyli cholernie atrakcyjnie – kilkudniowy zarost i czarny golf robiły robotę. Zarejestrowałam również, że nie dzwoni z lecznicy, tylko z jakiejś zwykłej, prywatnej przestrzeni. Za sobą miał wypchany książkami regał i z trudem się powstrzymałam, żeby nie próbować odczytać tytułów tych książek.

Jednocześnie odkryłam w rogu ekranu okienko podglądu, na którym znajdowałam się ja. I nie była to wersja mnie, którą chciałabym się dzielić z kimkolwiek. A już na pewno nie z Walczakiem.

Moje włosy przemoczone na wycieczce słońcą wodą i wysuszone słońcem wyglądały jak sierść Alfa po jesiennym spacerze przez las, twarz błyszczała mi ordynarnie, a z nosa właśnie zaczęła zlać skóra. Ale to jeszcze nic w kontekście tego, co miałam na sobie, czy raczej, czego na sobie nie miałam, bo siedziałam przecież przed laptopem w samym kostiumie. Nie był to zły strój na rozmowę z Elką czy nawet z Sikorą, ale występowanie w tej wersji przed Walczakiem trochę mnie jednak krępowało.

No nic, musiałam robić dobrą minę do złej gry.

– Cześć – zaczęłam ostrożnie.

– Cześć, dzięki, że odebrałaś połączenie. – Walczak uśmiechnął się po swojemu, tak ledwo, ledwo.

– Mało brakowało, a nie odebrałabym – przyznałam. – Co to za dziwny nick?

– Dziwny? Bo ja wiem. Da-mian Wal-czak, Dawal brzmi tak sobie, więc zrobiłem Damwam.

Boże, co za kompromitacja! Ja autentycznie zapomniałam, jak on ma na imię! Właściwie zapomniałam, że w ogóle ma imię.

– I jak ci tam na tym Zanzibarze?

– Fantastycznie – odpowiedziałam bez namysłu. – Oblędne miejsce! Te plaże, ten ocean...

– Pod warunkiem że jest – zauważył Walczak.

Zaraz, a skąd on wie, że ocean znika, pomyślałam czujnie.

– Byłeś na Zanzi?

– Owszem. Mój kumpel ma hotel w Paje.

– My jesteśmy w Jambiani, niedaleko. Właścicielem naszego hotelu też jest Polak. Strasznie tu ich dużo. Znaczący rodaków.

– Szkoda, że nie powiedziałaś, dokąd wyjeżdżasz, dałbym ci fajne namiary. Znam tam kilka miejsc, gdzie można naprawdę doskonale zjeść.

– Nie mówiłam ci, dokąd jadę? – udałam zdziwioną, po czym umilkłam.

Coś nam się konwersacja nie kleiła.

– Słuchaj, bo my tak gadu, gadu, a ja z konkretem dzwonię – zreflektował się nagle Walczak. – Chodzi o Kluskę, tę jamniczkę z cukrzycą.

– Wiem, pani Kamińskiej.

– Tak. Ty jej zleciłaś badania przed wyjazdem, właśnie przyszły wyniki. Przesyłam ci, moment.

Rozległo się kliknięcie i na dole ekranu pokazało się okienko czatu.

– Rzuć okiem.

Szybko przebiegłam wzrokiem rząd cyfr.

– Są gorsze niż te z listopada. Trzeba zwiększyć dawkę insuliny – oceniłam szybko.

– Właśnie to chciałem z tobą skonsultować.

– Umów ją na wizytę i wypisz receptę, nie ma sensu czekać, aż wrócę.

– A kiedy ten ważny moment nastąpi?

– Za tydzień.

– Dopiero?

Natychmiast poczułam się winna.

– Wiem, strasznie długo mnie nie ma, sorry. Pewnie masz tam urwanie głowy. Tak mi głupio...

Walczak nachylił się do laptopa i spojrzał centralnie w oko kamerki. Zamrugałam, speszona, i odruchowo się odsunęłam.

– Ja się nie pytałem zawodowo – powiedział tonem, w który gdzieś na samym dnie wibrował śmiech. – Ja się pytałem po ludzku.

„Po ludzku” nie znaczyło nic. A jednak gdzieś w samym moim środeczku, w przestrzeni między wątrobą a żołądkiem, a może między żołądkiem a nerką, gdzieś bardzo głęboko w każdym razie poczułam nagle dokładnie tak samo, co wtedy, kiedy całowaliśmy się w lesie. Takie delikatne łaskotanie. Miłe. Bardzo miłe.

Tylko że wtedy Walczak był tuż obok, nie kilka tysięcy kilometrów ode mnie. Co za kosmiczna bzdura, postawiłam się natychmiast do pionu. A kosmiczne bzdury najlepiej likwidować w zarodku.

– I zawodowo, i po ludzku przylatuję w przyszły czwartek, w lecznicy będę w piątek od rana – oświadczyłam oschle. – Wypisz receptę dla Kluski i zwróć proszę uwagę pani Kamińskiej, żeby ją naprawdę trzymała na diecie. Żadnych smakołyków między posiłkami. Postrasż ją, inaczej psu się będzie dalej pogarszać.

Staralam się być konkretna i profesjonalna, ale Walczaka nie jest łatwo wykołować. Zwłaszcza w TYCH sprawach.

– Nie komentowałem wcześniej, żebyś mi się nie spłoszyła, ale zajebicie wyglądasz w tym kostiumie.

Czułam, że się rumienię. Mogłam mieć jedynie nadzieję, że kamerka tego szczegółu nie wychwyci.

– Ja... niedawno wróciłam z wycieczki... – zaczęłam się idiotycznie tłumaczyć, próbując jednocześnie tak się ustawić, żeby było widać wyłącznie moją twarz.

Obie te czynności nie miały szans powodzenia.

– Następnym razem narzuć coś na siebie, bo się nie będę mógł skupić. Zadziwiająco dobra jakość tego połączenia wideo tak swoją drogą.

Ten tekst mógł oznaczać, że mój rumieniec nie umknął jego uwadze. Ale nie musiał.

– Dostałeś mój namiar od Elki, prawda? – to była dobra okazja, żeby sprawdzić moje podejrzenia.

– Zgadza się. Masz bardzo sympatyczną przyjaciółkę.

Co ona powiedziała ostatnio? Że nie ma do mnie pretensji o to, że się całowałam z Walczakiem, tylko że nie poszłam z nim do łóżka. Nic dziwnego, że wydała mu się sympatyczna. Dobrali się jak w korcu maku.

Elka twierdziła również, że w kwestiach damsko-męskich zachowuję się jak nastolatka, i tego postanowiłam się trzymać.

– Muszę kończyć – oznajmiłam i obojętnym tonem dodałam: – Jestem umówiona na drinka.

Dokładnie tak zachowałaby się obrażona piętnastolatka. Może tylko zamiast drinka wymieniłaby kino.

– Leć, leć – nie wyglądał na specjalnie przejętego. – Baw się dobrze. Tylko kiecki nie zapomnij.

I wyłączył się.

Siedziałam, oniemiała, wpatrując się w stronę startową Skype'a, która zajęła

miejsce Walczaka. Co tu się właściwie stało? Konsultacje w sprawie dawkowania insuliny? Czegoś, z czym poradziłyby sobie średnio rozgarnięty student pierwszego roku? Plus wgapienie się w mój dekolt jak w starych dobrych czasach, kiedy zaczęłam pracować w klinice?

Wstałam gwałtownie od stołu, podeszłam do szafy i wyciągnęłam z niej pareo, które na wyjazd pożyczyła mi Elka. Było białe w beżowe kwiaty i prawdę mówiąc, niespecjalnie mi się podobało. Miałam wrażenie, że wyglądam w nim jak moja matka, ale w tym momencie było mi dokładnie wszystko jedno. Narzuciłam je na siebie i wróciłam do komputera.

ROZDZIAŁ 17

Co prawda od poprzedniego połączenia z Elką zapowiedziane pół godziny jeszcze nie minęło, ale widocznie skończyła już swoje sprawozdanie, bo odebrała rozmowę.

– Jacek właśnie podjechał. Na pewno ledwo żywy i głodny, więc go nie męcz za długo.

– Dlaczego dałaś Walczakowi namiar na mnie?

– A dlaczego miałabym nie dać? – zdziwiła się moja przyjaciółka.

– Może najpierw trzeba było zapytać, czy sobie życzę z nim rozmawiać?

– Po co? Na pewno byś powiedziała, że sobie nie życzysz.

Z minuty na minutę byłam coraz bardziej zła.

– No właśnie! Bo sobie nie życzyłam! Mało mam tutaj atrakcji? Jeszcze mi potrzebny Walczak. Tak ciągle opowiadasz o szacunku do drugiej osoby i co?

Usłyszałam trzaśnięcie drzwi wejściowych, Sikora nadchodził.

– Madziu, ja cię szanuję, słowo honoru! I właśnie dlatego mu dałam ten namiar. Ty mu się naprawdę podobasz. Jak usłyszał, że jesteś już po rozwodzie...

– Jezu, błagam... – jęknęłam, łapiąc się jednocześnie za głowę. – To ja mu specjalnie nic nie mówię, a ty, jedna wizyta z kotem i od razu mu wszystko musiałaś wypaplać? Dlatego się uaktywnił, na sto procent dlatego!

Elka rozłożyła ramiona w geście bezradności.

– Tak jakoś wyszło. – I dodała prowokacyjnie: – Wyciągnął to ze mnie.

Na szczęście w tym momencie do kuchni wszedł Sikora, bo nasza rozmowa mogła się skończyć spektakularną awanturą. Rzucił okiem na otwarty komputer i zareagował z równym entuzjazmem, co wcześniej Elka.

– Znowu ona?

Nachylił się do żony i pocałował ją w policzek.

– Jadłem w pracy. Idę do garażu.

– Hej, ale ja mam różne ciekawe informacje! Nie wolno tak! – zaprotestowałam, oburzona.

– Pogadaj z nią, bo zła jak osa – wstawiła się za mną Elka.

Sikora opadł na krzesło obok żony i odwrócił laptopa w swoją stronę. Obserwując go od kilku dni przez kamerkę internetową, która bezlitośnie podkreślała niedoskonałości jego cery, powinnam się chyba zacząć niepokoić. Skóra na jego

twarży miała brzydki, szary odcień, a cienie pod oczami nabierały głębi. Musiał być naprawdę zmęczony. Może lepiej dać mu spokój?

– Dobra, Jacek, nie ma sprawy, odpocznij sobie. Zadzwoń jutro – wycofałam się.

– Jutro będzie jeszcze gorzej. Mów – machnął zrezygnowany ręką.

– Skoro nalegasz...

Streściłam mu rozmowę z Wojtkiem i muszę przyznać, że informacja o tym, że jest gejem, wywarła na Sikorze odpowiednie wrażenie.

– Czyli że on jej nie zabił – zauważył sprytnie.

– Wow, nie wpadłabym na to...

– Sorry, po prostu podsumowałem. Żebyś wiedziała, że słucham.

– Miło z twojej strony.

– Pewnie. A żeby usprawnić naszą rozmowę, od razu ci wrzucam temat – kochaś.

– O, właśnie. Też tak myślisz?

– Za bardzo nie ma w kim wybierać. Więc zadaj mu kilka podchwytliwych pytań, może się wysypie.

Oczywiście Jacek miał rację. Był tylko jeden maleńki problem.

– Tylko że ja nie mam pojęcia, kto to jest.

– Przecież ich podobno widziałaś?

– Stał tyłem. Nie rozpoznałam go.

Jacek westchnął.

– Wiesz co, może ty lepiej idź na plażę. Poopalaj się. Poodpoczywaj. Bo z tego twojego śledztwa to czuję, że raczej nic nie będzie.

ROZDZIAŁ 18

Nie wiem, co ludzie widzą w tropikach, zastanawiałam się, macając wiszącą w pełnym słońcu na balustradzie tarasu błękitną sukienkę, tę samą, w której poprzedniego dnia płynęłam łódką i którą na tej łódce kompletnie przemoczyłam. Kiedy ją po powrocie z siebie zdjęłam, była ciągle wilgotna. Powiesiłam ją więc od razu na dworze, pewna, że w tym upale wyschnie w mgnieniu oka, ale – nie wyschła. Na noc zabrałam ją do środka, z samego rana wywiesiłam znowu, a teraz, w południe, materiał nie dość, że ciągle był mokry, to odniosłam również wrażenie, że zrobił się trochę sztywny.

– Nie schnie? – zainteresowała się matka znad komputera.

– Nie schnie. Jak to możliwe w taki upał?

– To słona woda – wyjaśniła matka. – Musisz ją porządnie wypłukać, inaczej będzie mokra tydzień.

Nie miałam podstaw, żeby nie wierzyć własnej matce, więc zwinęłam sukienkę w kłębek i poszłam do łazienki, żeby rozprawić się z solą.

I kiedy tak patrzyłam, jak na materiał mocnym strumieniem leje się woda, w mojej głowie pojawiło się skojarzenie, bardzo odległe, którego nie mogłam uchwycić. A potem, nagle, bo procesy myślowe często bywają nagłe, spłynęło na mnie olśnienie.

Może olśnienie brzmi zbyt wzniosłe, ale jak inaczej nazwać moment, w którym widok sukienki nasiąkającej wodą skojarzył mi się ogólnie z ubraniami odpowiednimi na ten upał, co z kolei przypomniało mi krzykliwą koszulę całującego się z Blanką mężczyzny. I aż się musiałam oprzeć o umywalkę, bo dotarło do mnie, że właśnie odkryłam sposób, w jaki go namierzę.

Zastanawiałam się nad tym wcześniej cały wieczór i cały ranek. Nie ukrywam, że lekceważący ton Sikory, który kazał mi iść na plażę, podziałał na mnie motywująco. Ale aż do tej chwili nie miałam żadnej koncepcji, żadnego punktu zaczepienia. Idiotyczna koszula we flamingi... tak, to może być trop.

Jednego byłam pewna: ani przedtem, ani potem tego paskudztwa na nikim nie widziałam. Zapamiętałabym na pewno. Tyle tylko, że do tej pory nie mieliśmy zbyt wielu okazji, żeby się w gronie hotelowych gości socjalizować. Wczorajszy wyjazd na plażę i wycieczka na farmę przypraw były jedynymi formami aktywności grupowej, jakie nam zaproponowano, a i tak uczestniczyła w nich najwyżej połowa mieszkańców Karibu. Osób, które widywałam w restauracji i na hotelowej plaży, w większości w ogóle nie kojarzyłam.

Uświadomiłam sobie, że teraz czeka mnie przyglądanie się wszystkim – gościom hotelowym, personelowi, nawet kelnerom. I po pierwszej fali euforii powoli zaczęło do mnie docierać, że to przedsięwzięcie wcale nie musi zakończyć się sukcesem.

Ale co jeszcze mogłam zrobić?

Gości płci męskiej w naszym hotelu było plus minus dwudziestu, co sobie obliczyłam, spędzając trzy godziny w restauracji, dokładnie w porze obiadowej. Plus minus, bo przecież nie wszyscy musieli akurat w tym czasie się przez to miejsce przewinać.

Personel pewnie miał ze mnie niezły ubaw – przylecieć na Zanzibar po to, żeby pół dnia siedzieć w cieniu i czytać, to naprawdę trzeba mieć nie po kolei w głowie.

Oczywiście nikt nie miał tego dnia na sobie koszuli w różowe flamingi, ale nie zamierzałam się załamywać. Cierpliwość, potrzebowałam tylko trochę cierpliwości, to wszystko, myślałam, siadając o trzynastej przy stoliku niedaleko wejścia do restauracji, tak żeby żadna osoba wchodząca do środka mi nie umknęła. Jednak o szesnastej to moje założenie zaczęło wykazywać luki, bo uciekający czas coś mi uświadomił. A mianowicie, że go nie mam. I że w sytuacji, kiedy za tydzień stąd wyjeżdżamy, cierpliwością wiele nie zwojuję.

Oczywiście kiedy tylko pomyślałam o powrocie, pierwszym skojarzeniem okazał się Walczak, ale dzielnie je od siebie odepchnęłam, a potem zaczęłam się zastanawiać nad tym, jak by tu przyspieszyć procedurę poszukiwania tej cholernej koszuli.

Różne koncepcje mi się pojawiły, w większości durne: przekupienie pokojówki, organizacja imprezy tanecznej pod hasłem: najbardziej obciachowy strój wakacyjny czy nawet alarm przeciwpożarowy, podczas którego ja spokojnie przeszukałabym porzucone przez gości bungalowy. Im dłużej nad tym myślałam, tym bardziej było mi wstyd, że sprowadziłam moje śledztwo do żenującego poziomu koszuli we flamingi. W końcu dotarło do mnie, że powinnam zawęzić listę potencjalnych kandydatów na kochanka, bo zwariuję.

Zaczęłam sobie przypominać nasze z Blanką spotkania, rozmowy, wspólne posiłki. Czy z kimś flirtowała? Czy zwracała na kogoś uwagę? A może odwrotnie – była dla kogoś nieprzyjemna, niemiła? Oprócz mojej matki oczywiście.

Z tych okruczeń wspomnień, niezbyt wielu, ułożył mi się dość ciekawy obraz. Okazało się bowiem, że Blankę widywałam najczęściej tylko z trzema mężczyznami.

Z Wojtkiem. Z pułkownikiem. Oraz z Sylwestrem.

Wojtek odpadał. Pułkownika również odrzuciłam. Może nie tyle z powodu wieku, choć ta zmienna wydawała się wiodąca, co gustu. Pan pułkownik, gdyby włożył na siebie koszulę we flamingi, umarłby na zawał.

Na placu boju pozostał Sylwester. Przypomniało mi się, jak rozmawiali z Blanką na wycieczce, i potem jeszcze raz czy drugi w hotelu. A jednocześnie Sylwek miał ten specyficzny sposób bycia, który działał na kobiety. Nie, nie seksualność. On po prostu umiał z kobietami rozmawiać. Patrzył im – właściwie nam – w oczy, uważnie słuchał, zadawał pytania. Było kilka momentów, kiedy nawet ja czułam, że zbliżamy się do tej

niebezpiecznej granicy intymności, po której przekroczeniu zostaje się albo przyjaciółmi, albo kochankami.

Oczywiste, że ja na kochankę nie pasowałam. Ale Blanka owszem.

I właśnie w momencie, w którym doszłam do wniosku, że bez przeszukania jego bungalowu się nie obejdzie, Sylwester stanął w drzwiach restauracji.

Właściwie nie rozmawialiśmy od dwóch dni, czyli od momentu rozstania pod domkiem Wojtka. Sylwek miał ze mną i z matką zjeść kolację tamtego wieczoru, ale nie przyszedł, nie pojechał też na plażę Muyuni. Raz spotkaliśmy się w przelocie, na ścieżce biegnącej obok jego domku, to wszystko.

– Magda! – ucieszył się na mój widok. – Myślałem o tobie! Co słyhać?

Ja również o nim myślałam, ale w kontekście, do którego nie zamierzałam się przyznawać.

– Nic ciekawego – machnęłam lekceważąco ręką. – A co u ciebie?

Sylwester oparł się o stół i nachylił w moją stronę. Miał na sobie szerokie, luźne szorty i głęboko wyciętą koszulkę bez rękawów w jaskrawo pomarańczowym kolorze. Zaskakująco luźny strój jak na niego.

– Zapisalem się na kite! – przyglądał mi się, ciekawy, jakie ta informacja zrobiła na mnie wrażenie.

– No, no, nieźle – nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć.

Odsunął energicznie krzesło i usiadł.

– To jest czad. Kompletnie wsiąknę! – Jego oczy o fascynująco jasnych tęczęwkach błyszcząły podekscytowaniem. – Wczoraj miałem dwie lekcje, dzisiaj jedną, i zaraz biegnę znowu, póki jest przypływ. Hit, mówię ci!

Mówił to z takim entuzjazmem, że aż mu pozazdrościłam. Ale nie konkretnie kite'a tylko tego, że znalazł dla siebie coś, co mu dawało prawdziwego kopa.

– A może ty byś spróbowała? – ożywił się jeszcze bardziej.

Pomysł był tak absurdalny, że o mało nie parsknęłam śmiechem. Nie wiem, co by się musiało stać, żebyś dobrowolnie założyła na siebie tę całą uprzęż i weszła na deskę.

– Nie, dziękuję. To na pewno nie jest dla mnie.

– Dla każdego jest – uśmiechnęła się. – Mówię ci. Chodź ze mną! Zobacysz, będzie super!

A widząc, że nie wykazuję entuzjazmu, dodał:

– Wiesz, że Dukaj też się uczy? Całkiem mu dobrze idzie.

Aż taką fanką Dukaja nie byłam, żeby dla niego ryzykować życie, ale przyszedł mi do głowy inny pomysł. Trochę karkołomny, przyznaję, ale co mi szkodziło spróbować?

– Kusisz, kusisz... – uśmiechnęłam się, udając zainteresowanie. – No dobrze, pójdę z tobą i zobaczę, jak to wygląda.

– I to jest bardzo dobra decyzja – ucieszył się. – Tylko wypiję koktajl, taki specjalny sobie zamawiam przed treningiem, energetyczny, i możemy lecieć.

ROZDZIAŁ 19

Szkółka kite'a mieściła się jakieś piętnaście minut drogi od hotelu, przy molo. Po drodze rozmawialiśmy z Sylwestrem dość luźno. Na szczęście nie próbował poruszać tematu śmierci Blanki. Wypytał mnie o wycieczkę, więc opowiedziałam mu o kolorowych rybkach w oceanie i pikniku na plaży, skrętnie pomijając rozmowę przeprowadzoną z Wojtkiem.

Kiedy skończyłam, Sylwek zaczął wznosić peany na cześć swojego instruktora kite'a i opowiadać o szczegółach treningu. Gadał coś o jakichś barach, latawcach, trapezach i hakach. Dla mnie, kompletnej laiczki, brzmiało to wszystko absolutnie niezrozumiale, jednak z tej jego opowieści wywnioskowałam jedno – lekcja na kite swoje trwa.

Już z daleka widać było porozkładane na piasku kolorowe skrzydła, kilka kolejnych unosiło się nad wodą. Kiedy podeszliśmy bliżej, wśród kręcących się po plaży osób rzeczywiście rozpoznałam Dukaja. Aktor razem z instruktorem przygotowywał się do lekcji. Miał na sobie profesjonalną piankę i całkiem nieźle radził sobie ze sprzętem.

– Poczekaj tutaj – polecił Sylwester. – Znajdę mojego instruktora i zaraz wrócę.

– Sylwek, wiesz co, ja jednak dzisiaj nie dam rady – powiedziałam, starając się, żeby w moim głosie zabrzmiał prawdziwy zawód. – Przypomniało mi się, że o piątą mają dzwonić na Skypie moje dzieci. Sorry! Muszę lecieć! Może jutro się uda! Pa!

Odwrociłam się i nie czekając na jego reakcję, szybkim krokiem ruszyłam z powrotem do hotelu.

Nie miałam czasu do stracenia.

Bungalow Sylwestra stał trochę z boku, co było mi wyjątkowo na rękę. Dookoła domku rosły niskie palmy o grubych, mięsistych liściach, tworząc nieprzenikniony, zielony mur. Jeżeli ktoś, przyjeżdżając na urlop do Karibu, szukałby intymności, tutaj znalazłby ją na pewno.

Podeszłam do drzwi frontowych i nacisnęłam klamkę, ale nie ustąpiły, czego się można było spodziewać. My z matką, wychodząc z naszego domku, też go przecież zamykałyśmy. Natomiast kilka razy zdarzało nam się zostawić otwarte drzwi tarasowe. Bez wahania ruszyłam wąską ścieżką prowadzącą na tyły domku, żeby sprawdzić, czy Sylwestrowi też przytrafiają się chwile roztargnienia.

Niestety Sylwek nie był aż tak roztrzepany jak my – drzwi tarasowe jego bungalowu okazały się zamknięte. Co teraz?

Przez chwilę rozważałam nawet wybicie szyby, ale istniało prawdopodobieństwo, że ktoś usłyszy hałas i zaalarmuje personel. A tego zdecydowanie wolałam uniknąć. No dobra, trudno, w końcu jutro też jest dzień, wytłumaczyłam sobie. I lekcje kite'a. Może przez ten czas uda mi się znaleźć jakiś sposób, żeby dostać się do bungalowu?

Wróciłam na front domku i dla pewności jeszcze raz szarpnęłam klamkę drzwi wejściowych, oczywiście bez rezultatu. A kiedy się odwróciłam, żeby odejść, zobaczyłam na środku alejki młodą dziewczynę, ubraną w szorty i charakterystyczną żółtą koszulkę, jakie nosił personel Karibu. Stała oparta o metalowy wózek na kółkach, pełen butelek ze środkami czyszczącymi, ściereczek i szczotek.

Ewidentnie musiała się zajmować sprzątaniem bungalowów. Na identyfikatorze miała napisane „Kasia”, a przy pasku kołysał się jej na łańcuszku klucz uniwersalny.

Taka okazja mogła się już nie powtórzyć.

– Dzień dobry! – krzyknęłam z entuzjazmem. – Co za ulga! Byłaby pani taka miła i otworzyła mi domek? Przyszłam z plaży po książkę i zapomniałam klucza...

No cóż, pojechałam po bandzie, ale założyłam, że dziewczyna raczej nie kojarzy, kto gdzie mieszka. I nie pomyliłam się.

– Jasne, nie ma sprawy – uśmiechnęła się wyrozumiale.

Podeszła do drzwi i przekręciła klucz w zamku.

– Bardzo proszę. Miłego popołudnia!

I zostawiła mnie przed otwartym bungalowem Sylwestra.

Domek miał identyczny układ jak ten, w którym mieszkaliśmy z matką. Niewielki przedpokój, łazienka, sypialnia, wyjście na taras. Różnica polegała tylko na tym, że u nas stały dwa łóżka, a tu jedno podwójne. Reszta umeblowania była bardzo podobna – dwa fotele, stolik, nocna szafka i toaletka. I szafa w ścianie, która interesowała mnie najbardziej.

W pokoju panował porządek tak idealny, że mógłby wpędzić w kompleksy nawet Sikorę. Prawie nic nie leżało na wierzchu, poza książką „Poradnik menagera” na nocnej szafce, idealna lektura do poduszki.

Podeszłam powoli do łóżka i pogładziłam szarą, jedwabną kapę. Poruszanie się w czyjejsz przestrzeni bez wiedzy i zgody jej właściciela trochę mnie krępowało. Tym bardziej trzeba się z tym było jak najszybciej uporać.

Ostrożnie rozsunęłam ażurowe drzwi szafy. Połowę wyłożonego ciemnym drewnem wnętrza zajmowały półki, w drugiej połowie na drążku wisiały koszule, dokładnie odprasowane, bez jednego zagniecenia. Przejrzałam je dokładnie, jedna po drugiej, ale żadna z nich nie była tą, której szukałam. Sprawdziłam również ubrania starannie ułożone na półkach. Wszystkie były świetnej jakości i ekskluzywnych marek. Unosiłam je delikatnie, sprawdzając każdą sztukę, i znowu nic.

Ani śladu koszuli w różowe flamingi.

Za to na najniższej półce, między tiszertami, moje palce na coś natrafiły. Zaciekawiona uklękłam i wyciągnęłam spod jednej z koszulek pęk kluczy z breloczkiem w kształcie maleńkiej deski surfingowej.

W tym momencie na zewnątrz rozległ się jakiś hałas. I choć rozsądek mówił mi, że na powrót Sylwestra jest zdecydowanie za wcześnie, strach i napięcie zrobiły swoje. Błyskawicznie umieściłam klucze z powrotem między koszulkami, zamknęłam szafę i wybiegłam z bungalowu.

Uspokoiliam się dopiero na zewnątrz, kiedy się okazało, że źródłem hałasu jest jakiś chłopiec, próbujący przejechać piaszczystą alejką na dzieciennym rowerku. Dzieciak pedałowiał zawzięcie, a grube opony buksowały w piachu, wydając denerwujące dźwięki. Kiedy mu się przyjrzałam, rozpoznałam w nim starszego syna Dukaja.

– Pomóc ci? – spytałam.

Chłopiec popatrzył na mnie niepewnie.

– Poradzę sobie. Chyba – odpowiedział. Po chwili jednak dodał: – A wiesz, gdzie jest nasz domek?

Rzeczywiście, wśród identycznych bungalowów i ograniczającej widoczność zieleni trudno się było połapać, gdzie się znajdujemy.

– Nie wiem, ale spróbujemy trafić. Chodź!

Mały zsiadł z rowerka i ruszył za mną, z trudem prowadząc swój pojazd przez grząski piach.

Kiedy dotarliśmy pod bungalow Dukajów, chłopczyk był czerwony jak burak i spocony, ale wyraźnie dumny z tego, że dał radę. Zapukałam do drzwi. Otworzyła mi żona aktora z najmłodszym dzieckiem na ręku. Mój widok ją zaskoczył.

– Przyproceedziłam pani syna – wyjaśniłam. – Nie umiał trafić.

Kobieta dopiero teraz zauważyła stojącego za mną chłopca.

– Stasio? – zdziwiła się. – A co ty tutaj robisz? Przecież powinieneś być z tatą?!

– Tata poszedł znowu na ten latawiec – doniósł uprzejmie chłopczyk. – A mnie zostawił samego. Ale sobie poradziłem!

Żona Dukaja pokręciła głową z niedowierzaniem.

– No widzi pani – roześmiała się. – Taki z mojego męża pożytek. Zamiast się zająć dzieckiem, pielęgnuje dziecko w sobie. Czasami mi się wydaje, że Stanisław jest dużo bardziej odpowiedzialny niż jego ojciec – powiedziała to wszystko pogodnie i bez złości. Musiała być przyzwyczajona do takiego zachowania męża.

– O tak, to rozsądny młody człowiek – poklepałam chłopca po ramieniu. – Lecę. A gdyby pani potrzebowała kiedyś jakiejś pomocy, proszę się nie krępować. Sama mam dwoje dzieci, wiem, czym to się je. A mieszkam tam – machnęłam ręką w kierunku naszego domku.

– Bardzo to miłe z pani strony. Dziękuję! – uśmiechnęła się.

Była kobietą dość przeciętnej urody, ale ten uśmiech rozjaśniał jej twarz i sprawiał, że stawała się prawie piękna.

Miła jest, pomyślałam, patrząc, jak pomaga synowi wprowadzić rowerek do domu

i jednocześnie poprawia sobie dziecko na biodrze. I nagle zobaczyłam w niej siebie sprzed lat. Byłam tak samo zapatrzona w swojego męża i tak samo pewna tego, że to on, tylko on i dzieci są sensem i celem mojego życia. Które potem dość stanowczo tę kwestię zweryfikowało.

Czy już wtedy mogłam się spodziewać, że moja rodzinna historia skończy się tak nagle i tak fatalnie?

O dziwo, zamiast jak zawsze pogrążyć się w analizowaniu tego, co przez te lata robiłam źle i jak mogłam uratować nasze małżeństwo, pierwszy raz zaczęłam się zastanawiać, jaka była w tym wszystkim rola mojego męża. Tomasz, tak samo jak Dukaj, uwielbiał zajmować się sobą i tak jak on miał o sobie wyjątkowo wysokie mniemanie. Czy gdyby od początku traktował mnie bardziej jak partnerkę, a nie opiekunkę do dzieci, byłoby inaczej? Szłam powoli w stronę naszego bungalowu, mając przed oczami uśmiechniętą, pogodzoną ze swoim losem żonę Dukaja. Jeżeli ona się na to zgadza, jeżeli taki układ jej odpowiada, dlaczego on miałby go zmieniać? Dlaczego Tomasz miał zmieniać cokolwiek w naszym związku, skoro ja wyglądałam na zadowoloną?

W ten sposób, choć tym razem trochę naokoło, dotarłam do punktu, w którym jednak poczułam się winna. Winna temu, że nie postawiłam się Tomkowi wcześniej. Że nie zaczęłam walczyć o siebie. Że nie mówiłam wyraźnie, co mi w naszym małżeństwie przeszkadza. Ja mu po prostu pozwoliłam na to, żeby mnie tak traktował. Och, jaka ja byłam głupia!

Weszłam do naszego domku i bezwiednie trzasnęłam drzwiami. Byłam zirytowana, ale i pełna energii.

Bo zdałam sobie sprawę, jak inaczej zaczynam myśleć o swojej historii. I jak bardzo tej zmiany myślenia potrzebowałam.

ROZDZIAŁ 20

- C**o ty robiłaś całe popołudnie? – zainteresowała się matka na mój widok.
- O dziwo nie pisała, tylko przeglądała Facebooka.
 - Próbowałam namierzyć kochanka Blanki – wyjaśniłam. – Niewykonalne.
 - Albo ty się do tego źle zabrałaś.
 - Dobrze, to jak według ciebie znaleźć gościa, o którym wie się tylko, że ma koszulę w różowe flamingi? Chętnie posłucham.
- Matka zamknęła energicznie laptop.
- Na pewno jest jakiś sposób – odpowiedziała z godnością. – Ale ja ci nie pomogę, bo piszę.
 - Teraz nie piszesz.
 - Nie, bo się właśnie wybieram na plażę. W końcu jestem na urlopie, nieprawdaż?
 - To może pójdziemy razem? Miło by było – zaproponowałam.
 - Nie, dziękuję. Potrzebuję trochę samotności.
- Przez chwilę myślałam, że żartuje, ale minę miała absolutnie serio.
- Mamo, przecież siedziałaś sama z pięć godzin.
- Matka spojrzała na mnie z niedowierzaniem i naganą.
- Daj spokój – fuknęła. – To była praca. A teraz muszę odpocząć.

Kiedy wyszła, poczułam nagłe zmęczenie. Ta historia wysysała ze mnie powoli całą energię, a przecież przyjechałam tu odpocząć. Zregenerować siły po ostatnich, cholernie ciężkich miesiącach. Jeżeli tak dalej pójdzie, pomyślałam, to wrócę do Polski w gorszej formie, niż byłam przed wyjazdem. Co za idiotyzm.

Położyłam się na łóżku i wzięłam do ręki książkę. Mając przed oczami cudowną wizję popołudni i wieczorów spędzanych z książką na leżaku, przywiozłam ich tu ze sobą tyle, że mogłabym otworzyć wypożyczalnię. Niestety, zamiast oddawać się lekturze, oddawałam się ściganiu wyimaginowanego mordercy, a od początku pobytu książkę miałam w ręku raz.

Zresztą teraz również nie zdążyłam się nacieszyć czytaniem, bo usnęłam.

Chciałabym napisać, że obudził mnie wieczorny chłód, ale to oczywiście było

niemożliwe. Ocknęłam się spocona jak mysz, wymięta i nieprzytomna. Dopiero po dłuższej chwili dotarło do mnie, że coś gdzieś dzwoni.

Poderwałam się z łóżka i potykając o własne nogi dopadłam do mojej komórki, którą zostawiłam nieopatrznie przy wejściu w przedpokoju. Napędzał mnie klasyczny matczyzny lęk, bo pierwsze, co mi przyszło do głowy, że dzwoni Tomasz, że coś się stało dzieciom.

Na szczęście to nie był Tomasz. To był Sikora.

Zdziwiona, otworzyłam Messengera, w ostatnim odruchu samoobrony blokując kamerkę.

– Jacek? – wychrypiałam. Miałam tak sucho w gardle, jakbym całe popołudnie spędziła na ostrym picciu.

– No dlaczego cię nie ma na skypie? – zaśmiał się mój przyjaciel.

Był w zaskakująco dobrym humorze.

– Poczekaj...

Odnalazłam butelkę wody i nie zwracając sobie głowy szklanką wlałam w siebie połowę jej obrzydliwie ciepłej, za to mokrej zawartości.

– Spałam – wyjaśniłam, już trochę rozruszana. – Co się stało?

– Czy zaraz musiało się coś stać, żebym do ciebie zadzwonił? – zapytał, ciągle rozradowany.

– Nie chrzań, tylko mów.

– No dobra. Tak, chciałem ci się pochwalić! Mamy coś! – wyrzucił z siebie.

Dawno go nie słyszałam tak podekscytowanego.

– Pamiętasz, zastanawialiśmy się, kogo ta starsza pani mogła wpuścić do domu, skoro nie wolno jej było otwierać obcym?

– Pamiętam oczywiście.

– Sprawdziliśmy wszystkie możliwe opcje i nic. Na szczęście Dąbrowski, ten właściciel domu, coś sobie przypomniał. Otóż jakieś dziesięć, dwanaście lat temu szukał kogoś do pomocy w ogrodzie. Wiesz, koszenie trawnika, przycinanie żywopłotów, i polecono mu bardzo fajnego chłopaka. Nazywał się Przemek Lis, chodził do liceum, był sympatyczny, kontaktowy, pracowity i bystry. No i miał trudną sytuację rodzinną. Ojca w ogóle nie znał, matce odebrano prawa rodzicielskie. Wychowywała go babka, chłopak pracował, żeby ją finansowo odciążyć, a to się Dąbrowskiemu spodobało. Polubił tego Przemka, cała rodzina go polubiła, bardzo się ze sobą zżyli. Dąbrowski wynajdował mu różne fuchy, zapraszali go na obiady, dawali ubrania po synu.

Sikora przerwał na chwilę, krzyknął gdzieś w przestrzeń:

– Moment, z Magdą gadam!

I wrócił do swojej opowieści.

– No więc on tam im wrósł w krajobraz. Kiedy gospodarze wyjeżdżali zimą, wpadał pomagać ciotce Agacie – robił zakupy, odśnieżał, gadał z nią, żeby się nie czuła samotna. Ciotka go zresztą bardzo lubiła. Tak to sobie trwało przez kilka lat, nawet jak ten Przemek był już na studiach. Dopiero kiedy zaczął pracować i przeniósł

się do Warszawy, kontakty się urwały.

– Czyli macie kogoś, kogo ofiara знаła i na pewno by do domu wpuściła – podsumowałam. – Tylko że on mi jakoś na zbrodniarza nie wygląda... Był z tą rodziną zaprzyjaźniony, dużo im zawdzięcza... Mówiłeś, że rozsądny, sympatyczny...

– Dlatego jeszcze nie otwieram szampana. Ale do lodówki wstawiłem.

– Kiedy go chcesz przesłuchać?

– Powoli, te wszystkie informacje Dąbrowski sprzedał nam dziś po południu. Teraz musimy pana Przemysława namierzyć. Mam nadzieję, że jutro będzie mój.

– Trzymam kciuki!

To strasznie śmieszne, że zawsze, kiedy mówiłam do kogoś: trzymam kciuki, odruchowo je zaciskałam. Teraz oczywiście zrobiłam to samo.

– Super, że coś wam się klaruje – ciągnęłam. – Normalnie zazdrość.

– Z tego wnioskuje, że twoje śledztwo osiadło na mieliźnie.

– No niestety.

– To co? Szybka narada? Może ci jakoś pomogę, chociaż mówię to, zwróc uwagę, bez przekonania.

Jacek w dobrym nastroju, co nie zdarzało się często, był do rany przyłoż.

Z pewnym zażenowaniem opowiedziałam mu o moich dzisiejszych poczynaniach. Już sam fakt, że zajmowałam się szukaniem męskiej koszuli w różowe flamingi był zawstydzający. Kompletny brak efektów był zawstydzający jeszcze bardziej.

– Nie da się sprawdzić garderoby wszystkich facetów w hotelu – pożaliłam się. – Muszę sobie tego kochanka odpuścić, bo zwariuję. Zresztą pewnie nawet jak bym go namierzyła, to by się okazało, że to nie on. Chrzanić to.

– Ej, poddajesz się? Serio?

Sikora, zapewne trochę zdziwiony moim nastawieniem, pierwszy raz od znalezienia przeze mnie ciała Blanki nie próbował mnie do sprawy zniechęcić. Ale ja, zamiast to docenić, pomyślałam tylko, że jest królem niekonsekwencji. Zupełnie jak moja matka, ona była niekonsekwencji królową.

Z kim ja pracuję, pomyślałam zrezygnowana. Jacek w tej swojej euforii chyba naprawdę uwierzył, że mogę być równie skuteczna jak on.

– Słuchaj, złap szybko tego mordercę z Grodziska i wbijaj tutaj – zachęciłam go. – Rozpracujemy sprawę w try miga.

Roześmiał się.

– Właściwie czemu nie? Teraz wszyscy jeżdżą na Zanzibar...

ROZDZIAŁ 21

Gdybym miała po tej rozmowie wysnuć jakąś refleksję, powiedziałabym tak: raz na wozie, raz pod wozem, albo trochę bardziej poetycko: czasem słońce, czasem deszcz, czyli życie jest funkcją zmiany. Jeszcze dwa dni temu Jacek, umęczony i zły, jęczał, jak to mu nie idzie, a teraz nagle podskakuje ze szczęścia, bo komuś się coś przypomniało i sprawa ruszyła z kopyta.

Chciałam wierzyć, że w przypadku śmierci Blanki będzie podobnie, że odwróci się karta i równie niespodziewanie jak u Sikory stanie się coś, co diametralnie zmieni sytuację. Że odkryję, z kim była umówiona tamtej nocy, albo dręczony wyrzutami sumienia sprawca przyzna się do morderstwa. Ale prawdopodobieństwo tych zdarzeń nie wydawało się przesadnie wysokie.

Popołudniowa drzemka sprawiła, że zgłodniałam. Przez chwilę wahałam się, czy nie zamówić kolacji do pokoju, bo nie chciało mi się wychodzić do ludzi, ale resztki rozsądku kazały mi się doprowadzić do ładu i podjąć ostatnią próbę namierzenia tej cholernej koszuli. Może jednak los się odmieni i na kimś ją wreszcie zobaczę?

Włożyłam nawet w tej intencji całkiem ładną sukienkę, ale opór przed opuszczeniem domku był wciąż we mnie tak duży, że postanowiłam go sobie obejrzeć i zdiagnozować. Od pewnego czasu lubię wiedzieć, co się we mnie dzieje i dlaczego.

Powód namierzyłam bardzo szybko. Zawierał się w jednym zdaniu, które usłyszałam od Sikory. „No dlaczego cię nie ma na Skypie?“, zapytał. Otóż to. Jeżeli wyjdę, znowu mnie na tym Skypie nie będzie. A gdyby ktoś chciał się ze mną w tym czasie skontaktować? Na przykład dzieci? Albo... Walczak?

Ta idiotyczna rozmowa o dawkowaniu insuliny oraz moim kostiumie kąpielowym wprowadziła mnie z emocjonalnej równowagi, choć sama przed sobą nie chciałam się do tego przyznać. Bo czy można myśleć o sobie z szacunkiem, jeżeli z rozmowy z kolegą z pracy zapamiętało się jedno zdanie: „Następnym razem narzuć coś na siebie, bo się nie będę mógł skupić”?

Oznaczało ono, że mój wygląd go rozprasza oraz że zamierza zadzwonić znowu. Więc czy nie powinnam w takim razie zostać i włączyć komputera?

Zaczęłam się sobie przyglądać w lustrze, co generalnie nie zdarzało się zbyt często. Właściwie nie zdarzało mi się prawie wcale. Nie malowałam się, więc rytuał makijażu, podczas którego nie da się nie być blisko ze swoją twarzą, odpadał. Konfrontowałam się z nią tylko wieczorami, przecierając mleczkiem i nakładając krem, ale nawet wtedy starałam się omijać wzrokiem swoje odbicie.

Ktoś mi kiedyś powiedział, nie wiem, czy nie Elka, że takie unikanie ma bardzo głęboki psychologiczny sens i wiąże się z samoakceptacją. Rzeczywiście zauważyłam, że odkąd Tomasz się wyprowadził, coraz częściej zdarzało mi się wytrzymać własne spojrzenie w lustrze. Patrzyłam na siebie coraz częściej i z coraz większą życzliwością.

Przedziwne, pomyślałam, dotykając palcami zmarszczek w kącikach oczu i lekko je rozciągając. Jak to możliwe, że teraz, samotna, zdradzona przez męża i rozwiedziona, czułam się lepiej sama ze sobą, niż kiedy tkwiłam w tym związku?

Zbliżyłam twarz do lustra jeszcze bardziej. Miałam przed sobą kobietę może nie klasycznie piękną, ale posiadającą swój urok. Urok, to było to słowo.

A najciekawsze, że to przy tej kobiecie, na którą teraz patrzyłam, kolega Walczak nie mógł się skupić.

Nagle sobie uświadomiłam, że jego pojawienie się w moim życiu dokładnie wtedy, kiedy problemy z Tomaszem eksplodowały, miało głęboki sens. Ten obcy mężczyzna dał mi coś, czego w tamtym czasie potrzebowałam najbardziej – Walczak przypomniał mi, że jestem kobietą. I nadal to robił. I jakaś częśćka mnie ciągle tego potrzebowała.

A jednak tylko częśćka.

Przeczesałam włosy, pociągnęłam rzęsy tuszem mojej matki, popsikałam obficie jej perfumami i nie oglądając się na komputer, wyszłam z domu.

ROZDZIAŁ 22

Matka siedziała w głębi restauracji, pod bardzo liściastą palmą, która wyglądała jak sztuczna, a w fotelu naprzeciwko niej nonszalancko rozpierał się Sylwester. Nie zdążyłam się nawet zastanowić, czy chcę do nich dołączyć, a już Sylwek mnie zauważył i pomachał w moją stronę energicznie.

Kiedy do nich podeszłam, matka bez entuzjazmu grzebała widelcem w sałatce z krewetek, podanej w połówce ananasa. Podniosła na mnie wzrok i skrzywiła się lekko.

– Coś dziwnie wyglądasz – zauważyła.

– Pomalowałam rzęsy – wyjaśniłam, siadając w ratanowym fotelu, który odsunął dla mnie Sylwester. – Nie smakuje ci?

– Ta sałatka? Trochę bez wyrazu. A co?

– Myślałam, żeby taką zamówić.

Matka przesunęła swój talerz w moją stronę.

– Możesz zjeść moją. Sylwester zamówił homara z pół godziny temu i ciągle czeka. Muszą mieć dzisiaj w kuchni spory ruch.

Sałatka rzeczywiście była z tych mdłych i mało wyrazistych, ale mnie to zupełnie nie przeszkadzało.

– Ty wiesz, pan Sylwester uczy się kitesurfingu! – oznajmiła matka z podziwem w głosie – Opowiedział mi wszystko. Nie wiedziałam, że to taki trudny i niebezpieczny sport!

Sylwek uśmiechnął się skromnie.

– Rzeczywiście, trzeba mieć smykałkę. I przede wszystkim się nie bać. Chciałem namówić Magdę, żeby spróbowała...

Matka popatrzyła na niego z wyrzutem.

– Madzia? Na latawcu nad wodą? To absolutnie nie dla niej. Tu potrzeba odwagi i brawury. Już ja bym się prędzej nadawała.

Byłam bardzo ciekawa, jak Sylwek poradzi sobie z nadskakiwaniem dwóm kobietom naraz.

– A ja myślę, że Magdzie by się spodobało – zaczął dość ryzykownie, by natychmiast wyrównać szalę: – Pani też koniecznie powinna spróbować. Ma pani idealną energię do kite'a.

Był naprawdę dobry w te klocki.

– A może jutro by panie zajrzały do szkółki? Magda wie, gdzie to jest.

Rzeczywiście, nie dało się ukryć, wiedziałam.

– To co, o dwunastej? Zapraszam serdecznie!

Matka pogroziła Sylwestrowi palcem, jakby był uczniem, który nie radzi sobie z prostym matematycznym równaniem.

– Bardzo nieładnie pisarkę odciągać od pracy – powiedziała tonem nagany. – Ale jak tylko mi się uda zamknąć tekst, na pewno się zgłoszę. No właśnie, na mnie już pora – podniosła się z fotela. – Muszę się wyspać, bo limit stron sam się jutro nie zrobi.

Przełknęłam szybko ostatnią krewetkę, wyłowioną z ananasa i również wstałam, ale matka położyła mi dłoń na ramieniu i posadziła z powrotem na miejscu.

– A tobie, kochanie, gdzie się spieszy? Posiedź sobie jeszcze, porozmawiaj... Tylko bym pana, panie Sylwestrze prosiła, żeby mi pan później córkę odprowadził, dobrze?

To było niesamowite. Ona naprawdę traktowała mnie, jakbym miała szesnaście lat. A Sylwek oczywiście nie zaprotestował. Sylwkowi się to bardzo podobało.

– Oczywiście, pani Zofio. Pod same drzwi.

– Mamo, daj spokój – jęknęłam. – Poradzę sobie!

– Ta dziewczyna znaleziona w basenie pewnie też tak myślała, i proszę – zauważyła moja matka i odeszła, pozostawiając mnie w zdumieniu i niedowierzaniu.

– Jak ona tak może? – szepnęłam, nachylając się do Sylwka. – Zupełnie jakby śmierć Blanki to była jej własna wina. Tak nie można!

– Chyba nie miała nic złego na myśli – Sylwester był jak zwykle dyplomatyczny. – Poza tym ma trochę racji. Ten teren hotelowy nie wydaje się idealnie bezpieczny...

Nagle Sylwestrowi coś się przypomniało. Zerknął na leżącą obok na stole komórkę i ostentacyjnie westchnął.

– No nie, dosyć tego – powiedział stanowczo i zaczął się rozglądać po sali.

– Co się stało? – spytałam.

Sylwek wziął komórkę do ręki i odwrócił w moją stronę. Zobaczyłam włączony stoper, a na nim odmierzone czterdzieści dwie minuty.

– Złożyłem zamówienie czterdzieści dwie minuty temu – wyjaśnił. – To się kwalifikuje na niezłą aferę. A już na pewno na wpis na Facebooku. I Tripadvisorze.

– Naprawdę chcesz im dać negatywną ocenę? Takie wypadki przy pracy się zdarzają. Może wystarczyłoby porozmawiać z kelnerem...

Sylwek popatrzył na mnie z litością.

– Boże, jaka ty jesteś naiwna. To znaczy to jest urocze, ale...

Znowu sięgnął po swój telefon i otworzył w nim kalendarz.

– Popatrz. Tutaj codziennie sobie sumowałem czas oczekiwania na zamówienia. Od pięciu dni. Podzielić przez trzy posiłki dziennie, to wychodzi średnia... no jaka?

– Dwadzieścia siedem minut – odczytałam zapisany czerwona czcionką.

- Dlatego uważam, że wypadkiem przy pracy to była raczej rekrutacja takiego kierownika restauracji, który nie potrafi wyszkolić i dopilnować personelu.
- A kto za to odpowiada? Znaczy za tę rekrutację?
- No jak to kto? Menager hotelu.

Poza niezbyt przyjemną wymianą zdań, w którą Sylwester wdał się chwilę później z kelnerem, wieczór upłynął nam całkiem miło. Sylwek uruchomił najgłębsze pokłady swojego uroku osobistego, a przyznam, że miał z czego czerpać. O sobie opowiadał niewiele, ale bardzo uważnie słuchał wszystkiego, co ja miałam do powiedzenia, zadawał dociekliwe i celne pytania i ani przez chwilę nie miałam wrażenia, że go zanudzam swoimi historiami.

Bo bardzo szybko z tematów ogólnych przeszliśmy do szczegółowych i nagle się okazało, że opowiadam mu o mężu, zdradzie i o rozwodzie. Taki syndrom poczekalni dentysty. Pierwszy raz rozmawiałam o tym z kimś obcym, bo Elki i Sikory nie liczę, i przyniosło mi to ogromną ulgę.

Siedzieliśmy w restauracji aż do zamknięcia, a potem Sylwester odprowadził mnie pod same drzwi, tak jak sobie zażyczyła moja mama. Poczułam się jak uczennica, eskortowana przez kolegę z klasy po szkolnym balu.

- Dzięki – uśmiechnęłam się. – Bardzo było miło.
- Zajrzyj jutro na kite'a. Jedna lekcja, co ci szkodzi?
- Pomyślę – obiecałam. – Pa!

Otworzyłam drzwi bungalowu i weszłam do środka z silnym postanowieniem, że na żadną lekcję kite'a jutro się nie wybiorę.

Ani jutro, ani nigdy.

ROZDZIAŁ 23

O budziłam się w beznadziejnym nastroju. Nie miał on nic wspólnego ani z moją matką, ani z Sylwestrem, ani tym bardziej z Walczakiem, o którym już właściwie zdążyłam zapomnieć. Gdybym miała postawić diagnozę, powiedziałabym, że byłam zła na samą siebie. Za co? Za zerową skuteczność. Leżałam tak, patrząc w sufit, i umacniałam się w przekonaniu, że powinnam o sprawie Blanki jak najszybciej zapomnieć. To nie miało sensu. Żadnego. Naprawdę.

Żeby być konsekwentną, usiadłam na łóżku, poprawiłam sobie poduszkę i sięgnęłam po książkę. Ostatnie dni wakacji spędzę właśnie tak – na wypoczynku i relaksie. Postanowione.

Choć na początku musiałam się trochę postarać, żeby mój mózg skupił się na tym, co czytam, a nie na układaniu kolejnych teorii zbrodni, to już po kwadransie poczułam cudowną błogość, którą pamiętałam z czasów, kiedy jeszcze nie byłam ani żoną, ani matką. Błogość ta polegała na zapomnieniu o bożym świecie i czerpaniu z lektury radości i satysfakcji bez żadnych ograniczeń.

Więc czytałam sobie w najlepsze, podczas gdy moja matka spała, cicho pochrapując przez nos. Nawet to, że koło dziewiątej wstała i zaczęła się kręcić po pokoju, mi nie przeszkodziło.

– Co robisz? – zainteresowała się w pewnym momencie, choć przecież doskonale widziała książkę w moich rękach.

– Ćwiczę pływanie synchroniczne – wzruszyłam prawie niezauważalnie ramionami.

– A coś ty taka niemiła dzisiaj? – prychnęła matka.

Tym razem nie zamierzałam jej odpowiadać, bo poza wszystkim lektura naprawdę mnie wciągnęła.

Matka generalnie raczej się mną nie interesowała, jednak kiedy nie daj boże poczuła się zlekceważona, wytaczała cały arsenał środków, żeby powrócić w mojej hierarchii na należne jej miejsce.

– Wstałaś lewą nogą czy co? – spytała więc, próbując wymusić na mnie konwersację.

Już miałam jej odpowiedzieć, kiedy do drzwi naszego bungalowu ktoś zapukał.

– Kto to może być? – rzuciła matka w przestrzeń, tak jakbym mogła mieć na ten temat jakąkolwiek wiedzę.

– Nie wiem, mamoo... – westchnęłam.

– Otwórz, to się przekonamy.

Odłożyłam książkę, podniosłam się niechętnie i podeszłam do drzwi.

Myślałam, że ujrzę za nimi Sylwestra, może Wojtka, ewentualnie Rachonia, ale na pewno nie osobę, którą zobaczyłam. Bo za drzwiami stała żona Dukaja. Sama. Taka... nieoblepiona dziećmi wyglądała dużo młodziej i ładniej.

– Ojej, to pani! – ucieszyłam się. – Proszę, proszę wejść!

Kobieta potrząsnęła głową.

– Nie, ja tylko na moment. Pani była taka miła ostatnio i powiedziała, że gdybym potrzebowała pomocy...

– Ależ oczywiście! Co się stało?

– Właściwie nic... Tylko mąż znowu idzie latać na tym – zawahała się – cholernym skrzydle, a ja obiecałam dzieciom plażę. I tak sobie pomyślałam, gdyby pani też się wybierała, to może mogłybyśmy pójść razem.

Widziałam na jej twarzy napięcie, a w oczach niepewność. Przedziwne, że ta drobna prośba aż tyle ją kosztowała.

– Super! – ucieszyłam się. – Bardzo chętnie! Kiedy idziemy?

Dukajowa odetchnęła z ulgą.

– Gdzieś za godzinę może być?

– Może. Podejdę pod panią – uśmiechnęłam się. Propozycja wspólnego spędzenia czasu naprawdę bardzo mi się spodobała.

– To ja czekam! Aha, możemy mówić sobie po imieniu? Monika jestem – wyciągnęła do mnie rękę.

– Magda...

Odeszła, rozradowana.

Zamknęłam drzwi i odwróciłam się do matki.

– Słyszałaś? – spytałam, choć musiała słyszeć.

– Oczywiście. Biedna dziewczyna – skomentowała matka.

– Mamo, co ty mówisz? – jęknęłam. – Jaka biedna? Ona jest żoną najpopularniejszego aktora w Polsce!

– No właśnie... – odrzekła matka, kiwając smutno głową.

Czy urlop z dziećmi w ogóle można nazwać urlopem? No może można, ale wypoczynkiem na pewno nie. Doskonale to pamiętałam z czasów naszych wspólnych wyjazdów nad morze, kiedy od mniej więcej drugiego, trzeciego dnia jedynym moim marzeniem było wrócić wreszcie do domu.

Uważam, że głównym problemem przeciętnej matki na wyjeździe jest logistyka.

W domu znamy każdy centymetr kwadratowy powierzchni, mamy przetestowane procedury i trasy. Na wakacjach wszystko jest nowe i musimy się tego w pocie czoła uczyć.

W domu dzieci mają swoje pokoje i są w stanie zająć się same sobą przez całkiem

spory wycinek czasu, na wakacjach każdą aktywność chcą wykonywać z rodzicami.

No i najgorsze – żywienie. Każda matka przygotowuje w domu swojemu dziecku to, co mu najlepiej smakuje. Na wakacjach albo musi spędzać długie godziny, próbując karmić pociechy na tak zwanym mieście, albo gotuje sama na obcej ziemi, czyli w średnio przystosowanej do tego kuchni, co zabiera prawie tyle samo czasu co wpychanie do małych dzióbeków ohydnych dań z restauracji.

Nie wiem, prawdopodobnie istnieją matki, które wakacje z dziećmi uwielbiają, ale ja do nich nie należałam.

Kiedy podeszłam pod domek Dukajów, zobaczyłam coś, co wyglądało jak mienie przemieszczone sporego koczowniczego plemienia. Składały się nań: wózek, dmuchane koło, dmuchana piłka, plastikowe wiaderka, łopatki, dwa duże ręczniki i składany parasol. Patrząc na tę kolorową i niestabilną pryzmę, miałam dwie refleksje. Pierwsza: jaki to cud, że moje dzieci pojechały z ojcem na narty. Druga: Dukaj to kawał cholernego cwaniaka.

Chodź na początku nie obstawiałam sukcesu, udało nam się jakoś to wszystko zabrać na jeden raz i ruszyliśmy w kierunku schodków prowadzących na plażę. Nie zrobiłyśmy nawet połowy drogi, a już byłam zgrzana i umęczona, a co dopiero miała powiedzieć Monika, która oprócz tych pakunków, których ja już nie dałam rady unieść, dźwigała jeszcze na biodrze najmłodsze dziecko?

A jednak kiedy w końcu udało nam się dotrzeć na plażę, wszelkie przeciwności losu w cudowny sposób znikły. Monika rozłożyła na białym piasku kilka ręczników, szybko i z wprawą tworząc coś w rodzaju placyku zabaw dla najmłodszego dziecka. Staś i jego siostra przestali narzekać i joczyć, bardzo grzecznie pozwolili się matce nasmarować kremem i pobiegli na płyciznę, taplać się w wodzie. Ja również, nauczona doświadczeniem, posmarowałam się na grubo i zaległam w cieniu parasola. To mogło być całkiem miłe przedpołudnie.

– Ile ma? – spytałam, obserwując, jak Monika przewija najmłodsze dziecko.

– Rok i miesiąc.

– Słodki... – uśmiechnęłam się do małego. – Naprawdę was podziwiam. Zabierać takie maleństwo w podróż...

Monika roześmiała się.

– Kajtek jest bezproblemowy. W przeciwieństwie do rodzeństwa. To z nimi jest zamieszanie, nie z nim. – Zakleiła pieluchę i posadziła małego na ręczniku. – Mówiłaś, że masz dwoje. W jakim wieku?

– Córnica osiem, syn jedenaście. Wszyscy mi mówili, że najlepsza różnica trzy lata, że wtedy już dzieciaki nie rywalizują ze sobą i w ogóle z górki. Ale moi ciągle w konflikcie.

– U nas też trzy! – ożywiła się Monika. – I tu, i tu. Między Stasiem i Helenką i między Helenką a Kajetanem. I też nie jest idealnie.

– Chyba nigdy nie jest – pocieszyłam siebie i ją. – Najmniej konfliktów powoduje jednak. No ale to już nam nie grozi.

Roześmiałyśmy się i nagle pojawiła się między nami zaskakująca nić

porozumienia i bliskość podobnego losu.

– Przepraszam, może nie powinnam pytać, ale... – odezwała się ostrożnie Monika. – Jak to się stało, że przyjechałaś bez nich?

No i na tym się podobieństwa naszego losu skończyły.

Odchrząknęłam, bo ciągle jeszcze nie miałam łatwości w rozmowie na te tematy.

– Są z ojcem. Jesteśmy po rozwodzie

Monika natychmiast spoważniała.

– Och, tak mi przykro... Dawno się rozeszliście?

– Miesiąc temu.

– Czyli jesteś na świeżo. I jak sobie dajesz radę?

Zastanowiłam się chwilę, a potem odpowiedziałam z głębokim przekonaniem:

– Wiesz co, całkiem nieźle.

Zapanowała niezręczna cisza. Monika chyba wyczuła, że nie mam ochoty dalej o tym rozmawiać.

– Dziękuję ci, że tu ze mną przyszedłeś – zmieniła temat, a przynajmniej myślała, że zmienia. – Sama nie dałabym rady z tymi wszystkimi bambetłami i jeszcze z dziećmi.

Może to nie było zbyt eleganckie z mojej strony, ale nie mogłam sobie darować:

– A Filip szaleje na kite...

– Och, tak. Dzisiaj są podobno bardzo dobre warunki.

– Wczoraj też były – zauważyłam niewinnie.

– Fakt. On bardzo lubi takie nietypowe sporty. Adrenalina, rozumiesz – uśmiechnęła się. – Na popołudnie umówił się na nurkowanie.

Nie wierzyłam własnym uszom.

– Czyli po południu znowu zostaniesz sama z dziećmi?

Monika machnęła ręką.

– Spoko. Dam radę. On już tak ma. Lubi korzystać z życia. Nie usiedzi długo w jednym miejscu. Takiego go kocham.

Ja ze swoją przeszłością bezwolnej meduzy nie bardzo miałam prawo się wymądrzać, ale przez ostatnie pół roku moje patrzenie na związki jednak trochę się zmieniło. I nie bardzo mi się spodobał ton usprawiedliwienia, który zabrzmiał w głosie Dukajowej.

– A twój odpoczynek? – zaczęłam drążyć. – Przecież ty też tu przyjechałaś na wakacje.

– Daj spokój, jakie wakacje, przecież ja nie pracuję – wyjaśniła łagodnie Monika. – To Filip nas utrzymuje. Pracuje bez przerwy, kręci film za filmem. To on musi zregenerować siły, nie ja.

Zanurzyłam rękę w gorącym piachu i zaczęłam przesiewać go między palcami. Miał konsystencję mąki i pokrył moją wilgotną skórę cieniuteńką białą warstwą, a kiedy potarłam o siebie dłonie, leciuteńko zazgrzytał. Tak samo leciuteńko w moich uszach zazgrzytały słowa Moniki. Nie mogłam tego zrozumieć, choć jeszcze niedawno identycznie wyrażałam się o Tomku. Dopiero teraz, po ostatnich kilku

miesiącach, nagle zrozumiałam, ile się we mnie zmieniło. Jak inaczej zaczęłam na pewne rzeczy patrzeć. Szok.

– Ja siedziałam w domu z dziećmi dwanaście lat – wyznałam. – To, że wróciłam do pracy, uważam za najlepszą decyzję w moim życiu.

– No widzisz, a ja nie mam do czego wracać. Wysłałam za męża, gdy jeszcze byłam na studiach...

– O, a co studiowałaś? – spytałam odruchowo.

– Architekturę krajobrazu na SGGW. Nic szczególnego. Zresztą i tak nie skończyłam.

Na chwilę zamilkła.

– Wiesz, po prostu wszystko zależy od priorytetów. Dla mnie małżeństwo z Filipem to jest jak wygrana na loterii! Ja, szara myszka, i najpopularniejszy aktor w Polsce. Możesz sobie wyobrazić, jak ja się czułam, kiedy mnie poprosił o rękę? Jak w bajce. I wciąż tak się czuję. Filip jest cudowny. Taki żywiołowy, radosny. I jest fantastycznym ojcem. Bez przerwy wymyśla dla dzieci jakieś szalone zabawy. Przepadają za nim.

Akurat z tym „bez przerwy” to bym mogła polemizować, bo właśnie miał przerwę, i to całkiem długą. No ale dobra, zostawmy to, pomyślałam i spojrzałam w kierunku oceanu, który dzisiaj wyglądał wyjątkowo pięknie, a potem przeniosłam wzrok na bawiące się na plaży dzieci. Helenka właśnie rzuciła wiaderko i puściła się biegiem w naszą stronę, krzycząc na całą plażę:

– Mamo, ja chcę do łazienki!

W oczach Moniki zobaczyłam panikę. Och, jak ja ją dobrze rozumiałam. Samo wspomnienie podobnych sytuacji, przeżytych w supermarketach, kinach i ogrodach zoologicznych wywoływało ciarki na moich plecach.

– Kotku – jęknęła Dukajowa. – A nie wytrzymasz trochę? Posiedzimy jeszcze z godzinkę i pójdziemy, co, słoneczko moje?

Buzia dziewczynki wygięła się w podkówkę.

– Mamusiu, ja chcę teraz! Muszę!

Prerażona Monika omiotła wzrokiem nasz mały obóz, ale było jasne, że zwinięcie go i powrót do domu zająłby zbyt dużo czasu. Widziałam, że gorączkowo się zastanawia, jak rozwiązać problem. Zwłaszcza że pozostawienie pozostałych dzieci samych nie wchodziło w grę.

– Pójdę z Helenką – zaoferowałam się.

– Nie, nie, bez przesady. Ja pójdę, a ty popilnujesz chłopców, dobrze?

Zaczęła się podnosić, kiedy Kajtek, który jakimś szóstym zmysłem wyczuł, że mama chce go zostawić, wybuchnął płaczem.

– Kajtuś, już, już, spokój... – porwała małego na ręce i zaczęła nim energicznie kołysać.

Nachyliłam się nad dziewczynką i spytałam:

– Hela, pójdiesz z ciocią?

Mała bez protestów włożyła swoją dłoń do mojej.

– Och, dziękuję! – powiedziała z uczuciem Monika. – To bardzo miłe z twojej strony!

Ruszyłam w kierunku schodów, kiedy Monika krzyknęła:

– Moment!

Szybko przegrzebała swoją torebkę i wyjęła z niej klucze do domku.

– Proszę – podała mi. – Mam nadzieję, że zdążycie.

ROZDZIAŁ 24

Zdążyliśmy. Co prawda prawie całą drogę bieglyśmy, a na ostatniej prostej wzięłam małą na ręce, ale się udało. Dopadliśmy do łazienki w ostatniej chwili, całe szczęście, że Helenka miała na sobie tylko majteczki, a nie jednoczęściowy kostium kąpielowy, bo byłoby krucho.

Posadziłam ją na toalecie i odwróciłam się dyskretnie.

Łazienka była większa niż w naszym domku i panował w niej rozgardiasz charakterystyczny dla rodzin z dziećmi – suszące się dziecięce ubranka, zabawki, mnóstwo przeróżnych słoiczków, butelek i buteleczek, rozłożony przewijak. Znałam ten krajobraz bardzo dobrze. Z ciekawości zaczęłam ogląda stojące na półce kosmetyki z jakiejś pielęgnacyjnej serii dla niemowląt, kiedy nagle jedna z tubek wysunęła mi się z ręki i upadła na ziemię.

– To kremik Katjka – powiedziała Helenka. – Na pupę.

Kiedy schyliłam się, żeby go podnieść, na wysokości moich oczu znalazł się ażurowy kosz na brudy, stojący pod umywalką. Popatrzyłam na niego mimochodem i zamarłam.

Spod pokrywy wystawał kawałek zielonego materiału z jakimś różowym elementem.

Przełknęłam ślinę.

Czy to możliwe?

Już wyciągałam rękę, żeby otworzyć kosz, ale obecność dziecka mnie powstrzymała. Wyprostowałam się i w tym samym momencie dziewczynka powiedziała:

– Już.

Dwie minuty później wypchnęłam Helenkę z łazienki do pokoju.

– Poczekaj sekundkę. Zaraz do ciebie przyjdę – powiedziałam i szybko zamknęłam za nią drzwi.

Jednym skokiem znalazłam się przy koszu na brudy i podniosłam pokrywę. Na samym wierzchu leżała zielona męska koszula w różowe flamingi.

– Niemożliwe – jęknęłam.

A potem przykryłam z powrotem kosz i wyszłam z łazienki.

– Chodź, Helenko, idziemy do mamy – wzięłam ją za rączkę i wyszliśmy z bungalowu, a ja musiałam się bardzo pilnować, żeby nie zacząć głośno kłąć.

Dawno nie byłam tak wkurzona. Dawno.

Po drodze próbowałam uporządkować myśli. Dukaj, klasyczny Piotruś Pan, zapatrzony w siebie i skupiony wyłącznie na własnych przyjemnościach. Podobno lubił adrenalinę? No to Blanka musiała być dla niego idealną adrenaliną. Kto by pomyślał? Przykładowy mąż i ojciec trójki dzieci! Zaraz, co on ostatnio reklamował? Apartamenty w Wilanowie. Wygodne, przestronne, rodzinne! To dlatego tak się krył z tym romanssem. O ile to w ogóle można było nazwać romanssem. Gdyby wyszło na jaw, że Dukaj zdradza żonę, i to w tak bezczelny sposób, jego popularność mierzona rolami i reklamami spadłaby w dół na łeb, na szyję.

Chociaż sądząc z tego, jak szybko mu poszło nawiązanie znajomości z Blanką, wierność raczej nie była jego mocną stroną. Ciekawe, czy Monika przeczuwała, że ją zdradza. Przypomniałam sobie własną historię z rachunkiem za perfumy sprzed pół roku. Choć próbowałam sobie tłumaczyć jego obecność w kieszeni mojego męża na wiele sposobów, gdzieś w głębi serca od początku wiedziałam, że kupił je dla kochanki. Gdyby nie intuicja, prawdopodobnie do dziś byłabym żoną zdrajcy.

Czy Monika też coś czuła? Coś podejrzywała?

Jednak zanim doszłam do jakichś wniosków, dotarliśmy na plażę.

Sytuacja tutaj się nie zmieniła. Monika z Kajtkiem zajmowali ręczniki rozłożone w cieniu parasola, a Stasiek tuż nad wodą prznosił kolejne kubełki piachu, usypując z niego jakąś niezidentyfikowaną, bezkształtną formę. Oddałam Helenkę matce, ale tym razem zamiast w cieniu, usiadłam na słońcu. Może dlatego, że czynność opalania wydawała się jakimś śladowym pretekstem do tego, żeby się nie odzywać.

Rozciągnęłam się na ręczniku, wystawiłam twarz do słońca i zaczęłam się zastanawiać, jak sobie poradzić z wiedzą, w której posiadanie tak nagle weszłam.

Problemy były dwa. Pierwszy, właściwie podstawowy: czy to Dukaj zamordował Blankę? Zdawałam sobie świetnie sprawę z tego, że zdobycie dowodów może być bardzo trudne.

Ale nawet jeżeli nie zamordował, to się z nią bzykał. I tu pojawiał się problem drugi, z pozoru mniej ważny, który przerabiałam już w przypadku Blanki i Wojtka. Czy mówić małżonkowi o zdradzie drugiego małżonka, czy lepiej to przemilczeć?

Poprzednim razem Elka poradziła mi, żebym nie interweniowała. Jak ona to wtedy ujęła? Że Blanka i Wojtek są dorośli, a dorośli ludzie sami rozwiązują swoje problemy? Teraz, chyba pierwszy raz w historii mojej przyjaźni z Elką, uznałam, że nie zastosuję się do jej rady. Również dlatego, że czym innym jest wtykanie nosa w nie swoje sprawy, kiedy dotyczą bezdzietnej pary (przynajmniej tak wtedy myślałam o Blance i Wojtku), a czym innym, kiedy mówimy o małżeństwie z trójką dzieci. Dukaj robił swoją żonę w trąbę, lekceważył ją i poniżał kompletnie bezkarnie, i czułam bardzo wyraźnie, że nie powinno mu to ujsć na sucho. Nie wiem, czy umiałabym sobie wybaczyć, gdybym nie spróbowała Monice otworzyć oczu.

Uniosłam się na łokciach i przez chwilę obserwowałam, jak przekłada strony

ceratowej książeczki, pokazując Kajtkowi ilustracje zwierząt i powtarzając wyraźnie ich nazwy.

– SŁOŃ! To jest słoń. Słoń ma trąbę. A to jest lew. LEW.

– Wiesz, że wszystkie moje przyjaciółki kochają się w Filipie? – zaczęłam ostrożnie.

Monika pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Moje tak samo. W ogóle kobiety za nim szaleją. Cały czas musi się od nich oganiać...

No chyba że w tym oganianiu robi sobie przerwę, pomyślałam, ale brnęłam dalej:

– A ty nie jesteś o niego zazdrosna?

Monika roześmiała się.

– Ja? Ja jestem straszliwie zazdrosna! Nawet sobie nie wyobrażasz, jak...

W tym momencie padł na mnie czyjś cień. Obejrzałam się. Tuż za mną stał Dukaj we własnej osobie. Uśmiechnięty i zadowolony, prężący muskuły w czarnej piannie. Lepszego momentu na pojawienie się nie mógł sobie wybrać.

– I właśnie z tego powodu nigdy, ale to przenigdy nie damę mojej kochanej żonie powodów do zazdrości – rzucił lekko. – Jest najważniejszą kobietą w moim życiu i staram się, żeby o tym nie zapomniała.

Zabrzmiało to tak fałszywie, że aż mnie zaboląły zęby.

– Filip! – ucieszyła się Monika. – Cudownie, że już jesteś. Znasz Magdę? Mieszka tuż obok nas. Bardzo mi dzisiaj pomogła.

– No widzisz, wiedziałem, że sobie świetnie dasz radę – uśmiechnął się do żony, a potem obrzucił mnie szybkim, ciekawym spojrzeniem.

Pomyślałam, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent kobiet w Polsce dałoby dużo, żeby tylko wzrok Dukaja się na nich zatrzymał. Ja niestety znajdowałam się w tym pozostałym jednym procencie.

– Jak mogę nie znać? Córka pani Sarneckiej, prawda?

– Owszem...

– Czytałem, czytałem. Świetne książki. Gdyby kiedyś miało dojść do ekranizacji, proszę koniecznie przekazać mamie, że się polecam.

Monika pokręciła głową.

– Filipku, ty to kompletnie nie masz wyczucia – skarciła go pogodnie. – Magda, nie przejmuj się, on zawsze szybciej mówi niż pomyśli.

Dukaj opadł na piasek obok najmłodszego synka i zaczął go łaskotać, powodując u małego radosne wybuchy śmiechu. No sielanka.

Wstałam i zaczęłam zbierać swoje rzeczy.

– Skoro pan Filip już jest, to polecę. Nie zauważyłam, że już tak się późno zrobiło, a umówiłam się z mamą na lunch – co oczywiście nie było prawdą, ale nie zamierzałam dalej patrzeć, jak ten obłudnik udaje wzorowego męża i ojca.

– Leć, leć, jasne. Bardzo ci jeszcze raz dziękuję za pomoc.

Otrzeptałam ręcznik z piasku, wrzuciłam go do torby i ruszyłam szybko

w kierunku hotelowych schodów. Musiałam stamtąd zniknąć, zanim rzucę się na Dukaja z pięściami.

– Sylwester cię szukał – zakomunikowała matka znad laptopa. – Chciał cię zabrać na ten latawiec. Było mu przykro. Jak się z kimś umawiasz...

– Nie umawiałam się z nim – warknęłam. – Mogłabyś przestać pisać na chwilę?

Musiało coś być w moim głosie takiego, co matkę zaintrygowało, bo oderwała wzrok od ekranu i zamiast wygłosić wykład na temat przerywania pracy, spytała:

– Co się stało?

Opadłam na fotel.

– Mamo, to Dukaj. Blanka miała romans z Dukajem – wyrzuciłam z siebie. – Co za gnojek... Jak on tak może? Ta jego żona, Monika...

– A widzisz, mówiłam, że biedna – przypomniałam mi matka z satysfakcją.

– Ty wiedziałaś, że on ją zdradza z Blanką? – zdenerwowałam się jeszcze bardziej.

– Nie, kotek. Akurat o Blance nie wiedziałam. On mi po prostu wyglądał na śliskiego typu. Takiego, co to się lubi zabawić na boku. Co zamierzasz?

– Powiedzieć jej – oświadczyłam butnie. – I powiedzieć jemu.

– No to ja ci chcę przypomnieć, że w tej całej historii najważniejsza nie jest zdrada, ale morderstwo. Dlatego radzę ci, zanim mu zrujnujesz małżeństwo, spróbuj dowiedzieć się od niego jak najwięcej na temat śmierci Blanki. Bo jeżeli jest sprawcą, to i tak kwestia niewierności schodzi, że tak się wyrażę, na drugi plan.

Kilka razy odciągnęłam od spoconego ciała dekolt sukienki, żeby choć trochę się ochłodzić.

– Masz rację, niestety. Przy czym jest też opcja, że na temat śmierci Blanki nic mi nie powie. I wtedy nie ma szansy, żebyśmy mu cokolwiek udowodniły.

Matka westchnęła.

– Wolałabym, żebyś używała liczby pojedynczej – zwróciła mi delikatnie uwagę, a ja się poczułam bardzo swojsko, bo podobne teksty nie raz i nie dwa padały z ust Sikory. – Mój limit uwagi dla ciebie już się na dzisiaj wyczerpał. Sio!

Weszłam do domku. Ciągle jeszcze byłam zdenerwowana i zła, ale przynajmniej pierwsze emocje opadły i teraz musiałam się zacząć zastanawiać, jak rozegrać rozmowę z Dukajem. Bo to, że nie będzie prosta, tego akurat byłam pewna.

– Olu kochana, mogłabym się zapisać na nurkowanie?

Stałam oparta o ladę recepcji i patrzyłam, jak dziewczyna monotonnym ruchem palca scrolluje Instagram. Mój głos sprawił, że gwałtownie odsunęła telefon od siebie i poderwała się z miejsca.

– Oczywiście. Pani jest zaawansowana czy początkująca?

– Jeszcze nigdy nie nurkowałam.

– A na kiedy by się chciała pani zapisać?

– Jeszcze na dzisiaj. Dałoby radę? Filip, to znaczy pan Dukaj, mówił, że idzie nurkować po południu. Gdyby udało się pani mnie tam wcisnąć na tę samą lekcję... – uśmiechnęłam się do niej porozumiewawczo.

– To tak nie działa – wyjaśniła mi dziewczyna. – Każdy instruktor zabiera ze sobą jednego ucznia, więc raczej nie uda się pani zapisać na tę samą lekcję co pana Dukaja.

– A o której on tam będzie? I gdzie? Może bym sobie z nim chociaż fotkę zrobiła? – spytałam, szybko czując, że kto jak kto, ale Ola bardzo mnie dobrze rozumie.

Dziewczyna otworzyła komputer i zaczęła coś sprawdzać.

– Pan Dukaj ma lekcję o szesnastej. Baza nurkowa jest przy szkole kite'a – powiedziała dyskretnym szeptem.

– To wiesz co, jeżeli nie mogę się zapisać razem z panem Dukajem, to sobie odpuszczę – puściłam do niej oko. – Rozumiesz, bez niego to już nie będzie takie atrakcyjne.

Ola chyba rozumiała.

– Jasne. Ale gdyby się pani namyśliła, to jest dużo wolnych miejsc na inne godziny. Bez problemu coś pani znajdę.

Odeszłam, w pełni usatysfakcjonowana. Właśnie taką informację chciałam zdobyć.

ROZDZIAŁ 25

Mniej więcej w połowie drogi między hotelem a szkołą kite'a z plaży wyrastały wysokie słupy, na których umieszczono drewniany, zadaszony pomost, podobno dwa razy w tygodniu odbywały się tutaj sesje jogi. W jego cieniu postanowiłam poczekać na Dukaja.

Pojawił się tuż przed czwartą. Ubrany w luźne szorty i kolorową koszulkę na ramiączkach, wyglądał z daleka jak dwudziestolatek, a moja niechęć do niego podskoczyła o ładnych kilka punktów. Stałam przyklejona do jednego ze słupów niczym omulek, więc mnie nie zauważył. Zobaczył mnie dopiero, kiedy zrobiłam krok w jego stronę.

– O, pani Magda – zdziwił się. – Pani też na nurkowanie?

– Nie. Ja do pana. Mam sprawę.

Dukaj pokręcił przecząco głową.

– Nie, nie, tylko nie teraz. Jestem umówiony.

– Wiem. Proszę odwołać.

Patrzył na mnie, zdziwiony.

– Jak to odwołać?

Mogliśmy to tak jeszcze długo ciągnąć, ale nie bardzo mi się chciało.

– Zwyczajnie, niech pan zadzwoni do tych nurków i powie im, że pana nie będzie.

– Pani żartuje?

– Musimy porozmawiać o Blance.

Jednak go nie doceniłam. Zamiast wpaść w panikę, zmarszczył tylko brwi i zapytał spokojnie:

– O jakiej Blance?

Ty dziadu, pomyślałam.

– O tej, która utonęła w basenie. I z którą się pan bzykał.

Powieka mu nawet nie drgnęła. Oscarowa rola.

– Ach, kojarzę, oczywiście... – pokiwał głową. – Tylko że ja tej pani nie znałem. To znaczy widziałem ją może raz czy drugi w restauracji, to wszystko.

Przyznam, że nie spodziewałam się aż takiej bezczelności z jego strony.

– Biegnę, bo mi lekcja przepadnie – rzucił lekko i ruszył w kierunku bazy nurkowej.

Musiałam natychmiast coś wymyśleć.

– Mam zdjęcia! – krzyknęłam za nim.

Zatrzymał się. Widziałam, że się waha. W końcu zawrócił i podszedł do mnie, teraz już naprawdę zły.

– Błefuje pani.

Oczywiście, że błefowałam. Ale jakoś musiałam go zmusić do mówienia.

– Zdaje się, że ma pan taką oryginalną koszulę. Zieloną w różowe flamingi, prawda? Gdzie pan ją kupił, panie Filipie? Pamięta pan czy mam zapytać żonę?

Jeżeli do tej pory mogłam mieć wątpliwości, czy moje podejrzenia są słuszne, w tym momencie się ich pozbyłam, bo jego twarz zrobiła się kredowobiała, a na czoło wystąpiły kropelki potu. Wyglądał, jakby miał mnie zamiar uderzyć.

– Nie odważysz się! – najwyraźniej przestał zwracać uwagę na formy grzecznościowe.

– Chcesz się przekonać?

Zaprowadził mnie do niewielkiej knajpki na plaży, o tej porze zupełnie pustej. Usiedliśmy w najdalszym kącie, żeby nikt nas nie mógł usłyszeć. W końcu językiem polskim władali w okolicy prawie wszyscy.

– Co chcesz wiedzieć? – zapytał zachrypniętym głosem.

Pierwszym pytaniem, jakie cisnęło mi się na usta, było: czy ją zabiłeś? Ale bezpośredniość, która sprawdziła się w przypadku Wojtka, na Dukaja mogła nie zadziałać.

– Wszystko o tamtej nocy, kiedy zginęła – odparłam.

– Po co? Przecież to był wypadek?

– Tak twierdzi policja. A ja uważam, że została zamordowana.

Dukaj wziął ze stolika plik serwetek i otarł nimi czoło.

– Morderstwo? Chcesz mnie wrobić w morderstwo?

– Nie chcę pana wrabiać. Chcę się dowiedzieć, co się wtedy stało – odparłam dyplomatycznie.

– Dlaczego myślisz, że coś wiem?

– Bo pan tam wtedy był.

– Masz na to jakiś dowód?

– Mam – rzuciłam hardo.

– Jestem bardzo ciekawy, jaki. Słucham uważnie.

Nie wiedziałam, jak to rozegrać. Drugi raz bluff by nie przeszedł. Więc powiedziałam pierwsze, co mi przyszło do głowy:

– Blanka miała w kieszeni szlafroka prezerwatywę.

Dukaj patrzył na mnie przez chwilę, jakby nie wierzył w to, co usłyszał, po czym parsknął śmiechem.

– Czy była podpisana moim imieniem i nazwiskiem?

Odchylił się na krześle do tyłu i założył ręce za głowę. Znowu zaczął wyglądać na

zrelaksowanego i zadowolonego z siebie.

– Nie, ale to znaczy, że umówiła się na seks. Mieliście romans. Wystarczy dodać dwa do dwóch.

– Jeżeli na ten nasz niby romans masz takiej samej jakości dowody, to idę nurkować.

Do naszego stolika podszedł kelner, położył przed nami menu, uśmiechnął się i odszedł. Wzięłam laminowaną kartę do ręki i zaczęłam się nią wachlować. Powietrze owiewało mi policzki i chłodziło skórę, ale w żaden sposób nie mogło zatrzymać panicznej galopady moich myśli.

Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie tę rozmowę. Liczyłam, że Dukaj, poruszony wyrzutami sumienia, otworzy się przede mną, zdradzając szczegóły, które go pogrążą. Niestety, na to się nie zanosilo.

– Powie mi pan, co się stało tamtej nocy? Bo będę musiała zapytać pana żonę – postanowiłam przestać się z nim cackać.

Dukaj, który jeszcze przed chwilą czuł nade mną przewagę, nagle znowu znalazł się na gorszej pozycji. Bałam się, że zaraz wstanie i wyjdzie, przecież i tak w żaden sposób nie byłam mu w stanie zaszkodzić. A jednak z jakiegoś powodu został.

– Dlaczego tak ci na tej informacji zależy? – zapytał.

Odetchnęłam głęboko.

– Bo chcę wiedzieć, kto zabił Blankę. Albo przynajmniej przyczynił się do jej śmierci.

– Czyli tak, jak mówiłem, chcesz mnie wrobić w morderstwo – wypomniał mi. – A ja ci mówię, że jej nie zabiłem. Dlaczego miałbym to robić?

– Nie wiem – wzruszyłam ramionami. – Może ona chciała powiedzieć pana żonie, że się bzykacie...

Dukaj jęknął.

– Ale myśmy się nie bzykali! Mieliśmy to w planach, owszem, ale... nie zdążyliśmy!

– Więc co się stało tamtej nocy?

Oczywiście dokładnie w tym momencie pojawił się kelner. Chyba nie liczył specjalnie na to, że coś zamówimy, dlatego kiedy Dukaj poprosił o piwo, uśmiechnął się szeroko i odszedł, zadowolony.

– Mieliśmy się wieczorem spotkać nad basenem, potem skoczyć w jakieś bardziej ustronne miejsce – zaczął. – Nie umówiliśmy się na konkretną godzinę, bo nie wiedziałem, o której uda mi się wyrwać z domu. I faktycznie, akurat tego dnia mały był wyjątkowo marudny, Monika długo go usypiała, a ja się musiałem zająć pozostałą dwójką. Zeszło mi prawie do jedenastej. Jak wszyscy w końcu usnęli, wziąłem aparat i powiedziałem żonie, że idę robić zdjęcie nieba.

– Nie bał się pan, że żona będzie chciała pójść z panem?

– Skąd. Nie zostawiłaby dzieci nawet na minutę samych. Syndrom Madeleine. To ta dziewczynka, którą porwano z hotelowego pokoju, kiedy spała. Moja żona ma prawdziwą obsesję na tym punkcie. Mogłem być pewny, że nigdzie się nie ruszy.

Od strony baru nieśpiesznym krokiem nadszedł nasz kelner i przed Dukajem wylądowała wąska, brązowa butelka piwa Serengeti. Kelner postawił na stole również szklanę.

Dukaj chwycił butelkę i wlał sobie do gardła prawie całą jej zawartość naraz. Kelner uśmiechnął się szeroko.

– Dobrze. Zimne – powiedział i odszedł.

Dukaj opróżnił butelkę do końca i wrócił do swojej historii.

– No więc zrobiłem może dwa, może trzy kroki, kiedy światła na zewnątrz zgasły. Pomyślałem, że to się bardzo dobrze składa, w sensie dla moich planów z Blanką. Sięgnąłem po komórkę, żeby sobie oświetlić drogę, no i się zorientowałem, że jej nie mam. Zawróciłem do domku. Monice coś się tam jeszcze przypomniało, zamieniłem z nią parę słów i po jakichś dziesięciu minutach wyszedłem znowu. Nad basenem byłem pięć minut później.

– Widział pan kogoś po drodze?

– Nikogo. Zresztą, rozumiesz, było ciemno. Wszędzie, nad basenem też, dlatego początkowo Blanki nie zauważyłem. Dopiero kiedy usiadłem na leżaku, zorientowałem się, że leży na nim szlafrok. Pomyślałem, że to na pewno jej. Zacząłem się rozglądać i wtedy ją zobaczyłem. Pod wodą. To było straszne.

Zgarbił się i ukrył twarz w dłoniach. No prawie mi się go zrobiło szkoda. Ale to był zaledwie moment.

– I co pan zrobił? Próbował ją pan ratować? Jakoś pomóc?

Dukaj w odpowiedzi zgarbił się tylko jeszcze bardziej, jakby zapadł się w sobie. Chwilę trwało, zanim był w stanie na mnie spojrzeć.

– Nie – powiedział cicho. – W tym momencie zapaliły się światła. Przestraszyłem się. Zostawiłem ją i uciekłem.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc milczałam. Byłam wstrząśnięta.

– Nie żyła – odezwał się mężczyzna. – Jestem tego pewien. Nawet gdybym ją wtedy wyciągnął z wody, nic by to nie dało. A nie mogłem dopuścić, żeby mnie połączono z Blanką, z jej śmiercią. Byłem przerażony. Bałem się, że Monika się dowie, że to mi zrujnuje małżeństwo i karierę.

– Zrujnuje małżeństwo? Przecież sam pan je zrujnował – stwierdziłam gorzko.

Tak jak się można było domyśleć, Dukaj miał na ten temat inne zdanie. Oparł łokcie o stolik i nachylił się do mnie.

– Co ty możesz o tym wiedzieć? Moje małżeństwo ma się świetnie. Owszem, zdarzają mi się skoki w bok, ale to nie zmienia faktu, że rodzina jest dla mnie najważniejsza.

Wyglądało na to, że wierzył w to, co mówi.

– Czyli nic pan nie widział, nic pan nie słyszał?

– Nie. Dlatego przyznam, że trochę mi trudno uwierzyć w tę twoją teorię o morderstwie. Ona się po prostu utopiła. To się zdarza.

– Blanka nie mogła się sama utopić. Miała paniczny lęk przed wodą. Nie weszłaby do basenu – wyjaśniłam. – Ona ledwo była w stanie zamoczyć stopy.

Dukaj wziął do ręki pustą butelkę po piwie, wylał sobie z niej ostatnie krople do gardła.

– Czasami dzieją się rzeczy, których się nie da wytłumaczyć – powiedział. – Zostaw to. Nic nie wskórasz.

Wstał od stołu.

– Rozumiem, że cała sprawa zostaje między nami?

– Tak – odparłam niechętnie. – Pozdrowienia dla żony.

– Dziękuję. Nie przekażę.

I odszedł, zostawiając mnie z niczym.

To był kolejny znak, że powinnam sobie tę sprawę odpuścić. I tak postanowiłam zrobić. No może jeszcze tylko jedna malutka konsultacja z Sikorą i zamykamy temat.

A ostatnie dni, które mi pozostały do wyjazdu, spędzę na plaży, paląc się na skwarę. Przynajmniej to mi z tych wakacji zostanie. Opalenizna.

ROZDZIAŁ 26

Wracalam do hotelu plażą. Szlam powoli, próbując docenić ten magiczny moment kontaktu z oceanem, którego fale lizały moje stopy i coś szeptały. Narzeczony z morza... Przypomnialam sobie nagle tę skandynawską baśń, którą ojciec czytywał mi do snu. Opowiadała o miłości, o porwanym przez morze chłopcu i o głosach niosących się po plaży: „Pierwszy urodzony pierwszemu do żony”... wzdrygnęłam się. W tej baśni była też śmierć, morska otchłań i zachłanna królowa morza, która upominała się o ofiary. Ciało Blanki unoszące się w wodzie też było ofiarą. Ale na pytanie, kto ją złożył, nie miałam odpowiedzi. I czułam, że już jej nie znajdę.

Matki w domku nie było. Prawdopodobnie wyrobiła dzisiejszy limit znaków i poszła na spacer albo na kolację. Bez skrępowania wzięłam więc jej komputer i otworzyłam Skype’a.

Pora w Podkowie była jeszcze dość wczesna, ale miałam nadzieję, że uda mi się złapać przynajmniej jedno z moich przyjaciół.

Niestety Elka miała prawdopodobnie wyłączony komputer. Spojrzałam więc kontrolnie na ikonkę Damwam. Paliła się na zielono, i co z tego?

Ponieważ cierpliwość nie była moją najmocniejszą cechą, sięgnęłam po komórkę i otworzyłam Messengera. Jacek nie był aktywny, ale jego żona i owszem. Kliknęłam słuchawkę, kamerką wolałam się nie rozpraszać.

Elka odebrała po dwóch sygnałach.

– Oglądamy film – upредиła. – Mów szybko.

– O tej porze? – zdziwiłam się.

– Taka fanaberia.

– W telewizji czy na Netflixie?

– Na Netflixie.

– To zapaluj.

Jęknęła.

– Dobra, pójde zrobić herbatę. Daje ci Jacka. Macie jakieś pięć minut.

Wyszłam na taras, przesunęłam sobie jeden z foteli w cień i usiadłam na nim, zastanawiając się jednocześnie, czy by sobie jednak nie rozłożyć leżaka. Czułam

zmęczenie i gigantyczną wręcz potrzebę fizycznego odpoczynku.

– To jest bardzo dobry film przyrodniczy – poinformował mnie Jacek. – Sie streszczaj.

– Proszę cię bardzo. Szybki update. Znalazłam pieprzoną koszulę we flamingi w łazience Dukaja. Rzeczywiście, gość się umówił tamtej nocy z Blanką, był nad basenem, ale twierdzi, że nic jej nie zrobił. Oczywiście nic nie widział, nic nie słyszał. Koniec tematu.

Sikora westchnął współczująco.

– No nie przeskoczysz – zgodził się. – Próbuj ratować z wakacji, co się da.

– Taki mam plan. Plażing, leżing i smażing. Elka już zrobiła tę herbatę?

– To zabrzmiało zupełnie jak: „Annuszka już rozlała olej” – zaśmiał się Sikora. – Jeszcze nie.

– To mi opowiedz, jak u ciebie. Macie już tego chłopaka?

– Powiem ci tak. Nie mamy i pewnie nie będziemy mieć.

– Czyli dlatego się uspokajasz filmem przyrodniczym? – zdiagnozowałam natychmiast.

– Niestety. Muszę się zresetować – przyznał Jacek. – Sytuacja nie jest różowa. Choć z drugiej strony...

Robiło się ciekawie. Pożałowałam, że cała ta historia dzieje się akurat wtedy, kiedy mnie tam nie ma.

– Zaraz jajko zniosę. Mów!

Sikora odchrząknął.

– Plan był prosty – namierzyć Lisa i go przesłuchać. Pamiętasz, mówiliśmy, że on niby trochę pasuje, ale tak nie do końca. I prawdę mówiąc nie nastawiałem się za bardzo, że to on zabił. No ale dobra. Zaczęliśmy go szukać. W miejscu zameldowania go nie było. Jakoś się chłopcy dowiedzieli, że wynajmuje mieszkanie w Warszawie. Ale tam nikt nie otwierał. Więc poszli do firmy, w której pracuje. I tu się zaczyna niezła jazda. Słuchaj uważnie... Chłopak pracował jako makler, inwestował pieniądze klientów. Był zdolny, ambitny, miał świetne efekty. Taka wschodząca gwiazda. No i nagle coś mu przestało iść. Podobno za bardzo ryzykował, chciał szybko dużych zysków i się przeliczył. W efekcie przewalił mnóstwo kasy, w dodatku nie swojej. Ustawiła się cała kolejka wściekłych klientów. Wszyscy chcieli jego głowy. Ale to jeszcze nie koniec. Bo potem się okazało, że on te pieniądze chciał odegrać i w tym celu pożyczyl kasę zgadnij od kogo?

– Od mafii?

– Dokładnie. Tak jakby żadnego filmu gangsterskiego nie obejrzał w życiu. Przecież wiadomo, jak to się kończy. Nawet jeżeli oddasz, to i tak będziesz dłużnikiem. A chłopak w dodatku nie oddał. Więc miał na głowie jednocześnie klientów i mafię.

– Nie zazdroścę... I co dalej?

– Zniknął. Rozpłynął się w powietrzu. Dostaliśmy nakaz, weszliśmy do mieszkania, które wynajmował, a tam jak po trzęsieniu ziemi. Ktoś ewidentnie był

przed nami i też go szukał. Zresztą możliwe, że znalazł.

Co za historia, pomyślałam z zazdrością. Wstałam z fotela i poszłam do pokoju po wodę. Musiałam się napić, bo z emocji zaschło mi w gardle.

– A jak to się łączy z morderstwem? – spytałam między jednym łykiem a drugim.

– Myślę, że chciał się w Grodzisku ukryć. I przy okazji zdobyć fundusze na ucieczkę. Wiedział, że właściciele nie ma, za to jest gotówka i starsza pani. Tamci mu deptali po piętach, więc się przyczaił na chwilę i potem śmignął dalej. Czekamy na porównanie materiału genetycznego z miejsca zbrodni z tym, który znaleźli u niego w mieszkaniu. Jeżeli wyjdzie zgodność, to mamy sprawcę.

– Tylko tyle, że go nie macie – zwróciłam mu uwagę.

– Na razie nie, ale pracujemy nad tym. Zresztą nie tylko my, bo jego od jakiegoś czasu szuka stołeczna z powodu tych oszustw na giełdzie.

– Hebata gotowa – rozległ się gdzieś w tle głos Elki. – Powiedz jej, że włączam film.

– Muszę kończyć – stwierdził Sikora.

– Tak, słyszałam. Superroboty z tym gościem, gratki!

Rozłączyłam się.

Jak to dobrze, że przynajmniej jednemu z nas wychodziło.

Kiedy latem zeszłego roku szukaliśmy z Sikorą zabójcy pewnej kobiety, której zwłoki znalazłam podczas spaceru z psem, Elka mi powiedziała, że wątek kryminalny w moim życiu to temat zastępczy. Że zajmuję się nim z takim zaangażowaniem tylko po to, żeby nie mieć kontaktu z moim prawdziwym życiem, a tak naprawdę – z samą sobą. Bardzo mi się wtedy ta jej uwaga nie spodobała i zdaje się że przez jakiś czas byłam nawet na Elkę obrażona, ale dzisiaj, z perspektywy kilku miesięcy i wielu innych wydarzeń, które miały miejsce w tym czasie, musiałam jej przyznać rację.

Dotarło to do mnie właśnie teraz, kiedy moje wakacyjne kryminalne wyzwanie właśnie się skończyło. Zostałam sama ze swoimi myślami, których nie mogłam już zajmować szukaniem odpowiedzi na to, czy Blankę zamordowano i z kim się całowała pod palmą. Nie miałam nic do roboty poza odpoczywaniem, opalaniem się i jedzeniem. No, może też poza unikaniem kontaktów z matką, co jednak nie wymagało zbyt energicznych działań.

Bez zagadki kryminalnej czułam się bezradna i zagubiona. Została mi plaża, ocean, dreptanie na posilki i książki. Coś, o czym każdy planujący wakacje z pewnością marzy, a co na mnie działało dziwnie przygnębiająco.

Rutynę w swoim domu uwielbiałam, bo miała w sobie klasyczną energię poruszania się z punktu A do punktu B dobrze znaną drogą. Rutyna na wakacjach niosła ze sobą marazm i nudę. Oraz konieczność prowadzenia rozmów z samą sobą. Nie unikałam tego tak panicznie jak kiedyś, ale w dalszym ciągu nie był to mój ulubiony sport.

Przebrałam się, po raz kolejny tego dnia, i wyszłam z bungalowu.

I choć obiecywałam sobie, że nie poświęcę już ani pół minuty sprawom kryminalnym, to zamiast iść do restauracji normalną trasą, wybrałam inną, dłuższą ścieżkę, która przebiegała tuż obok basenu...

Zanzibar był inny. Inny niż wszystko, co widziałam do tej pory. Inne widoki, inni ludzie, rośliny, zapachy i smaki. I tak jak pewną część tej inności byłam w stanie przewidzieć, bo zdjęcia wyspy, hoteli, oceanu jakąś prawdę oddają, to niektóre były prawdziwym zaskoczeniem. Na przykład zachody słońca. W Polsce wieczór zapada powoli, najpierw delikatnie zmienia się światło, a potem ciemność wypiera dzień w sposób co prawda nieunikniony, lecz pokojowy. Tutaj zachód słońca wygląda jak krótki, intensywny sparring wygrany przez nokaut. Jasno, jasno, noc. Tak oczywiście było i tym razem. Z naszego bungalowu wychodziłam w środku dnia, a kiedy zbliżałam się do basenu, nagle zapadł zmrok. I prawie w tym samym momencie zapaliły się lampy oświetlające teren hotelu. Zatrzymałam się, bo iluminacja ogrodu była naprawdę wyjątkowa. Światłne punkty wzdłuż dachu restauracji, lampy ukryte wśród roślin i girlandy kolorowych żarówek, rozwieszane wokół basenu. Mój wzrok zatrzymał się właśnie na nich.

W ciągu dnia basen i teren dookoła niego nie rzucały się za bardzo w oczy. Właściwie można powiedzieć, że było to miejsce dość ustronne. Jednak teraz, zalane jaskrawym światłem, wyglądało niemal jak scena. Czy to możliwe, żeby morderca był aż tak lekkomyślny, zdesperowany lub beczelny, żeby zabijać Blankę praktycznie na oczach ludzi?

I wtedy coś sobie przypomniałam.

Awaria oświetlenia, o której wspominał Dukaj i którą ja również zarejestrowałam! W czasie kiedy aktor szedł na spotkanie z Blanką, zgasło światło na terenie hotelu, pogrążając w ciemności ogród i... basen.

Przypadek? Nie sądzę.

– Czy ma pani może latarkę?

Recepcjonistka Ola oderwała wzrok od ekranu telefonu i popatrzyła na mnie nieprzytomnym wzrokiem. Czy mi się wydawało, czy zamiast źrenicy miała ikonkę Instagrama?

– Przepraszam, nie dosłyszałam...

Uśmiechnęłam się wyrozumiale.

– Och, chodzi mi o latarkę. Czy miałyby pani może jakąś pożyczyć?

Dziewczyna zmarszczyła brwi, próbując w myślach zlokalizować to, o co pytam.

– Moment...

Otworzyła najpierw jedną szufladę biurka, potem drugą, wreszcie z trzeciej wyjęła srebrną, cienką jak ołówek latareczkę.

– Mam tylko taką – zrobiła przepraszającą minę. – A do czego pani potrzebuje?

– Och, tak na wszelki wypadek. Bardzo lubię spacerować w nocy po ogrodzie. Kilka dni temu zgasło światło i kiedy wracałam, o mało nie pomyliłam domków. Dzisiaj też bym się chętnie przeszła, więc wolę się zabezpieczyć. – Mówiąc to, czułam głęboki wstyd i zażenowanie poziomem naiwności, jaki prezentowało moje kłamstwo. – Często tak się u państwa dzieje z tym prądem?

Ola położyła latarkę na ladzie i przesunęła ją w moją stronę.

– Dość często. Na Zanzibarze takie centralne wyłączenia prądu to prawdziwa plaga.

Byłam zaskoczona, że rozmowa tak gładko popłynęła w kierunku, o który mi chodziło.

– Tylko że akurat przedwczoraj to nie było wyłączenie centralne – uświadomiłam jej. – W bungalowach elektryczność była, wysiadło tylko oświetlenie zewnętrzne. Nie wie pani, jak to się mogło stać?

Recepcjonistka spojrzała tęsknie na swój telefon, zastanawiając się pewnie, jak długo zamierzam jej zawracać głowę.

– Nie wiem – prawie niezauważalnie wzruszyła ramionami. – Może jakaś awaria zewnętrznego obwodu? Albo ktoś przez pomyłkę wyłączył?

O, i to był bardzo ciekawy trop.

– A to się tak da po prostu wyłączyć?

– Oczywiście. W biurze u szefa jest rozdzielnia – odpowiedziała odruchowo Ola i nagle się zorientowała, że być może palnęła głupstwo.

– Ale pani tego nie wykorzysta? – zapytała, zdenerwowana. – Znaczy że ktoś specjalnie wyłączył? Nie złoży pani żadnej skargi ani nic takiego?

– Oczywiście, że nie. Dlaczego miałabym składać skargę? – uspokoiliam ją.

Dziewczynie najwyraźniej ulżyło.

– To dobrze, bo wie pani, szef ostatnio ma same kłopoty. Było kilka wpadek, nic poważnego, ale szef jest ostatnio bardzo podminowany i trochę nam się wszystkim te jego nerwy udzielają.

– Karibu to bardzo ładne i sympatyczne miejsce. Ta zła passa na pewno minie, proszę się nie przejmować – uspokoiliam ją. – Dziękuję za pomoc!

Wzięłam latarkę i uśmiechnęłam się do Oli na pożegnanie. Właściwie powinnam ją jeszcze wyciągnąć, bo to, co mi powiedziała, zmieniło mi dość zasadniczo optykę.

Nagle cała historia zaczęła wyglądać zupełnie inaczej.

– Madziu!

Trzeba przyznać, że głos moja mama miała wyjątkowo przenikliwy. Usłyszałam ją pomimo gwaru w pełnej jak zwykle o tej porze restauracji. Odnalazłam ją wzrokiem i zbladłam. Przy stole razem z moją matką tym razem siedział Dukaj. Jak ona może z nim rozmawiać? – pomyślałam ze złością.

W pierwszym odruchu chciałam odwrócić się na pięcie i odejść, jednak wrodzone poczucie posłuszeństwa sprawiło, że ociągając się, podeszłam do nich.

– Zobacz, kto mi dzisiaj dotrzymuje towarzystwa! – pochwaliła się matka.

– O, pan Filip! A gdzie rodzina? – zainteresowałam się beczelnie.

Mierzyliśmy się przez chwilę wzrokiem. W końcu Dukaj wstał i uklonił się matce.

– Pani Zofio, trzymam panią za słowo! Po powrocie książka z autografem.

Obserwowałam, jak odchodzi, klucząc między stolikami.

– Czego chciał? – zapytałam, moszcząc się w fotelu.

– Oficjalnie niczego. Nieoficjalnie – pociągnąć za język.

– On ciebie?

– Sprawdzał, czy mi powtórzyłaś waszą rozmowę. Udawałam, że nic nie wiem i byłam słodka – pochwaliła się. – Traktowałam go wyjątkowo łaskawie jak na domniemanego mordercę.

– Mamo, po pierwsze przecież wiesz, że to nie on.

– Nie należy wierzyć w ciemno we wszystko, co nam mówią. Zwłaszcza jeżeli mówiącym jest aktor – zauważyła rozsądnie. – Nie neguję, że musiał brzmieć przekonująco, kiedy twierdził, że to nie on, ale to jeszcze nie znaczy...

– Pojawiły się nowe okoliczności – przerwałam jej. – I nowy podejrzany.

Opowiedziałam jej o wyłączeniu oświetlenia i o tym, że wyłącznik znajduje się w biurze Rachonia.

– Jest takie przysłowie, tonący brzytwy się chwyta.

Popatrzyłam na nią z oburzeniem.

– Nie rób mi tu min – skarciła mnie natychmiast. – Nie odnoszę się przecież do sposobu śmierci, tylko do twojego toku rozumowania. Dość naciąganego, mówiąc ogólnie. Głównie dlatego, że nie widzę motywu.

– Ja też na razie nie widzę! – zirytowałam się. – Ale o tym wyłączniku prądu w jego biurze dowiedziałam się pięć minut temu. Daj mi się zastanowić... Może na przykład Blanka widziała coś, czego nie powinna zobaczyć? Była świadkiem jakiegoś przestępstwa, przekrętu?

Matka pokręciła z powątpiewaniem głową.

– Rachoń prowadzący nielegalne interesy w Karibu? Jakoś mi to miejsce nie wygląda na punkt przerzutu narkotyków, a Rachoń na gangstera. Jest zwykłym menagerem

Zwykłym menagerem? Nagle doznałam olśnienia.

– Wąż! – krzyknęłam, podekscytowana. – Pamiętasz aferę z wężem? Tym jadowitym, którego Blanka znalazła w łazience? Ona była na Rachonia naprawdę wściekła. Obiecała, że obrobi mu tyłek w internecie i doniesie na niego do właściciela hotelu. Może chciał ją uciszyć? Ta dziewczyna z recepcji mówiła, że ostatnio miał jakieś problemy w pracy... Może bał się, że jeżeli Blanka na niego doniesie, wywalą go z roboty?

– Trochę to naciągane – powiedziała matka po zastanowieniu. – Ale w sumie... Ludzie mordują z dużo głępszych pobudek. Tylko że na poparcie tej tezy nie ma dowodów.

– Na pewno są – odpowiedziałam stanowczo. – I zamierzam je znaleźć.

Lekko na siebie obrażone, choć naprawdę trudno stwierdzić, dlaczego, nie zamieniłyśmy podczas kolacji ze sobą ani słowa. Mama przeglądała Instagrama, lajkując posty jak leci, a ja zajęłam się spożywaniem steku z tuńczyka i rozmyślaniami na temat tego, skąd wzięła się u mnie taka silna potrzeba odkrycia, kto zabił Blankę.

Byłam mniej więcej w połowie jedzenia, kiedy matka wzięła do ust ostatni kęs grillowanej ośmiornicy i energicznie odłożyła sztucce.

– Strasznie się guzdrzesz – stwierdziła, bębniąc znacząco paznokciami o blat stołu.

Zakrztusiłam się, co matkę zirytowało jeszcze bardziej.

– Idę – oznajmiła. – Może coś jeszcze dzisiaj napiszę.

Kiedy zniknęła, kolacja zaczęła mi nagle dużo bardziej smakować.

Wracałam do domku ścieżką biegnącą wzdłuż głównego budynku hotelowego, w którym mieściły się restauracja, kuchnia, recepcja, magazyny i różne pomieszczenia gospodarcze. Przez nisko umieszczone, oświetlone okna można było obserwować od zaplecza hotelowe życie – uwijających się kucharzy, strzelające wysoko płomienie kuchennych palników, dziewczyny prasujące pościel przy profesjonalnych stanowiskach...

W kolejnym mijanym oknie zauważyłam Rachonia. Mężczyzna siedział przy biurku i pisał coś na komputerze, jednocześnie przerzucając stertę papierów leżących obok w poszukiwaniu danych, które potem pracowicie wklepywał w dokument.

Kiedy tak mu się przyglądałam, zafascynowana tym, że ja go widzę, a on mnie nie, drzwi pomieszczenia otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich Ola. Była wyraźnie zdenerwowana. Powiedziała kilka zdań, energicznie gestykulując. Najwyraźniej prosiła Rachonia o jakąś interwencję, bo mężczyzna poderwał się z miejsca i wyszedł za nią, zostawiając otwarty komputer i... otwarty pokój.

To było jak zaproszenie. Byłabym głupia, gdybym z niego nie skorzystała.

Zawróciłam więc i podekscytowana pobiegłam z powrotem do budynku.

Żeby dostać się do gabinetu Rachonia, musiałam znowu przejść obok recepcji. Nikogo na szczęście tam nie było – Ola stała przy barze razem z menagerem i uspokajała jakiegoś zdenerwowanego gościa. Mężczyzna mówił podniesionym głosem i gestykulował energicznie, a Rachoń próbował coś mu tłumaczyć. Nie miałam pojęcia, o co poszło, ale wszystko wskazywało na to, że tego konfliktu nie uda im się zbyt szybko zażegnać. Ukradkiem wślizgnęłam się w korytarz prowadzący na zaplecze i ruszyłam w kierunku gabinetu Rachonia.

W korytarzu było ciemno, ale przez otwarte drzwi biura wydostawała się szeroka smuga światła. Popchnęłam je i weszłam do środka. Panował tu koszmarny bałagan. Wszędzie piętrzyły się stosy papierów i skoroszytów, puste kartonowe pudełka,

plastikowe pojemniki, poprzekrzywiane lampy i kłęby kabli, nie wiadomo od czego. Jeżeli zarządzanie hotelem wychodziło Rachoniowi tak, jak utrzymywanie porządku, to chyba rzeczywiście mógł mieć kłopoty.

Ponieważ kompletnie nie byłam przygotowana na to, że się tu znajdę, nie miałam żadnej koncepcji, co robić i czego szukać. W pierwszym odruchu pstryknęłam kilka dokumentacyjnych zdjęć komórką, w drugim – otworzyłam szufladę biurka, jednak oprócz starych długopisów, noża do papeterii oraz zużytych chusteczek leżała tam tylko butelka whiskey. Oczywiście nie świadczyło to o Rachoniu najlepiej, ale też nie było dowodem popełnienia morderstwa.

Co dalej? W serialach kryminalnych komputer sprawcy zawsze stanowi kopalnię informacji, postanowiłam więc do niego zajrzeć.

Przysiadłam w fotelu za biurkiem i poruszyłam myszką, żeby ożywić ekran. Kiedy się zapalił, pokazała się na nim tabelka w Excelu, pełna cyfr i absolutnie dla mnie niezrozumiała.

Zminimalizowałam ją więc i zaczęłam sprawdzać foldery na pulpicie, nie mam pojęcia, po co, bo raczej nie mogłam liczyć na odnalezienie pliku pod tytułem: „Jak zamordowałam Blankę”.

Tak naprawdę jedyne, co w jakiś sposób mogło dotyczyć sprawy, to mejle. Blanka nie należała do tych, którzy rzucają słowa na wiatr, dlatego istniała spora szansa, że jeżeli poskarżyła się na Rachonia do właściciela hotelu, to na pewno w taki sposób, żeby Rachoń się o tym dowiedział. Najprościej to zrobić, wysyłając mejla do właściciela i umieścić Rachonia na cc. Dlatego liczyłam, że jakiś ślad tej korespondencji powinien być również w jego skrzynce. Tylko jak się do niej dostać?

Weszłam w Internet i właśnie zaczęłam sprawdzać ostatnio otwierane strony, kiedy usłyszałam ochryply głos.

– Co pani tu robi?

Powoli podniosłam wzrok. W otwartych drzwiach stał Rachoń i patrzył na mnie ze wstrętem, jakbym była dorodnym okazem karalucha. Niestety, zbyt dużym, żeby go zatłuc kapciem.

Pożałowałam, że nie mam przygotowanej błyskotliwej odpowiedzi. Pożałowałam, że nie mam przygotowanej jakiegokolwiek odpowiedzi. Siedziałam tylko i gapiłam się na mężczyznę, zastanawiając się jednocześnie, czy to nie byłaby najlepsza taktyka – udawać, że mi odjęło mowę.

– Ogłuchła pani? – warknął Rachoń, coraz bardziej wściekły. – Zadałem pytanie!

– Ja... – bąknęłam. – Chciałam coś sprawdzić w internecie – olśniło mnie – a nie wzięłam ze sobą z pokoju telefonu.

Mężczyzna w dwóch krokach znalazł się przy biurku, chwycił moją komórkę, którą położyłam obok klawiatury i podsunął mi ją pod nos.

– Tego?

Postanowiłam się nie poddawać.

– Wyładował mi się – rozłożyłam ręce bezradnie.

Rachoń wyglądał, jakby miał zaraz eksplodować. Nacisnął guzik mojego

smartfona, ekran zamrugał, jakby puszczał do mnie oko. Szlag.

– Proszę natychmiast stąd wyjść – wycedził menager. – Inaczej będę musiał wyciągnąć konsekwencje z tego incydentu.

Odsunęłam krzesło i podniosłam się ostrożnie.

– Uważam, że nie powinien pan tak traktować gości – zauważyłam krnąbrnie, a Rachoń zacisnął szczęki. – Chyba jakiś minimalny szacunek mi się należy.

– Oczywiście. Dlatego nie wzywam policji, tylko grzecznie panią proszę o opuszczenie mojego miejsca pracy. Na którego drzwiach jest zresztą tabliczka: „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”.

– A, nie zauważyłam – przyznałam szczerze. – W korytarzu jest ciemno.

Ruszyłam w stronę wyjścia, próbując rozpaczliwie znaleźć jakiś punkt zaczepienia, jakiś hak lub przynętę, które mogłabym zarzucić. Niestety, nic takiego nie miałam. Ale ponieważ czułam, że MUSZĘ coś zrobić, użyłam mojej ulubionej taktyki, która nazywała się szczerłość.

– To pan zamordował Blankę. Wiem to – powiedziałam stanowczym tonem. – I przysięgam, że to udowodnię.

Spodziewałam się na twarzy Rachońa paniki, jednak zamiast niej pojawił się wyraz głębokiego niezrozumienia.

– Słucham? – powiedział, wysuwając brodę do przodu niczym indor.

– Zamordował pan Blankę – powtórzyłam, już z mniejszym przekonaniem.

Rachoń opadł na krzesło i patrzył na mnie zafascynowany.

– Pani naprawdę tak uważa – bardziej stwierdził niż spytał. – Że zamordowałam tę kobietę. Niesamowite...

Czułam się zawiedziona. Myślałam, że kiedy wywalę mu wszystko prosto z mostu, zareaguje jakoś inaczej. Bardziej dramatycznie. Zacznie się bronić albo rzuci się, żeby mnie udusić. A on najpierw wyglądał na zaskoczonego, a teraz... teraz na rozbawionego. Co za wstyd!

Rachoń podniósł się, podszedł do drzwi i zamknął je. Potem zdjął z jakiegoś taboretu plik lokalnych gazet i podsunął mi go.

– Proszę, niech pani siada.

Usiadłam, a mężczyzna zajął miejsce za biurkiem.

– Skąd pani wzięła takie brednie?

Ta rozmowa zdecydowanie nie przebiegała tak, jak powinna.

– Ja nie uważam, żeby to były brednie – wzruszyłam ramionami.

– Brednie, koncepcja, wszystko jedno. Jak pani na to wpadła?

– Według mnie Blanka została zamordowana, ale to już panu mówiłam. A pan miał motyw. Właściwie tylko pan.

– Tak? – zdziwił się. – A niby jaki?

Przypomniałam mu historię z wężem oraz to, że Blanka zamierzała zrobić z tego aferę i nagłośnić sprawę. To musiałyby być dla niego wyjątkowo niebezpieczne teraz, kiedy miał w pracy problemy.

Rachoń słuchał uważnie, nie przerywając. Kiedy skończyłam, przez chwilę milczał.

– Rzeczywiście mam problemy – odezwał się wreszcie. – I to spore. Właściciel chce się mnie pozbyć i szuka pretekstu. Kiedy tu panią zobaczyłem, pomyślałem, że szpieguje pani dla niego. Ale nie jestem aż tak przywiązany do tej roboty, żeby zabijać.

– A wyłącznik światła?

– Co ma do tego wyłącznik światła? – zdziwił się.

– W nocy, kiedy zginęła Blanka, zgasło światło na terenie hotelu. To nie mógł być przypadek. Kiedy iluminacja jest włączona, z każdego punktu hotelu widać idealnie, co się dzieje nad basenem. Morderca potrzebował ciemności. Musiał to zaplanować.

– W dalszym ciągu nie rozumiem...

– Dowiedziałam się, że główny wyłącznik oświetlenia znajduje się tutaj, u pana w gabinecie. A tylko pan ma tu dostęp. Czyli tylko pan mógł wyłączyć światło na terenie hotelu. To takie proste.

Rachoń przyglądał mi się spod półprzymkniętych powiek, jakby się zastanawiał, czy już wzywać pogotowie psychiatryczne, czy jeszcze chwilę poczekać.

A potem wstał zza biurka, podszedł do umieszczonej na ścianie skrzynki elektrycznej i otworzył ją. Wewnątrz, oprócz rzędu bezpieczników, znajdowały się również dwie dźwignie.

– Rzeczywiście można to zrobić jednym ruchem. Jedna wyłącza światło na zewnątrz, druga w środku. – W jego głosie czułam narastającą niechęć. – Ale traci pani czas. Nie wyłączyłem oświetlenia tamtej nocy, kiedy zmarła Blanka. Nie mogłem tego zrobić, bo nie miałem kluczy do biura.

Teraz on mnie zaskoczył.

– Nie rozumiem...

– Do tych drzwi jest jeden komplet kluczy. Tamtej nocy miała go sprzątaczką. Nie mogłem więc z nich skorzystać – spojrzał mi hardo w oczy. – Jeszcze kilka takich dowodów i sam się oddam w ręce policji.

Wytrzymałam jego spojrzenie.

– To zwykła praktyka czy akurat tamtego dnia postanowił pan wyrobić sobie alibi?

– Kasia sprząta u mnie dwa razy w tygodniu...

Parsknęłam śmiechem.

– Świetnie sobie radzi dziewczyna – zatoczyłam ręką krąg, obejmujący zabałaganione wnętrze.

– A ja myślałem, że rozmawiamy o moim alibi, a nie o standardach czystości – zauważył i ciągnął dalej: – Układ jest taki: kiedy wychodzę, zostawiam klucze na recepcji. Kasia je stamtąd odbiera, sprząta gabinet i całe zaplecze i zostawia klucze z powrotem na recepcji.

– Czyli ktoś mógł je stamtąd zabrać...

– Jak mi pani pozwoli dokończyć, to będzie pani wiedziała, że nie mógł. Bo Kasia

przez przypadek zabrała klucze ze sobą i oddała je dopiero następnego dnia rano. Więc ani ja, ani nikt inny nie mógł tu wejść.

– I pan chce, żebym uwierzyła w te bzdury?

– Szczerze? Gównu mnie obchodzi, w co pani wierzy, a w co nie. Policja zakwalifikowała śmierć w basenie jako wypadek i ja będę się tego trzymał. A teraz przepraszam, mam robotę.

Byłam zbulwersowana. Nie dość, że facet był podejrzany jak diabli i bezczelnie pewny siebie, to jeszcze traktował mnie po chamsku.

Wstałam, gorączkowo szukając jakiejś błyskotliwej odzywki, takiej żeby mu w pięty poszło, ale jak na złość, nic mi nie chciało przyjść do głowy.

– Żegnam! – odpowiedziałam więc tylko, wkładając w to słowo całą moją pogardę.

ROZDZIAŁ 27

Po raz kolejny mi się nie udało.

Po raz kolejny nie trafiłam.

Wojtek, Dukaj, teraz Rachoń. Żaden z nich nie był mordercą.

Może rzeczywiście śmierć Blanki to był wypadek?

Byłam tak strasznie na siebie zła, tak strasznie. Nie dlatego, że się pomyliłam, ale dlatego, że znowu dałam się sama sobie wykiwać. Przecież miałam z tym skończyć. Obiecałam sobie. I co? I znowu mi nie wyszło.

Takie niewesołe myśli towarzyszyły mi podczas powrotu do naszego bungalowu.

– To nie Rachoń – powiedziałam, rzucając się na łóżko. – Nie miał kluczy do biura, bo je oddał sprzątacze.

Matka podniosła wzrok znad laptopa.

– No to alibi idealne – przyznała. – A sprawdziłaś je?

– Nie – przyznałam słabo. – Ale już nie mam siły na tę sprawę. Poza tym naprawdę myślisz, że aż tak bezczelnie by kłamał?

Matka wzruszyła ramionami.

– Nawet nie wiesz, jak ludzie potrafią kłamać – stwierdziła.

Zastanowiłam się.

– Czyli uważasz, że powinnam znaleźć tę sprzątaczkę?

– Dziwię się, że sama na to nie wpadłaś. Przecież to takie oczywiste.

Wzięłam poduszkę, przycisnęłam ją sobie na twarzy i krzyknęłam w nią najgłośniej, jak potrafiłam. Kiedy ją odłożyłam na bok, matka stała przy moim łóżku, przyglądając mi się podejrzliwie.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– Nie wiem – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

Kolejny dzień upłynął mi na kręceniu się po terenie i szukaniu Kasi, sprzątaczki.

Nie chciałam pytać się o nią wprost, żeby o moich działaniach nie dowiedział się czasem Rachoń, zaglądałam więc w różne dziwne miejsca i chodziłam między bungalowami, licząc na to, że w końcu się pojawi.

Przez cały dzień namierzyłam w ten sposób cztery sprzątaczki. Niestety żadna z nich nie była Kasią.

Sytuacja zmieniła się dopiero wieczorem. Przyszłam na kolację sama, zostawiając matkę walącą w klawiaturę komputera chyba jeszcze zacieklej niż zwykle. W holu, za ladą recepcji nie było nikogo, za to przy stolikach, tak jak poprzedniego wieczora, ludzi siedziało mnóstwo. Już miałam się wycofać z powrotem do domku, żeby tam przeczekać ten tłum, kiedy moją uwagę przykuła postać, krzątająca się u wylotu korytarza prowadzącego na zaplecze. Myła mopem podłogę, a obok niej stał wózek pełen środków czystości... Zanim zdążyłam się zastanowić nad tym, co robię, już byłam przy niej.

Dziewczyna, ubrana na żółto jak większość personelu w Karibu, właśnie się wyprostowała, żeby wypłukać mop. Kiedy zobaczyłam identyfikator z imieniem „Kasia”, miałam ochotę rzucić się jej na szyję. Zwłaszcza że była to ta sama dziewczyna, która otworzyła mi drzwi bungalowu Sylwestra.

– Dzień dobry – uśmiechnęłam się najsympatyczniej, jak potrafiłam. – Możemy porozmawiać?

Dziewczyna rozejrzała się szybko, tak jakby się bała, że ktoś doniesie szefowi, że zamiast pracować, ucina sobie pogawędki z gośćmi.

– Ale tylko chwilę – uprzedziła. – Ma pani jakieś zastrzeżenia?

– Zastrzeżenia? Do czego? – zdziwiłam się.

– Do mojej pracy.

– A nie, skądże! – zaprzeczyłam żarliwie. – Chciałam tylko o coś zapytać. Czy to pani tutaj sprzątała w środę wieczorem? To znaczy tej nocy, kiedy utonęła tamta kobieta?

Kasia otarła wierzchem ręki lekko spocone czoło.

– Jezu, jak tu gorąco – westchnęła. – Tak, ja. We wtorek też i w czwartek. Mamy problemy z personelem i szef z nas wyciska, ile się da. Ale spoko, ja nie narzekam. Dobrze płacą, jest ok.

– Czy tamtej nocy pan Rachoń dawał pani klucz do swojego biura?

Kasia parsknęła śmiechem.

– Żeby w nim sprzątnęła? To mnie pani rozbawiła. My, czyli jak to się ładnie mówi personel sprzątający, nie mamy prawa tam wchodzić.

– Słucham? – przełknęłam ślinę.

– On tam sam sprząta. I całe szczęście, bo nikt by tego nie dał rady ogarnąć.

– To znaczy nie miała pani klucza do jego biura przy sobie przez całą noc?

Dziewczyna zrobiła jeszcze większe oczy.

– Nie, no pewnie, że nie. On nikomu tego klucza nie daje. Zawsze go ma przy sobie. Tyle w temacie.

Zanurzyła mop w wodzie i odcisnęła energicznie.

– Jeżeli to wszystko, to przepraszam, robota czeka.

I zajęła się swoją pracą, nie zwracając już na mnie uwagi.

Patrzyłam, jak myje podłogę, posuwając się w głąb korytarza i miałam ochotę walić głową w ścianę. Jak mogłam dać się tak nabrać? Jak mogłam uwierzyć temu gnojkwowi w tak naciąganą historię?

Pomyślałam z prawdziwą wdzięcznością o mojej matce, bo przecież tylko dzięki niej odnalazłam Kasię. Rachoń beczelnie kłamał, a to mogło oznaczać tylko jedno – moje podejrzenia co do niego były słuszne.

Czułam, że powinnam coś zrobić, jakoś zadziałać, ale miałam dramatycznie ograniczone możliwości. Policja? Może trzeba się skontaktować z policją? Tylko co ja im powiem, skoro nie mam ani pół dowodu na poparcie mojej tezy?

– Magda? – usłyszałam.

Wyrwana z zamyślenia, odwróciłam się gwałtownie. Za mną stał Wojtek.

Nie widziałam go od tamtej rozmowy na łódce. Nie unikałam go i nie sądzę, żeby on unikał mnie, ale tak się jakoś złożyło, że nasze drogi przez te kilka dni się nie skrzyżowały.

Wojtek nie wyglądał dobrze i natychmiast poczułam straszne wyrzuty sumienia. Zamiast uganiać się w poszukiwaniu cholernej koszuli, powinnam była zajrzeć do niego, porozmawiać, podnieść na duchu.

– Przepraszam, że się nie odzywałam – zaczęłam, ale mi przerwał.

– Daj spokój. Jestem dorosły, nie potrzebuję opieki. A tak naprawdę to potrzebowałem samotności. Musiałem swoje wypłakać.

Uśmiechnął się smutno.

Był bardzo blady, co podkreślała biel koszuli, którą miał na sobie. Jego spodnie i tenisówki również były białe. Po śmierci Blanki porzucił swoje bajecznie kolorowe stroje i zaczął się ubierać wyłącznie na biało. Biały jest w niektórych krajach kolorem żałoby, kojarzy się z brakiem i pustką, więc doskonale rozumiałam jego wybór.

– Jak formalności? – zapytałam. – Udało ci się wszystko załatwić?

Potrząsnął przecząco głową.

– Jeszcze nie. To jest naprawdę skomplikowane. I bardzo kosztowne. Kwestia przechowywania zwłok i transportu to są wszystko gigantyczne pieniądze. Jestem w kontakcie z rodzicami Blanki, chcieli wyłożyć część kwoty, ale im nie pozwoliłem. Przyjazd na Zanzibar był moim pomysłem. To ja ją tutaj ściągnąłem i ja zapłacę za wszystko. Właściwie my, bo Paweł też chce mieć w tym swój udział.

Wszystko, co mówił, było naładowane smutkiem i bólem. Zrobiło mi się go naprawdę bardzo, bardzo szkoda.

– A jak u ciebie? – zainteresował się nagle Wojtek, zupełnie jakby czytał w moich myślach.

Uznałam, że powinien wiedzieć o wszystkim, co dotyczyło Blanki.

– Powiem ci, tylko muszę się napić – powiedziałam stanowczo i ruszyłam w stronę baru.

Najpierw streściłam mu historię z Dukajem, która bardzo go poruszyła. A potem przeszłam do Rachonia. Kiedy Wojtek usłyszał, że Rachoń skłamał w sprawie klucza, zacisnął dłonie w pięści.

– To on ją zabił. Na sto procent. Trzeba z tym iść na policję.

Powiedział dokładnie to, o czym ja myślałam pół godziny wcześniej.

– Jutro się dowiem, z kim konkretnie najlepiej rozmawiać – zadeklarował. – Nie pozwolę, żeby mu to uszło na sucho.

Widziałam, że jest naprawdę poruszony. Przez chwilę oddychał głęboko, próbując się uspokoić.

– Pójdę do siebie – powiedział po chwili. – Przepraszam. Muszę pobyć sam.

Nachylił się do mnie i delikatnie musnął wargami mój policzek.

– Dziękuję – szepnął.

Patrzyłam, jak zsuwa się z barowego krzesła i odchodzi. Choć nic przełomowego się nie stało, poczułam się jednak dużo lepiej niż jeszcze pół godziny temu.

Ze zdziwieniem zauważyłam na sali restauracyjnej matkę. Siedziała przy tym samym stoliku, przy którym spędziłyśmy poprzedni wieczór.

– Musiałam sobie zrobić przerwę – wyjaśniła swoją obecność. – Nadgarstki mi odmawiają posłuszeństwa.

– A dlaczego taka sama? Fani nie dopisali? – zdziwiłam się.

– Och, daj spokój z fanami, ile można... – westchnęła. – Dopadł mnie ten sztywny starzec, ale go odesłałam. Nawet jak dla mnie jest za bardzo zasadniczy. Wyobraź sobie, że kiedy z nim rozmawiam, odruchowo się prostuję!

Rozumiałam ją bardzo dobrze, ponieważ w jej obecności robiłam to samo.

– A Sylwester?

– Myślałam, że jest z tobą.

– No widzisz, jednak nie...

– Szkoda, to bardzo miły młody człowiek. Przystojny i dobrze wychowany... I zdaje się obrotny biznesowo, skoro stać go na przyjazd tutaj.

– Nie, mamu, nie rób tego – ostrzegłam ją.

– Nie rób czego? – zdziwiła się.

– Jak ty to mówisz? Zero chemii – wyjaśniłam. – Więc nie baw się w swatkę.

W tym momencie w nasze uszy wdarł się charakterystyczny, nieprzyjemny pisk, oznaczający sprzężenie mikrofonu.

Z rozmieszczonych w restauracji i barze głośników rozległ się męski głos.

– Raz, dwa, trzy...

Na niewielkie, prowizoryczne podwyższenie, ustawione między barem a wejściem do restauracji, wszedł jeden z kelnerów i przeprowadzał próbę mikrofonu.

– Halo, proszę państwa, prosimy o uwagę! Halo!

– Co to będzie? Karaoke? – skrzywiła się matka. – A chciałam tylko w spokoju zjeść kolację.

Kelner oddał mikrofon wysokiemu, barczystemu brunetowi koło pięćdziesiątki, którego nigdy wcześniej w Karibu nie widziałam.

– Dobry wieczór państwu... – powiedział wolno i wyraźnie. – Nazywam się

Michał Szczygielski, jestem właścicielem hotelu i chciałem zająć państwu pięć minut.

– Właściciel? – zdziwiła się matka. – No popatrz, popatrz...

– Czuję się zaszczycony, mogąc gościć państwa w moich skromnych progach.

Strasznie to wyświechtane i mało oryginalne, pomyślałam, ale rzecz jasna słuchałam dalej.

– Jak zapewne część z państwa wie, na stałe mieszkam w Polsce, jednak Karibu traktuję jak mój drugi dom. I bardzo bym chciał, żeby państwo również nas tak traktowali, dobrze się tu czuli i wracali do nas tak często, jak tylko się da. To wy razem z nami tworzycie to miejsce. To dla was chcemy się zmieniać, podwyższać standardy, stawiać sobie coraz to nowe zadania. Cała fantastyczna ekipa hotelu daje z siebie wszystko, żebyście byli zadowoleni.

Szczygielski zawiesił na chwilę głos, a ja próbowałam odgadnąć, do czego zmierza.

– Pewnie zastanawiają się państwo, do czego zmierzam...

Uśmiechnęłam się pod nosem.

– Otóż nawet tak świetna załoga, którą tu mamy, nie da sobie rady bez kapitana... Bez dobrego kapitana. Takiego, który potrafi poradzić sobie podczas najgorszych sztormów równie dobrze, jak w słoneczną, bezwietrzną pogodę. Takiego, który jest dla swoich ludzi autorytetem, przyjacielem, podporą, a dla państwa, naszych drogich gości, najlepszym gospodarzem i menagerem.

– Trochę to nie pasuje do Rachonia – szepnęła do mnie matka.

– Chciałem państwu przedstawić nowego szefa hotelu Karibu Bungalows. Zaprośmy go tutaj brawami.

Wpiął mikrofon w statyw i sam zaczął klaskać. Wszyscy zgromadzeni w restauracji oraz w barze goście dołączyli do niego i po chwili cała sala rozbrzmiewała gromkimi oklaskami.

– No co za historia – komentowała dalej matka. – Po co on robi z tego takie halo? Nie mógł go po prostu wpuścić do biura i tyle? Naprawdę, czasami ludzie są dziwni.

– Przed państwem nasz nowy menager hotelu... Teraz powinny być werble, ale nie mamy werbli... Pan Sylwester Leśkiewicz!

– Że co? – powiedziałyśmy z matką jednocześnie.

Sylwester, który przez całe przemówienie musiał stać z tyłu, za podwyższeniem, wskoczył na nie teraz energicznie i ukłonił się.

Znowu zabrzmiała brawa, a na sali podniósł się szum głosów komentujących tę sytuację.

– Panie Sylwestrze, oddaję panu głos. – Szczygielski przekazał mu mikrofon.

– Bardzo mi miło stanąć przed państwem w tej roli. Przez ostatnie kilka dni przyglądałem się funkcjonowaniu Karibu, że tak powiem, od środka, i mam swoje uwagi na ten temat. Gdyby zechcieli się państwo podzielić ze mną swoimi, byłbym wdzięczny. Czekam na każdą opinię, nie tylko te pochlebne. Zapraszam do siebie, do biura. A panu Szczygielskiemu dziękuję za zaufanie, jakim mnie obdarzył. Postaram się go nie zawieźć.

– No kto by pomyślał? – westchnęła matka. – Widzisz, mówiłam, że obrotny chłopak, a ty mi nie chciałaś wierzyć.

Nie zdążyliśmy się rozkręcić w komentowaniu tego zaskakującego wydarzenia, kiedy przy naszym stoliku pojawił się właściciel hotelu. Z bliska okazał się zdecydowanie wyższy i zdecydowanie przystojniejszy. Miał wyrazistą, inteligentną twarz i bardzo błękitne oczy, a zmarszczki wokół nich sugerowały, że lubi się śmiać.

– Pani Sarnecka, prawda? Pozwoli pani, że się przywitam i jeszcze raz przedstawię. Michał Szczygielski.

Nachylił się i pocałował matkę w rękę.

– Witam, pani Magdo – w ten sam sposób przywitał się również ze mną. Tak jak nie lubię całowania po rękach, w jego wykonaniu zniosłam to całkiem bezboleśnie.

– Bardzo to ładnie z pana strony, że zdecydował się pan osobiście wprowadzić nowego szefa hotelu – zauważyła matka, choć kwadrans wcześniej twierdziła co innego. – Ale że to nasz Sylwester? Duże zaskoczenie. Tak sobie po prostu mieszkał i udawał gościa... Przyznam, że niczego się nie domyśliłam.

– Widzi pani, miałem swoje powody – wyznał Szczygielski. – Proszę mi wierzyć, musieliśmy to przeprowadzić w taki sposób.

– A co się stanie z poprzednim menagerem? – spytałam.

Przez twarz Szczygielskiego przebiegł cień.

– O poprzednim menagerze wolałbym nie rozmawiać. Pan Rachoń nadwyrężył w istotny sposób moje zaufanie i wygląda na to, że nie rozstaniemy się w przyjaźni.

Słowo „rozstanie” uświadomiło mi nagle, że kiedy Rachoń stąd odejdzie, być może uniknie konsekwencji tego, co zrobił Blance. Zrozumiałam, że muszę działać.

– Chciałabym z panem porozmawiać na jego temat – powiedziałam, patrząc Szczygielskiemu prosto w oczy. – To bardzo ważne.

Mężczyzna natychmiast spowaźniał. Rozejrzał się po pełnej ludzi sali.

– Może w takim razie przejdziemy do biura?

– Jego już tam nie ma, prawda?

– Oczywiście, że nie. Chodźmy.

W pokoju na razie nie zmieniło się wiele – bałagan panował dokładnie taki sam, jak poprzednio, tylko za biurkiem zamiast Rachonia siedział Sylwester. W idealnie wyprasowanej koszulce polo i z jakimś markowym swetrem zarzuconym na ramiona bardziej pasował do klubu golfowego niż do tego miejsca.

Na nasz widok poderwał się, zamykając laptopa.

– Magda? – zdziwił się, ale było to raczej miłe zdziwienie.

– Mamy do porozmawiania z panią Magdą. Możesz nas na chwilę zostawić? – zapytał Szczygielski.

– Jasne, oczywiście. Właśnie miałem zajrzeć do kuchni.

Kiedy mnie mijał, wyciągnęłam do niego rękę.

– Gratulacje!

– Dzięki! – odpowiedział, ściskając moją dłoń. – Sorry, że nic nie powiedziałem, ale nie mogłem. Tak się umówiliśmy z panem Szczygielskim.

– To prawda – potwierdził właściciel hotelu. – Jak już mówiłem, to było konieczne.

Sylwester wyszedł. Szczygielski podsunął mi krzesło, z którego zdjął wcześniej plik folderów reklamowych hotelu, a sam usiadł na miejscu, które wcześniej zajmował Sylwester.

– Wie pan, że śmierć Blanki Rudnickiej policja uznała za wypadek, ale ja uważam, że to było morderstwo – wypaliłam.

Opowiedziałam mu wszystko: o lęku Blanki przed wodą, o aferze z węzłem, o wyłączeniu światła i o tym, że Rachoń skłamał na temat klucza. Szczygielski słuchał uważnie, nie przerywając.

– Uważam, że trzeba te informacje przekazać policji – zakończyłam.

Szczygielski odchylił się do tyłu w fotelu i zamknął na chwilę oczy.

– Rozumie pani, że to są bardzo poważne oskarżenia? – zapytał.

– Oczywiście. Dlatego trzeba je zweryfikować. A ja sama tego nie jestem w stanie zrobić.

– Mnie ta pani teoria wydaje się niestety dość prawdopodobna. Zwłaszcza jeżeli zestawimy ją z innymi informacjami, które mam na temat pana Rachonia. Jak pani widzi, musiałem go odsunąć od zarządzania hotelem. Teraz jesteśmy z Sylwestrem na etapie sprawdzania, jak bardzo ten człowiek zaszkodził mi finansowo.

Podniosłam się.

– Ja niestety nie mam żadnych możliwości zdobycia dowodów na poparcie mojej teorii, ale może gdyby policja się nad tym pochyliła...

– Może... – Szczygielski również wstał. – Dziękuję, że się pani ze mną podzieliła tymi informacjami. Przekażę je dalej i zobaczymy.

Poczułam, jakby mi kamień spadł z serca. To było naprawdę fantastyczne przerzucić odpowiedzialność na kogoś innego. I to kompetentnego. Zrobiłam wszystko, co mogłam.

Teraz pozostawało tylko czekać.

ROZDZIAŁ 28

Następny dzień postanowiłam spędzić tak, jak na wakacje przystało. Zapakowałam do torby ręcznik, wodę, książkę, krem do opalania, portfel i telefon i od razu po śniadaniu wyruszyłam brzegiem oceanu przed siebie.

Krajobraz był przepiękny, choć trochę monotony – biała plaża, palmy i ocean, który właśnie znajdował się w fazie przypływu i powoli zbliżał do lądu. Był już na tyle blisko, że zaczynał zbierać na siebie porzucone przy odpływie łódzie, ale ciągle jeszcze nie zdążył zakryć sterczących z piasku tuż przy plaży fragmentów rafy koralowej i kłębow galaretowatych wodorostów, ciemnozielonych, prawie czarnych.

Każdy kontakt z zanzibarską plażą był dla mnie źródłem mniejszych i większych zaskoczeń. Od tego podstawowego, czyli braku turystów, przez silną i kolorową obecność Masajów, po wszechobecne lokalne bydło, czyli dziwne krowy z garbem na grzbiecie, które niewielkimi stadkami poruszały się wzdłuż linii wody lub przeżuwały, leżąc na piasku.

Od wody wiał lekki wiatr, przez co słońce aż tak nie paliło, a przynajmniej miałam wrażenie, że nie pali. Posmarowana na grubo kremem, w słomianym kapeluszu matki i w ciemnych okularach czułam się dobrze zabezpieczona i gotowa na podbój świata.

Po mniej więcej godzinie drogi znalazłam się w miejscu, w którym obok siebie funkcjonowało kilka całkiem przyjemnych knajpek. Wybrałam jedną, gdzie mieli mocne wi-fi. Napiłam się kawy, poczytałam chwilę i wyszłam pogapić się na ocean. Ponieważ zakrył już plażę, położyłam sobie trochę po wodzie, zebrałam kilka kamyków i muszli, przeszłam jeszcze kawałek dalej, znalazłam kolejną uroczą knajpkę, gdzie zjadłam lunch i po kolejnej godzinie czytania postanowiłam wracać.

Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo jestem zmęczona, dopóki nie dotarłam do schodów prowadzących do naszego hotelu i nie próbowałam się po nich wspiąć. Nagle pokonanie dwudziestu stopni okazało się tak olbrzymim wysiłkiem, że musiałam się kilka razy chwytać poręczy, żeby podciągnąć się wyżej. Zadyszałam się i zasapałam, co mi uświadomiło, że nie jestem w najlepszej kondycji.

Poczułam, że jeżeli natychmiast się czegoś nie napiję, umrę z pragnienia. Obie butelki wody, które wzięłam ze sobą, zostały już dawno wypite, więc korzystając z tego, że ścieżka, którą szłam, prowadziła obok restauracji, skręciłam tam i ruszyłam

prosto do baru.

Wdrapałam się na jedno z krzeseł, zdjęłam torbę i zrzuciłam na podłogę, a piasek, który oblepił ją jeszcze na plaży, obsypał się z niej teraz efektowną kaskadą.

Choć rozsądek podpowiadał mi, że najlepiej napiję się wodą lub zieloną herbatą, zamówiłam colę, a potem siedziałam, sącząc ją przez słomkę i myślałam, że to był naprawdę fantastyczny dzień.

Właśnie wysysałam ostatnie brązowe krople ze szklanki, kiedy od strony parkingu pojawiło się dwóch policjantów. Ich widok tutaj nie był czymś oczywistym, więc nie spuszczałam ich z oczu. Byłam bardzo ciekawa, co oznacza ich wizyta.

Policjanci zatrzymali się przy recepcji, a chwilę później od strony biura nadszedł Szczygielski. Przywitał się z mężczyznami i poprosił, żeby poszli za nim. Zniknęli w ciemnościach korytarza, prowadzącego do części gospodarczej.

Poprawiłam się na krzesło i zamówiłam drugą colę. Zapowiadało się interesująco.

Byłam w połowie butelki, kiedy z korytarza wyłonili się policjanci, a między nimi szedł Rachoń.

Ręce miał założone do tyłu i nie trzeba było być jasnowidzem, żeby się domyślić, że jest skuty kajdankami. Na jego twarzy malowała się wściekłość.

Kiedy mijali recepcję, jeden z policjantów położył mu dłoń na ramieniu i pokierował go w stronę parkingu.

– Nie wierzę – wyszeptałam. – Ale akcja!

Z restauracji pobiegłam prosto do bungalowu Wojtka. Musiałam się z nim tą informacją podzielić. Zapukałam do drzwi, a kiedy mi otworzył, chwyciłam go za ramiona.

– Aresztowali go! Wyobrażasz sobie?

Wojtek zamrugał kilka razy, nie bardzo rozumiejąc, o co mi chodzi.

– Aresztowali, ale kogo?

– Rachonia! Widziałam, policjanci go wyprowadzali z hotelu!

Teraz to Wojtek chwycił mnie za ramiona, przyciągnął do siebie i złożył soczysty pocałunek na moim czole.

– Dzielna dziewczyna! Brawo!

– Nie, nie! – zaprotestowałam. – To nie moja zasługa. To Szczygielski się tym zajął.

– Jaki Szczygielski? – zainteresował się Wojtek i wtedy nagle do mnie dotarło, że on przecież nie brał udziału w całym tym cyrku z przekazaniem hotelu Sylwkowi.

– Właściciel Karibu – odpowiedziałam i w kilku zdaniach streściłam wydarzenia wczorajszego wieczoru.

– Sporo straciłem – przyznał, kiedy skończyłam mówić. – Ale potwornie bolała mnie głowa, nie miałem już siły na nic. – A potem pokiwał głową z uznaniem i dodał: – Jesteś bardzo skuteczna.

Nigdy tak o sobie nie myślałam. Gdyby ktoś mi kazał wymieniać moje zalety, na pewno nie wymieniałabym skuteczności. W ogóle trudno by mi było jakąś wymienić, ale o skuteczności nie pomyślałabym w życiu.

- No może trochę... Spotkamy się na kolacji? – spytałam.
- Świetnie. Siódma?
- Siódma.

W naszym domku matka zajęta pisaniem nawet nie zauważyła, że się pojawiłam. Nie chciałam jej przeszkadzać, więc wzięłam szybki prysznic, przebrałam się i chociaż do umówionego spotkania z Wojtkiem miałam jeszcze pół godziny, ruszyłam do restauracji.

Kiedy szłam wzdłuż budynku hotelu, chciałam zajrzeć do biura i sprawdzić, czy Sylwester jeszcze pracuje, ale okno było zasłonięte roletą.

W wejściu do restauracji zatrzymał mnie kelner i poinformował, że niestety wszystkie miejsca na ten moment są zajęte i zapytał, czy byłabym taka miła i poczekała przy barze, aż się coś zwolni.

Akurat na siedzenie przy barze w tym momencie nie miałam ochoty, wybrałam więc jedno z dwóch drewnianych, ozdobnych krzeseł stojących pod ścianą kilka metrów dalej. Było tu dość wygodnie, a wi-fi miało mocny sygnał, więc zaczęłam sobie spokojnie przeglądać newsy na telefonie.

Po mniej więcej kwadransie pojawił się Wojtek.

- Ty tak tutaj za karę? – zdziwił się.
- Czekam na stolik – wyjaśniłam.

Klapnął na sąsiedni fotel.

– Jak tylko zobaczysz tego właściciela, podpytaj go o to aresztowanie – poradził. – Jakie mu postawili zarzuty i tak dalej.

– Jasne. Bardzo jestem ciekawa, czy będą w stanie coś mu udowodnić. Co z wynikami sekcji?

– Ciągle nic... – zamyślił się. – To swoją drogą przedziwne, że przez kilka dni nikogo ta śmierć nie interesowała...

– Poza mną – zwróciłam mu uwagę.

– Jasne, poza tobą. A ledwo się pojawił właściciel hotelu, już wszyscy stoją na baczność.

– No nie mów mi, że nie wiesz, jak to działa – parsknęłam śmiechem. – Jest nawet takie przysłowie: „Pańskie oko konia tuczy”.

W tym momencie z restauracji wyszła para, której nie kojarzyłam. Rozmawiali ze sobą po angielsku, co w tym hotelu było ewenementem.

Kiedy nas mijali, kobieta spojrzała na ścianę nad nami i powiedziała bez śladu jakiegokolwiek emocji.

– *There is a big spider on the wall.*

Odchyliłam głowę do tyłu i popatrzyłam w górę. Jakiś metr nad moją głową siedział pająk. Powiedzieć o nim „big” to nic nie powiedzieć. Był gigantyczny. Z takim rozstawem odnóży miałyby trudności, żeby się zmieścić w tortownicy.

Jeszcze przez sekundę siedziałam bez ruchu, patrząc na pająka jak zahipnotyzowana, po czym poderwałam się z wrzaskiem i piszcząc przeraźliwie, odskoczyłam na bezpieczną odległość.

Wojtek zareagował spokojniej. Wstał, poszedł do recepcji i po chwili wrócił z wielkim pojemnikiem aerozolu na owady.

– Lepiej stąd idź – poradził.

Nawet mi przez głowę nie przeszło uczestniczenie w tej egzekucji. Nie dlatego, że współczułabym pająkowi. Po prostu bałam się, że coś pójdzie nie tak i pająk albo ucieknie, albo mnie zaatakuje. Na wszelki wypadek schowałam się za rosnącą w wielkiej donicy palmą, sprawdziwszy uprzednio liście, czy czasem nie urządzają tam imprezki pajęczy krewni.

Do holu wróciłam dopiero, kiedy Wojtek zapewnił mnie, że pająk nie żyje. A ponieważ przez ten czas zwolnił się stolik, weszliśmy do restauracji.

– Przepraszam za ten cyrk – uśmiechnęłam się krzywo. – Mam arachnofobię. Jak widzę pająka, nie potrafię nad sobą zapanować. To jest taki absurdalny, atawistyczny strach... Wiem, że to idiotyczne, zwłaszcza kiedy się jest lekarzem weterynarii. Żadnego innego zwierzęcia się nie boję – ani żaby, ani myszy, ani węża... Za to na pająki reaguję tak, jak widziałeś.

– A pamiętasz, jak Blanka znalazła węża w łazience? – przypomniał sobie Wojtek. – Też o mało wtedy nie umarła ze strachu.

Czasami tak jest, że jedno słowo albo zdanie uruchamia w głowie cały ciąg skojarzeń, który zaczyna żyć własnym życiem i doprowadza nas do punktu, o którym wcześniej w ogóle byśmy nie pomyśleli. I właśnie tak stało się teraz.

Kiedy Blanka znalazła w łazience węża, o mało nie umarła ze strachu... Choć prędzej mogła umrzeć od ukąszenia, ponieważ wąż był jadowity. Bardzo jadowity... Czułam, że w mojej głowie jest jeszcze jeden element, który aż prosi o to, żeby połączyć się z pozostałymi.

Zaraz, moment... Czy to możliwe?

Chwyciłam telefon i w pośpiechu zaczęłam przerzucać zdjęcia. Nie robiłam ich przez ostatnie dni zbyt wiele, dlatego te, o które mi chodziło, znalazłam bardzo szybko.

– Wojtek, coś ci prześlę – powiedziałam. – Dwie fotki do porównania.

Telefon Wojtka brzęknął dwa razy sygnałem odebranych wiadomości. Wojtek otworzył pierwsze zdjęcie. Znajdował się na nim martwy wąż leżący na posadzce łazienki.

– No tak, to ten, którego tak się przestraszyła. To o niego była kłótnia z menagerem.

– Dokładnie. A teraz otwórz drugie.

Na drugim zdjęciu zobaczyliśmy koszyk upleciony z liści palmy, a w nim

zwiniętego w kłębek węża, na pierwszy rzut oka bardzo podobnego do tego z łazienki. Wojtek kilka razy przesuwiał zdjęcia to w górę, to w dół, porównując je ze sobą.

– Popatrz, ten ma tutaj taką jasną plamkę przy oku, a ten drugi też – powiększyłam obraz, żeby mu pokazać. – Według mnie one są identyczne.

– Magda, to węże są – Wojtek pokręcił sceptycznie głową. – W dodatku tego samego gatunku. Jakbyś wzięła dwie żmije, to też by ci się wydawały identyczne.

– A jeżeli ten wąż w waszej łazience to ten sam, którego chciał sprzedać chłopiec? – zapytałam drżącym głosem.

– Naprawdę sugerujesz, że ktoś kupił tego węża na plantacji i przywiózł ze sobą do Karibu?

– Tak.

– Założmy, że to prawda. Tylko po co miałyby to robić?

– Żeby zabić Blankę!

Wojtek popatrzył na mnie jak na wariatkę.

– Zabić Blankę? Przecież to nie ma sensu. Naprawdę uważasz, że ktoś zadałby sobie tyle trudu przy tak niewielkiej szansie powodzenia? – stwierdził Wojtek. – Istnieje tyle prostszych sposobów...

– Jak na przykład utopienie? – spytałam. – Ona nie żyje, Wojtek. I tak, zgadzam się, podrzucanie komuś jadowitego węża to dziwny pomysł, ale ludzie czasami robią dziwne rzeczy. Naprawdę myślisz, że to mógł być przypadek? Obecność tego węża w waszym bungalowie?

Wojtek potarł łysę czoło dłonią.

– Magda, daj spokój. Nie widzisz, że sama sobie przecyzysz?

– W jakim sensie?

– Przecież jeżeli przyjąć twoją teorię, że ktoś kupił węża na plantacji po to, żeby zabić Blankę, to znaczy, że to ktoś inny na nią dybał, nie Rachoń. Bo Rachoń tego węża nie mógł kupić. Nie było go na wycieczce.

– Żeż cholera jasna...

Wojtek miał rację. Rachonia nie było na plantacji. Nie mógł kupić węża. Koniec kropka. Poza tym po co miałyby go kupować, skoro nie miał motywu? Motyw pojawił się dopiero po awanturze o... węża. Nic tu się nie trzymało kupy.

– Sama widzisz, że to bez sensu – poklepał mnie po ramieniu Wojtek. – Po prostu już nie kombinuj, nie zastanawiaj się, nie szukaj nowych dowodów, bo zepsujesz stare.

Miał rację. Oczywiście, że miał rację.

Zjedliśmy bardzo dobrą kolację i wypiliśmy po kieliszku wina. Rozglądałam się za Szczygielskim, bo chciałam go wypytać o Rachonia, ale właściciel tylko raz mignął mi koło recepcji, potem już go nie widziałam. Sylwester również się nie pokazał w restauracji, musiał mieć teraz mnóstwo pracy z naprawianiem szkód, które wyrządził jego poprzednik.

Matka na kolację nie dotarła. Zadzwoiła za to do mnie i poprosiła, żebym wracając, coś jej ze sobą przyniosła, bo nie chce się jej dzisiaj wychodzić do ludzi.

Ten stan sugerował, że wreszcie finiszuje ze swoją książką. Ciekawe, czy zdąży ją skończyć przed wyjazdem?

Kiedy dotarłam do naszego bungalowu z talerzem krewetek, okazało się, że nie pisze jak zwykle na tarasie, tylko w środku. Żeby jej nie przeszkadzać, wyszłam na dwór i położyłam się na leżaku pod usianym gwiazdami niebem. Było ich dużo więcej i świeciły dużo jaśniej niż na naszej półkuli. I nagle tak strasznie zatęskniłam za Podkową, za dziećmi, domem i tym naszym niebem, że aż mnie coś ścisnęło za gardło.

Wstałam, oparłam się o balustradę i zaczęłam szukać wzrokiem oceanu, być może myśląc o powracających do portu statkach. Ponieważ widok zasłaniały mi liście rosnącej blisko tarasu palmy, przesunęłam się odrobinę w lewo, zrzucając przy okazji coś, co tkwiło na słupku poręczu.

Schyliłam się i podniosłam to, zaciekawiona.

W pierwszej chwili nie zorientowałam się, co trzymam w ręce, ale potem dotarło do mnie, że to korona przywieziona z plantacji przypraw. Teraz w niczym nie przypominała efektownej, zielonej ozdoby, jaką była jeszcze tydzień temu. Liście wyschły, straciły kształt i kolor. Pozostawiona na pamiątkę korona nie nadawała się już do niczego.

Zamachnęłam się i wyrzuciłam ją w krzaki. Bez sensu było ją trzymać.

W momencie, w którym pęk liści opadł z szelestem gdzieś w palmowe zarośla, przypomniał mi się koszyk, w którym chłopiec przechowywał węża, upleciony w identyczny sposób, co korona. Po wyschnięciu na pewno tak samo brzydki i bezkształtny...

I nagle uświadomiłam sobie coś, co sprawiło, że serce zaczęło mi bić jak szalone.

Wzięłam kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić, i ścieżką prowadzącą przez ogród ruszyłam w stronę bungalowu Wojtka.

Teren wokół bungalowów oświetlały niskie lampy, wkomponowane w zieleń, jednak ich moc była zbyt słaba, żeby umożliwić odnalezienie tego, czego zamierzałam szukać. Włączyłam więc latarkę w komórce i zaczęłam przeczesać krzaki rosnące wokół domku Wojtka.

Sprawdzałam drobiazgowo każdą kępę roślin, podnosiłam opadające do ziemi liście niskich palm i odchylałam łodygi, jednak bez efektu. Już zaczynałam tracić nadzieję, kiedy nagle światło komórki wydobyło z mroku szarą, bezkształtną bryłę, wyglądającą trochę jak stara, sfatygowana piłka futbolowa, z której uszło powietrze.

Uklękłam na ziemi obok tego dziwnego tworu i wzięłam go ostrożnie do ręki. Był to pozornie bezładny kłęb wyschniętych palmowych liści, identycznych jak te, z których upleciona została korona. Kiedy przyjrzałam się im uważnie, dostrzegłam wyraźny splot świadczący o tym, że twór ten został uformowany przez człowieka, nie

przez naturę.

– Szukajcie a znajdziecie, Mateusz siedem siedem – powiedziałam z satysfakcją i poszłam porozmawiać z Wojtkiem.

Siedzieliśmy u niego na tarasie, popijając zimne piwo, które wyjął z lodówki. Bardzo tego piwa potrzebowałam. Między nami na stoliku leżała zeschnięta bryłka liści, którą znalazłam w ogrodzie. I prowokowała pytania.

– To jest koszyk, w którym był przechowywany wąż. Ktoś tego gada tutaj przyniósł, wpuścił do waszego domku, a koszyk wyrzucił w krzaki.

– Niesamowite. – Wojtek kręcił z niedowierzaniem głową. – Niesamowite...

– A wiesz, co jest najgorsze? – spytałam, przykładając butelkę do skroni, żeby się trochę ochłodzić. – Że w takim razie zabójcą Blanki wcale nie jest Rachoń.

Wojtek westchnął.

– Ale przecież wszystko wskazuje na niego! Został aresztowany!

– Daj spokój! – machnęłam ręką. – Nie wątpię, że ma na koncie różne finansowe przekręty, może nawet inne przestępstwa, ale wąż go wyklucza.

– Swoją drogą jak na to wpadłaś? – Wojtek dźgnął palcem suchy kłęb liści.

Opowiedziałam mu, jak go podsłuchiwalismy z Sylwestrem i jak się potknęłam o koszyk.

– Wtedy nie miałam pojęcia, co to było. Ale dzisiaj przez przypadek znalazłam zeschniętą koronę, którą dostałam na plantacji. Wyglądała bardzo podobnie do tego czegoś – teraz ja pokazałam na resztki koszyka.

Wojtek podniósł się ze swojego miejsca i zaczął chodzić po tarasie w tę i z powrotem.

– W takim razie jeżeli nie Rachoń, to kto?

– Ktoś, kto kupił węża. To jasne – odpowiedziałam.

– Spróbujmy sobie w takim razie przypomnieć, kto się tam kręcił obok tego chłopca?

– Wszyscy – wzruszyłam ramionami. – Cała wycieczka. Pamiętaj, że czekaliśmy ze dwadzieścia minut na kierowcę. Przez ten czas ludzie się snuli z miejsca na miejsce, każdy zdążył być przy tym chłopaku z parę razy.

– Powinniśmy tam pojechać! – Wojtek aż się uderzył dłonią o udo. – Teraz! Odnaleźć tego chłopca i pokazać mu zdjęcia uczestników wycieczki! Może rozpozna, kto kupił od niego węża!

– Przede wszystkim my nie rozpoznamy dzieciaka – zauważyłam. – Oni są dla mnie wszyscy identyczni, poza tym i tak się z nimi nie dogadamy, bo nie mówią po angielsku. Nie sądzę, żeby wyjazd na tę plantację dał cokolwiek.

Upiłam łyk piwa. Było cierpkie i orzeźwiające, a ja bardzo potrzebowałam czegoś, co mnie ochłodzi.

– Wiesz, że właśnie wróciliśmy do punktu wyjścia? – uświadomił mi Wojtek. –

Czyli znowu nie mamy pojęcia, kto zamordował Blanę?

– No niestety. Dlatego musimy znowu zacząć od tego, co powiedział Sikora. Znajdź motyw, znajdziesz mordercę – przypomniłam mu.

– Nie podejmuję się – Wojtek rozłożył ręce bezradnie. – To jest nie do zrobienia.

Odstawiłam butelkę i wstałam.

– Ja też nie. Muszę iść do domu, wziąć jakiś proszek, bo głowa mi pęka, i iść spać. Jutro porozmawiamy, dobrze?

– Dobrze – zgodził się. – Spotkajmy się na śniadaniu. Może jak będziemy w lepszej formie, coś się urodzi.

ROZDZIAŁ 29

Niestety następnego dnia ja byłam w formie tragicznej. Prawie całą noc nie spałam, przewracając się z boku na bok i zastanawiając nad tym, kto i dlaczego, czy może raczej: dlaczego i kto zamordował Blankę. I oczywiście nie doszłam do żadnych wniosków. No, może poza jednym, który zamiast pomagać, przeszkadzał. Bo nagle się zorientowałam, że analizując potencjalne motywy zbrodni biorę pod uwagę tylko takie, które dotyczą mężczyzn, a skrętnie omijam te, które mogłyby dotyczyć też kobiet. Podświadomie założyłam, że sprawcą jest facet, a przecież to wcale nie musiała być prawda. Podrzucenie komuś do domku jadowitego węża wymagało wyłącznie sprytu, a nie fizycznej siły, więc równie dobrze mogła to zrobić kobieta.

Tylko czy kobieta poradziłaby sobie również z utopieniem Blanki? Dlaczego nie? Zwłaszcza gdyby ofiara była nieprzytomna...

Natychmiast pomyślałam o żonie Dukaja, zdradzonej i upokorzonej, która sama twierdziła, że jest zazdrosna. Tak, zazdrość byłaby idealnym motywem, gdyby nie fakt, że Moniki z nami na farmie przypraw nie było.

Później zaczęłam się nawet zastanawiać nad wersją, w której sprawców mogło być dwoje. Natychmiast przyszli mi do głowy młodzi zakochani. Byli tak specyficzną i tak denerwującą parą, że w ogóle bym się nie dziwiła, gdyby za tą ich ostentacyjną, cukierkową bliskością coś się kryło. Coś mrocznego.

I na takiej oto gimnastyce umysłowej upłynęła mi noc.

Ranek powitał mnie bólem głowy i kompletnym brakiem energii. I pomyśleć, że nie dalej jak wczoraj o tej porze pakowałam się na uroczą wycieczkę po plaży, obiecując sobie, że do końca pobytu na Zanzibarze nawet się nie zajmknę na temat Blanki.

Okazało się, że matka jest w podobnej formie jak ja. Wczoraj, kiedy wróciłam od Wojtka naładowana emocjami i marzyłam o tym, żeby opowiedzieć jej o wszystkim, co wydarzyło się tego wieczora, już spała. Położyła się w sukience, w której przez cały dzień pisała, a obok niej na łóżku stał ciągle otwarty laptop i talerz niedojedzonych krewetek. Chyba po raz pierwszy dotarło do mnie, że pisanie może być męczące.

Teraz, choć zbliżała się już ósma, matka spała nadal, posapując lekko. Postanowiłam, że nie będę jej budzić. Wzięłam prysznic, włożyłam szorty i koszulkę z idiotycznym napisem „Niby ideałów nie ma, a jednak jestem”, którą dostałam od

Elki zeszłego lata. Lubiłam ją, bo była luźna i z dobrej bawełny, a napis nauczyłam się ignorować. I poszłam na śniadanie.

Przy wejściu do restauracji zaczepił mnie kelner.

– Proszę. Dziękuję – powiedział z uśmiechem, wręczając mi kartkę formatu A5 z kolorowym nadrukiem.

Na kartce znajdował się plan wycieczki do Stone Town, wypisany w języku polskim i angielskim. Z ulotką w rękę zaczęłam się rozglądać za Wojtkiem. Już był. Siedział zgarbiony przy dwuosobowym stoliku i grzebał widelcem w jajeczniczy. Tak jak ja, również nie wyglądał kwitnąco. Podeszłam do niego, przelatując po drodze wzrokiem plan wycieczki.

– Cześć – spróbował się uśmiechnąć, ale średnio mu wyszło. – Jak się spało?

– Tak, jak widać – opadłam na krzesło naprzeciwko niego. – Nawet jeść mi się nie chce.

Nie chciało mi się też na razie rozmawiać o Blance, więc położyłam przed nim ulotkę o wycieczce i zapytałam:

– Widziałeś to?

Wojtek bez słowa sięgnął do kieszeni na piersi, wyjął stamtąd złożoną na czworo ulotkę i położył obok mojej.

– Mam ochotę pojechać – wyznałam szczerze. – Potrzebuję resetu.

Wojtek postukał paznokciem w ulotkę.

– Ciekawie się zapowiada – przyznał. – Może ja też się wybiorę?

Mam wrażenie że wszystko, co nowe i zaskakujące, musi być poprzedzone przez nudę i marazm. Na wycieczkę do jednego z najciekawszych miejsc na wyspie jechaliśmy tymi samymi co zwykle hotelowymi busami, w tym samym co zwykle towarzystwie, w dodatku drogą, która wyglądała identycznie jak wszystkie, którymi się wcześniej poruszaliśmy.

Może dlatego przez większość podróży drzemałam.

Kiedy dojechaliśmy na miejsce, było prawie południe. Kierowca zatrzymał się na parkingu naprzeciwko bazaru Darajani – długiego białego budynku, wybudowanego na początku dwudziestego wieku, który stanowił jedną z głównych atrakcji Stone Town. Dopiero kiedy wysypaliśmy się z busów, dotarło do mnie, że na wycieczkę wybrało się całkiem sporo osób, bo nie licząc kierowców, była nas osiemnastka.

Przewodnik, młody czarnoskóry mężczyzna o imieniu Ali, rzecz jasna mówiący płynnie po polsku, pouczył nas, że mamy się go pilnować, że nie będzie na nikogo czekał i żeby uważać na torby i portfele, bo z tym różnie bywa. Całą przemowę wygłosił, uśmiechając się od ucha do ucha, zupełnie jakby wizja okradanych albo zagubionych uczestników wycieczki niezwykle go bawiła.

Z trudem przeprawiliśmy się na drugą stronę szerokiej i wyjątkowo ruchliwej alei

i znaleźliśmy się na placu zastawionym straganami pełnymi egzotycznego jedzenia. Lokalne pieczywo, słodczyce, owoce, warzywa, wszystko piętrzyło się i urzekało kolorem i zapachem. Nie zostało nam jednak dane nacieszyć się tą obfitością, bo musieliśmy nadążyć za przewodnikiem, który posuwał się przed siebie szybkim, równym tempem, i tak jak uprzedzał, w ogóle się za siebie nie oglądał.

Kiedy udało nam się przebić przez falujący między straganami tłum, Ali wprowadził nas do wnętrza Darajani Bazaar. W momencie, w którym przekroczyliśmy kamienny próg, uderzył w nas tak nieprawdopodobny fetor, że w pierwszym odruchu miałam ochotę zawrócić.

Smród unoszący się w powietrzu był jak mgła – otulał człowieka szczelnym, nieprzyjemnym kokonem, przenikał przez ubranie i włosy, a jego pochodzenie poznaliśmy natychmiast, kiedy weszliśmy głębiej. Długie targowe wnętrza, z powodu łukowatych wykończeń przypominające trochę nasze Sukiennice, składało się z dwóch części. W jednej sprzedawano ryby i owoce morza, w drugiej – mięso. I nawet jeżeli towar leżący na stołach był świeży, w co nie bardzo chciało mi się wierzyć, to warstwa brudu na ścianach oraz kałuże krwi na ziemi robiły robotę.

Nie miałam pojęcia, dlaczego Ali musiał prowadzić nas akurat tą drogą, ale nie było czasu na rozważania – nasza wycieczka przemieszczała się energicznie wzdłuż hali targowej i musiałam dotrzymać im kroku. Posuwałam się ze wzrokiem wbitym w ziemię, starając się omijać krwiste kałuże pod nogami i nie poślizgnąć się na mokrej posadzce. Na samą myśl, że mogłabym się tutaj przewrócić, dostawałam skurczów żołądka.

Jakimś cudem udało mi się bez szwanku przedostać na drugą stronę budynku. Tutaj, pod prowizorycznymi daszkami z plastiku i blachy, kryły się stragany z przyprawami. Kontrast między tymi dwoma światami był tak drastyczny, że musiałam się na chwilę zatrzymać i wziąć kilka głębokich oddechów. Moje płuca napełniły się cudowną mieszanką aromatów curry, wanilii, cynamonu i gałki muszkatołowej, które unosiły się nad setkami plastikowych torebek, pełnych kolorowego pyłu, ułożonych w misterne kupki na niskich stołach sprzedawców.

Bogactwo tego egzotycznego asortymentu było tak szalone i fascynujące, że zamiast rozglądać się za Alim, zaczęłam się wczytywać w nazwy i ceny, zapominając o bożym świecie. Gdyby nie Wojtek, który stanowczo pociągnął mnie za sobą, prawdopodobnie zgubiłabym się już tutaj.

Dalsza trasa naszej wycieczki, jak nam wyjaśnił Ali, miała prowadzić przez stare miasto aż nad ocean. Zagłębiliśmy się więc w uliczki tak wąskie, że z trudem mijały się w nich trzy osoby, a żeby przepuścić nadjeżdżający z przeciwka rower, trzeba się było przykleić do ściany.

Po drodze zatrzymywaliśmy się co chwila przy przepięknych drewnianych drzwiach, nabijanych mosiężnymi bolcami i zwieńczonych płaskorzeźbami o roślinnych i zwierzęcych motywach. Z informacji, które podawał nam Ali, zostało mi w głowie tylko to, że te słynne zanzibarskie drzwi są idealnym przykładem wymieszania się trzech kulturowych tradycji: suahili, arabskiej i indyjskiej, oraz że metalowe kolce, jakimi były nabijane, miały je bronić przed atakiem słoni, które

podobno kiedyś żyły na wyspie.

Co jakiś czas Ali zwracał też naszą uwagę na piękne budynki w stylu kolonialnym, które mijaliśmy – obsadzone zielenią, z zewnętrznymi, ażurowymi balkonami. Niestety tak jak większość tutejszych domów znajdowały się w stanie pozostawiającym wiele do życzenia.

Brak spektakularnych zabytków rekompensowała atmosfera panująca w wąskich uliczkach miasta. To przeciskanie się między sprzedawcami pamiątek zachwalającymi towar, ich kolorowe kramy i miejscowi mieszkańcy, prowadzący przed domami swoje interesy, popijający kawę, a nawet oglądający telewizję na wystawionych na zewnątrz odbiornikach sprawiło, że mój zachwyty tym miejscem z każdą minutą wzrastał.

W pewnym momencie Ali zatrzymał się przed wejściem, nad którym napis głosił „Zanzibar coffee house”.

– Teraz idziemy na kawę – oznajmił zadowolony. – Pół godziny tutaj.

Osiemnaście osób zamawiających kawę jednocześnie trochę zakorkowało kawiarnię, więc po odstaniu swojego w kolejce marzyłam tylko o tym, żeby usiąść.

Niestety, wszystkie stoliki w zasięgu naszego wzroku były zajęte. Staliśmy tak z Wojtkiem, rozglądając się, kiedy podszedł do nas Ali i powiedział radośnie:

– Schody. Schody. Fajny dach.

Spojrzeliśmy na siebie zdziwieni, ale ponieważ i tak nie mieliśmy co ze sobą zrobić, po chwili namysłu ruszyliśmy po schodach w górę, niosąc ostrożnie filiżanki z kawą.

Może gdyby Ali nas uprzedził, że wejście na najwyższy poziom kawiarni przypomina drogę na szczyt latarni morskiej, odpuściłabym sobie tę wycieczkę. Na szczęście ani słowem się o tym nie zająknął i kiedy ledwo żywa dotarłam na samą górę, mogłam wydać jedynie westchnienie zachwytu.

Miejsce, w którym się znaleźliśmy, było najwyższej położone w okolicy i widok dosłownie zapierał dech w piersiach. Pod nami rozciągało się morze blaszanych dachów, zbudowanych na różnych wysokościach i w różny sposób odbijających światło, poprzetykane zielonymi kopułami drzew i wysokimi, wystrzelającymi w górę jak kielki krokusów wieżyczkami świątyń. Przestrzeń i światło, coś, czego na dole w Kamiennym Mieście nie było wcale.

Obeszliśmy wieżę dookoła, podziwiając widoki, po czym usiedliśmy na niskich, wygodnych kanapach, żeby wypić kawę. Dzięki temu, co tu zobaczyłam, byłam w cudownym nastroju. Może dlatego uznałam, że rozmowa na temat Blanki w takich okolicznościach nie powinna boleć aż tak bardzo.

– Całą noc o tym myślałam – zaczęłam ostrożnie.

– Ja też – przyznał Wojtek. – Ale nic nie wymyśliłem.

– Ja też... Bo widzisz, jaki ten morderca mógł mieć motyw, skoro ona tutaj nikogo nie znała? Ludzi się nie zabija tak bez powodu. A jaki powód może mieć ktoś zupełnie obcy, żeby popełnić zbrodnię?

Wojtek w tym momencie zmarszczył brwi i zaczął nerwowo pocierać zarost.

– Jak teraz o tym mówisz, to tak się zastanawiam... I wiesz co, że ona chyba jednak kogoś znała? – powiedział w zamyśleniu.

Aż się wyprostowałam.

– Ty chyba żartujesz! Kogo?!

– Pojęcia nie mam. Ale któregoś dnia rzuciła coś takiego, że to żenujące, jaki ten świat jest mały, bo w życiu by się nie spodziewała, że tyle tysięcy kilometrów od domu spotka kogoś, kto jej się kojarzy z pracą. Tylko że ja niestety nie dopytałem, o kogo chodzi.

– Ty masz rację! – ożywiłam się. – Przy mnie też powiedziała coś podobnego! Siedziałyśmy przy stole, Blanka patrzyła na bufet śniadaniowy, tam akurat stało kilka osób... I nagle się mnie spytała, czy ja mieszkam *déjà vu*... Czyli ona mogła widzieć w tym momencie tego kogoś!

Wojtek nachylił się do mnie, głęboko poruszony.

– Pamiętasz, kto tam wtedy był, przy tym bufecie?

– A skąd. Z dziesięć osób. Akurat prawie wszyscy zwalili się na śniadanie o tej samej porze. Tak do niczego nie dojdziemy. Ale jest inny sposób. Gdzie ona pracowała?

– Akcent. Taka dość duża firma od reklamy i marketingu.

– Dobra. Jak tylko wrócimy, dzwonię do Sikory.

Z dalszej części wycieczki zapamiętałam niewiele, bo zajmowałam się głównie patrzeniem na zegarek i dyskretnym poganianiem reszty. Po wyjściu z kawiarni Ali zaprowadził nas jeszcze przed dom Freddiego Mercury'ego, pod którym wszyscy robili sobie zdjęcia, i dalej aż na kamienną nadmorską promenadę, gdzie mogliśmy obserwować, jak młodzi, roześmiani chłopcy skaczą z kamiennego nabrzeża do oceanu. Potem zjedliśmy słynną lokalną zupę urujo, która smakiem i konsystencją przypominała polski żurek, i w końcu Ali zadzwonił po naszych kierowców, którzy podjechali w okolice portu, żeby nas odebrać.

Kiedy zobaczyłam vany zatrzymujące się na poboczu, odetchnęłam z ulgą. Teraz już tylko półtorej godziny i będziemy z powrotem w hotelu, a ja będę mogła w spokoju skontaktować się z Sikorą.

Prosto z parkingu przed Karibu popędziłam do naszego bungalowu, całą drogą modląc się w duchu, żeby matka nie pracowała. O dziwo moja modlitwa została przez kogoś wysłuchana, bo matki w ogóle nie było, za to laptop stał sobie grzecznie na stole w pokoju i aż się prosił, żeby z niego skorzystać.

Na tym moja dobra passa się skończyła, ponieważ Elka miała wyłączony Skype'a. Przez moment biłam się z myślami, czy poczekać z nadzieją, że jednak się pokaże, czy od razu dzwonić do nich Messengerem. Wybrałam tę drugą opcję, bo

choć rozmowa przez komputer byłaby wygodniejsza i zapewne skuteczniejsza, to czas miał tutaj również niebagatelne znaczenie.

Sikora odebrał dość szybko.

– Włącz wideoczat – rozkazałam.

– Co się takiego stało? – zainteresował się, ale musiał chyba w moim głosie wyczuć napięcie, bo posłusznie wcisnął kamerkę. Sekundę później ekran telefonu wypełniła jego szara, zmęczona twarz, a w tle zobaczyłam ścianę garażu z narzędziami wyeksponowanymi niczym dzieła sztuki.

– Sprawa jest bardzo poważna. Posłuchaj.

Nie rozmawialiśmy od dwóch dni, czyli od momentu, kiedy postanowiłam się więcej nie zajmować sprawą Blanki, dlatego liczba faktów, które musiałam mu przedstawić, była spora: kłamstwo Rachonia na temat kluczy, jego aresztowanie, odkrycie, że ktoś próbował zabić Blankę, wpuszczając jej do domku węża, wreszcie to, że znała kogoś z gości albo z personelu Karibu. Sikora słuchał uważnie.

– Tak to wszystko wygląda – zakończyłam. – A teraz będę potrzebowała twojej pomocy.

Nie wydawał się zaskoczony.

– Pewnie byś chciała, żebym ci sprawdził pracowników firmy, w której pracowała Blanka? – zapytał, uprzedzając moją prośbę.

– Tak. Prześlę ci zaraz jej nazwę, mają siedzibę w jakimś biurowcu na Domaniewskiej. Chyba jak się do nich zwrócisz służbowo, to ci bez problemu wydadzą listę pracowników, prawda?

– Pytanie, co to znaczy służbowo. Oficjalnie nie mogę tego zrobić, bo nie prowadzimy śledztwa. W czasach RODO to nie jest takie proste wszystko. Ale nawet jeżeli założymy, że tę listę od nich dostanę, to jest jeszcze jedna kwestia. Żeby się przekonać, czy ktoś z pracowników tej firmy jest teraz w tym twoim hotelu, musielibyśmy nazwiska pracowników firmy porównać z nazwiskami gości i pracowników Karibu – wyjaśnił. – Których nie mamy.

– Jacuś, a nie mógłbyś się zwrócić do właściciela hotelu, żeby ci zrobił taką listę?

– Dziewczyno, naprawdę, ja nie mam siły do ciebie. Serio. Jedziesz niby na wakacje, wpłątujesz się natychmiast w jakąś aferę, zaczynasz prowadzić własne śledztwo, a teraz jeszcze wciągasz w to wszystko mnie. Tak jakbym tutaj nie miał co robić. Nie uważasz, że to przesada?

Znałam te jego narzekania na pamięć. Za każdym razem, kiedy, jak on to nazywał, wpięprzałam mu się w paradę, używał tych samych argumentów. Zdziwiło mnie jedynie to, że tym razem nie padł jego ulubiony epitet „amatorka”. Wiedziałam jednak, że Sikora pogada, pogada i mu przejdzie. Tylko że teraz nie miałam czasu, żeby na to grzecznie czekać.

– Instynkt – powiedziałam twardo. – I intuicja. Wiele razy się przekonałeś, że potrafię ich używać. I nie potrzebuję do tego policyjnej legitymacji. Wiem, że masz swoją robotę. Ważną. Ale zrozum, ja tutaj jestem kompletnie bezsilna. Pomyśl o tym w kategoriach prawa. – Chciałam dodać „i sprawiedliwości”, ale się powstrzymałam.

– Chyba nie chciałbyś, żeby mordercy Blanki to zabójstwo uszło płazem?

Sikora westchnął.

– Ty podła manipulantko – powiedział prawie czule. – I co ja mam teraz powiedzieć? Że mi nie zależy na ukaraniu winnego? – A po pauzie dodał: – To jak się nazywa właściciel hotelu?

– Szczygielski. Michał Szczygielski.

– Dobra. Jutro się tym zajmę.

– Akurat do niego możesz dzwonić dzisiaj – uśmiechnęłam się ślicznie. – My jesteśmy dwie godziny do tyłu z czasem, więc...

– Nie przeginaj – ostrzegł.

– Jasne, jasne...

Posłałam mu buziaka.

– Dziękuję. Kocham cię!

Jacek przewrócił oczami i się rozłączył, a ja odetchnęłam z ulgą. Świadomość, że teraz on zajmie się wszystkim, była kojąca.

ROZDZIAŁ 30

Przedniego wieczoru wydarzyło się jeszcze coś, pozornie błahego, co zrewidowało moje myślenie na temat naszych relacji z matką.

Kiedy skończyłam rozmowę z Sikorą, wróciłam do ciągle otwartego laptopa i odruchowo sprawdziłam dostępność dzieci. Oraz Walczaka. Jednak najwyraźniej nikt o tej porze nie zamierzał nawiązywać ze mną kontaktu, bo żadna ikonka nie paliła się na zielono. I to mnie nawet specjalnie nie zdziwiło, zaskoczyło mnie jednak coś innego. A mianowicie fakt, że w żaden sposób nie poczułam się z tego powodu źle. Nie ma ich? Trudno.

Elka byłaby ze mnie dumna.

I kiedy tak sobie popadałam w samozachwyty, na ekranie komputera wyskoczyło połączenie od Bogusia.

Boguś, gach mojej matki, jak sama go określała, był dla mnie zjawiskiem zagadkowym. Wielbił moją matkę bezgranicznie, a jednak nie bezrefleksyjnie. Potrafił jednocześnie prawić jej komplementy i dyskretnie krytykować jej zachowania, co miało bardzo wychowawczy skutek. Podziwiałam go za cierpliwość, dystans oraz poczucie humoru, bez którego przy mojej matce długo by nie pociągnął. I też zwyczajnie bardzo lubiałam, dlatego bez zastanowienia odebrałam rozmowę.

– Magda! Jak miło cię widzieć! – szczerze się ucieszył. – Chociaż przyznam, nie spodziewałem się. Matka twierdzi, że ciągle gdzieś cię nosi i ona cię przez to w ogóle nie widuje.

Zastrzygłam uchem. Ciekawe... W mojej opinii nie spędzałyśmy ze sobą czasu dlatego, że matka prawie się nie odrywała od laptopa. Ale nie zamierzałam drażnić tematu.

– Jak się czujesz? – spytałam. – Jak noga? Tak mi strasznie głupio, że jestem tutaj zamiast ciebie.

– Daj spokój, przecież to nie twoja wina! Naprawdę bardzo się cieszę, że sobie odpoczniecie obie, złapiecie trochę słońca... Ja już się w sumie najeździłem w tropiki...

Nie chciałam, żeby to zabrzmiało jak pretensja, ale uznałam, że muszę mu coś uświadomić.

– No mama to sobie raczej nie odpocznie – zauważyłam. – Cały czas pisze. Aż mi jej szkoda normalnie.

Na twarzy Bogdana pojawiło się zaskoczenie.

– Słucham? Co to znaczy, cały czas pisze? Co pisze?

Teraz ja musiałam mieć niezbyt rozgarniętą minę, bo kompletnie nie rozumiałam, co do mnie mówi.

– Jak to co pisze? Kończy książkę przecież. Dla twojego wydawnictwa. I nawet tak się zastanawiałam, czy nie moglibyście jej jakoś przedłużyć terminu, żeby mogła skorzystać z tego wyjazdu, bo inaczej to trochę bez sensu. Jechać taki kawał drogi po to, żeby siedzieć cały czas przy komputerze...

Bogdan wyglądał na totalnie zdezorientowanego.

– Madziu, ale ona teraz nie musi kończyć żadnej książki!

– Musi! – zaprotestowałam gorąco. – Odkąd tu jesteśmy, cały czas mi mówi, że miała skończyć książkę przed wyjazdem, ale się nie wyrobiła, i że tam u was wszystko poustawiane i nie może przesunąć terminu, dlatego tak intensywnie pracuje. Bo wydawnictwo czeka na tekst.

Bogdan jęknął.

– Owszem, czekamy na tekst, ale w marcu! Ten wyjazd na Zanzibar planowaliśmy od dawna, dlatego tak ustawiłem jej terminy, żeby z niczym nie kolidowały. Żeby mogła na luzie wypocząć i potem po powrocie z nową energią usiąść dalej do pisania. Ma jeszcze dwa miesiące!

Patrzyliśmy na siebie coraz bardziej nieufnie. Zupełnie jakbyśmy rozmawiali o dwóch różnych Zofiach Sarneckich.

– Nie rozumiem tego – powiedziałam w końcu płacząco. – Może ktoś coś zmienił w wydawnictwie i ci nie powiedział?

– Madziu, u mnie nikt sobie kawy nie zrobi, zanim mnie nie zapyta. Uwierz mi, twoja matka ma jeszcze dwa miesiące na dokończenie tej książki. Z tego co wiem zostało jej już tylko kilka rozdziałów, więc te dwa miesiące to dla niej mnóstwo czasu.

Nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć.

– Ale dlaczego miałyby kłamać? – spytałam bezradnie.

– Nie wiem, zapytaj. Na pewno jest jakieś sensowne wytłumaczenie. Mam nadzieję, że nie takie, że twoja matka pisze na boku książkę dla konkurencji. – Roześmiał się. – A teraz, jeżeli pozwolisz, wyłączę się. Ściskam mocno.

I zostawił mnie z odbezpieczonym granatem w dłoni.

Na szczęście nie musiałam zonglować nim zbyt długo, bo matka wróciła jakiś kwadrans później. Była w świetnym humorze, który ja zamierzałam jej popsuć.

– Dzwonił Bogdan – oznajmiłam.

– A to miło, miło. Zaraz oddzwonię.

– Odebrałam. Porozmawialiśmy sobie – ciągnęłam.

– Świetnie. I co u niego? – rzuciła dość obojętnie.

– Wszystko w porządku. Pytał, jak ci idzie wypoczynek...

Nawet powieka jej nie drgnęła.

– I co mu powiedziałaś?

– Że kończysz książkę i nie odchodzisz od laptopa. Zdziwił się.

Obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem.

– To nic nowego – uśmiechnęła się lekceważąco. – On się zawsze wszystkiemu dziwi.

– Akurat w tym przypadku ma zdaje się prawo. Podobno termin masz na marzec.

– Kotek, co on może wiedzieć o moich terminach – prychnęła.

– Jest szefem twojego wydawnictwa.

– No właśnie. Szefem. Nie zajmuje się każdym tytułem, bo by zwariował. Faktycznie coś wspominał o marcu ze względu na nasz wyjazd, ale mój redaktor stwierdził, że chciałby mieć tekst szybciej. Więc piszę. A co ty masz taką minę, jakbyś się miała rozpłakać?

Wcale nie miałam takiego zamiaru, ale na lekko naburmuszoną mogłam wyglądać.

– To komu ja w końcu mam wierzyć? – spytałam z pretensją w głosie.

– Ale co to w ogóle jest za temat? – zirytowała się nagle matka. – Mam termin, piszę książkę, a Bogdanowi coś się pokręciło. Dlaczego miałabym cię okłamywać?

No właśnie. Dlaczego miałaby mnie okłamywać? Przecież to bez sensu. Rzeczywiście Bogdanowi musiało się coś pomylić. Powinnam uwierzyć rodzonej matce, i tyle.

– Chcesz posłuchać, na jaki trop wpadliśmy z Wojtkiem? – spytałam, udobruchana.

Matka rozsiadła się na łóżku.

– Chętnie! A z tym Bogdanem to ja już sobie porozmawiam.

ROZDZIAŁ 31

Następny dzień przywitał nas deszczem. Zjawisko było tak zaskakujące, że aż wyszłam na taras, żeby w nim sobie pouczestniczyć. W końcu nigdy jeszcze nie padał na mnie deszcz w tropikach. Czułam się tak, jakbym stała w łazience pod ciepłym prysznicem. I tak samo nie chciałam spod niego wychodzić.

Kilka minut później deszcz przestał padać. Wróciłam więc do domu, przebrałam się w suche rzeczy i ruszyłam do restauracji z głębokim przekonaniem, że to będzie piękny dzień.

Na sali nie było ani Wojtka, ani Sylwestra, co w jakiś przewrotny sposób mnie cieszyło. Celebrowanie śniadania w samotności dawało mi coraz więcej frajdy.

Przyniosłam sobie z bufetu dwie połówki magno, tak dojrzałego, jakby miało za chwilę eksplodować złotem, dwie marakuje, tosty, masło, konfiturę pomarańczową i filiżankę kawy. Siadając do stołu, pomyślałam nagle z głęboką pewnością, że nigdy i nigdzie żadne śniadanie nie będzie mi tak smakować jak tutaj.

Właśnie zaczęłam rozsmarowywać masło na chlebie, kiedy w telefonie zaterkotał Messenger. Dzwonił Sikora.

Oparłam telefon o stojak z serwetkami i odebrałam wideoczat.

Sikora w kamerce jakoś nigdy się dobrze nie prezentował. Na żywo wydawał się całkiem przystojny, ale zdjęcia i połączenia wideo go dyskwalifikowały. Elka mogła być absolutnie spokojna, że gdyby Jacek zaczął kombinować z Tinderem, branie miałyby zerowe.

Na szczęście jego wygląd nie szedł w parze z zawodową skutecznością.

– Hej, porównałem listy – oświadczył bez wstępow.

Zrobiłam wielkie oczy. Zdaje się, że ostatnio moją główną reakcją na wszystko było zdziwienie.

– No co ty mówisz? Jakim cudem?

– Wziąłem listę pracowników firmy Akcent plus listę ich byłych pracowników oraz listę gości i pracowników hotelu Karibu i porównałem. Żaden cud nie był potrzebny.

– Ale że już? Tak szybko? Tak rano?

– U nas jest jedenasta. Poza tym wszyscy byli mili i współpracowali. Chcesz wiedzieć, co mi wyszło, czy nie chcesz?

– Mów!

– Nic. Nie wyszło mi nic. Nie ma ani jednego nazwiska, które by się powtarzało. Nikt z aktualnych ani byłych pracowników firmy Blanki nie przebywa ani nie pracuje teraz w Karibu Bungalows.

Poczułam się tak, jakby mi ktoś zabrał sprzed nosa kawałek tortu, do którego wcześniej dostałam łyżeczkę.

– No to pięknie. Koniec imprezy. Nic już z tym więcej nie zrobimy – powiedziałam, zrezygnowana.

Przy recepcji pojawił się Sylwester, podał Oli jakieś papiery i rozejrzał się kontrolnie po restauracji. Oczywiście mnie zauważył. Uniósł rękę na powitanie. Odmachałam mu, ale niezbyt zachęcająco. Nie chciałam, żeby teraz podchodził.

Sikora pokiwał współczująco głową.

– Widocznie coś się tej Blance pomyliło. A szkoda, bo wydawało się, że to dobry trop. Za to przy okazji wyszło coś innego. Taki duperel, kompletnie bez znaczenia, ale zabawny.

– No, mów.

– Kiedy sprawdzałem tę warszawską firmę, w której pracowała Blanka, zwróciłem uwagę na ich adres, bo wydał mi się znajomy. No i się okazało, że w tym samym budynku pracował niejaki Przemek Lis.

– Ten od morderstwa w Grodzisku?

– Ten sam. Jego biuro maklerskie mieściło się na piątym piętrze, a firma Blanki na drugim. Taka nic niewnosząca ciekawostka.

– Świat jest zadupiem – stwierdziłam sentencjonalnie. – Dobrze. Bardzo ci dziękuję, że się tym zająłeś. Przykro mi tylko, że straciłeś czas.

Kątem oka zauważyłam, że Sylwester zdecydował się jednak do mnie podejść. Mijając stoliki innych gości, kłaniał się i uśmiechał, menager idealny. Pomyślałam, że jest wręcz stworzony do tej roli.

W końcu zatrzymał się przy mnie, a widząc, że intensywnie wpatruję się w coś, co mam przed sobą, obszedł stolik, żeby zobaczyć, co to. Stanął za mną, położył mi ręce na ramionach, nachylił się i zajrzał w ekran komórki.

– Jacek, ja już będę musiała kończyć – zwróciłam się do Sikory, a Sylwester dopiero teraz się zorientował, że rozmawiam.

– Sorry, myślałam, że coś oglądasz – zreflektował się natychmiast, ale nie odsunął, tylko zaczął uciskać moje obojczyki i barki wprawnymi ruchami masażysty.

– Jeszcze raz ci dziękuję, że poświęciłeś swój czas. Kochany jesteś – posłałam Jackowi buziaka, buziaki podczas wideo bardzo się sprawdzają.

Sikora tymczasem gapił się na mnie z dziwnym wyrazem twarzy. Zapewne widok męskich dłoni masujących moje ramiona zrobił na nim takie wrażenie.

– Magda... – chciał coś powiedzieć, ale mu przerwałam:

– Zdzwonimy się wieczorem! Pozdrów Elkę. Pa! – I wyłączyłam telefon.

– Jezus, dziewczyno, ależ ty jesteś pospinana... – zauważył Sylwester, wbijając mi jednocześnie kciuk pod kość tak mocno, że aż podskoczyłam.

– Auć!

– Kto to był?

– Mój kumpel, policjant. Prosiłam go o przysługę w związku ze śmiercią Blanki. Miał mi coś sprawdzić w jej miejscu pracy. Myślałam, że to świetny trop. Niestety, nic z tego nie wyszło. Dobra, mniejsza z tym... – Nie chciało mi się wprowadzać Sylwka w niuanse tej całej historii. – Lepiej mi powiedz, jak ci idzie szefowanie.

Sylwek usiadł naprzeciwko mnie i odchylił się wygodnie w fotelu.

– Całkiem nieźle... Nikt mi nie podskoczy.

Zaśmialiśmy się oboje.

– A tak serio to Rachoń zostawił niezły bajzel. Porządkowanie bałaganu po nim zajmie mi lekko licząc z miesiąc. Więc, rozumiesz, mam co robić, plus cały czas trzeba działać na bieżąco. Na przykład dziś rano właściciel zlecił mi przygotowanie listy wszystkich gości i pracowników. Brzmi niewinnie, ale zajęło mi z godzinę. Ciekawy jestem tak swoją drogą, na co mu to było...

Już mu chciałam powiedzieć, na co, ale się powstrzymałam.

– Za to przy okazji przejrzałam dokumenty. Ty wiesz, że Rachoń zatrudniał głównie Polaków? Z pensjami dwa razy wyższymi niż te, które płacił miejscowym? I tak na każdym kroku, rozumiesz... – kiwał głową z niedowierzaniem. – Właściciel miał rację, kiedy mówił, że ten hotel jest jak statek. A dookoła skały i mielizny.

Przeczesał palcami włosy. Pomyślałam, że trzeba dużej pewności siebie, żeby się podjąć takiego zadania.

– Jak tu trafiłeś? – spytałam.

– Z ogłoszenia. Szczygielski przez przypadek się dowiedział, że Rachoń sobie tutaj nie radzi, i zaczął na cito szukać kogoś, kim mógłby go zastąpić. Zgłosiłem się i dostałem tę pracę. Tyle.

– A czyj to był pomysł, żebyś się na początku nie przyznawał, że ty to ty?

– Mój oczywiście. Przez kilka dni mogłem się bezkarnie wszystkiemu poprzyglądać, zobaczyć, jak to funkcjonuje od środka i jak są traktowani goście.

– Pamiętam tę awanturę o margeritę...

– Wiem, to nie wyglądało fajnie, ale musiałem trochę poprzeginać – przyznał. – Dzięki temu, kiedy zastąpiłem Rachonia, wiedziałem sporo o funkcjonowaniu hotelu i o pracownikach. A to jest wiedza bezcenna. Szczygielski bardzo chętnie na to przystał. Umówiliśmy się, że przez te kilka dni, kiedy jeszcze nikt o mnie nie będzie wiedział, posprawdzam też dyskretnie papiery i spróbuję się dostać do komputera. Na wypadek, gdyby gość chciał zniszczyć jakieś dowody.

– On się spodziewał takiego obrotu sprawy? – spytałam.

– Chyba nie. Rachoń w ogóle czuł się tutaj bardzo pewnie, bo jest jakimś dalekim krewnym właściciela. Kiedy Szczygielski otworzył hotel, szukał kogoś zaufanego, kto by mu to miejsce poprowadził, i się zgadali, że Rachoń chętnie by na kilka lat w tropiki pojechał. Co prawda nie bardzo się znał na robocie, ale był swój. I przez jakiś czas udawało mu się tutaj całkiem nieźle funkcjonować. Ale ponieważ miał problem z alkoholem, zaczęło mu się wszystko rozjeżdżać na boki i widzisz, taki

efekt.

– Strasznie to wszystko ciekawe... – oświadczyłam, zachwycona. – A jak cię przyjęli pracownicy?

Sylwek nachylił się w moją stronę.

– Chętnie ci opowiem, ale powinienem teraz pójść na molo, pogadać z ludźmi ze szkoły kite'a i tymi od nurkowania, ustalić różne biznesowe kwestie. Może się ze mną przejdiesz?

W sytuacji kiedy nie miałam żadnej alternatywy, perspektywa spaceru z Sylwestrem wyglądała całkiem kusząco.

– Chętnie!

– To chodźmy! – podniósł się z miejsca. – Tylko po drodze wezmę dokumenty do podpisania.

Kiedy zatrzymaliśmy się przed drzwiami biura, Sylwek sięgnął do kieszeni i wyjął z niej pęk kluczy, przy których zakołysał się kolorowy breloczek w kształcie deski surfingowej. Gdzieś już widziałam podobny. Ale gdzie? Zmarszczyłam brwi, próbując sobie przypomnieć.

Sylwester chyba zauważył, na co patrzę, bo sam również z ciekawością przyjrzał się kluczom.

– Coś z nimi nie w porządku? – zapytał.

– Nie, skąd! – zaprotestowałam gwałtownie. – Breloczek masz fajny.

Sylwek wybrał jeden z kluczy, włożył do zamka i przekreślił. Klucze zabrzęczały, a mnie się w tym momencie przypomniało, skąd je znam.

To były te, które znalazłam w szafie u Sylwka pod ubraniami.

Przez chwilę docierała do mnie waga tej informacji. Czyli Sylwester miał klucze do biura od początku... Szczygielski musiał mu je dać jeszcze w Polsce, żeby mógł bezkarnie, według słów Sylwka, sprawdzać papiery i grzebać w komputerze. A więc miał też możliwość wejścia do biura, zgaszenia zewnętrznych lamp i zamordowania Blanki.

Poczułam, jak cała krew odpływa mi z twarzy.

Sylwester odwrócił się, żeby zaprosić mnie do środka.

– Zbladłaś... – zauważył, przyglądając mi się uważnie.

Przez chwilę staliśmy, patrząc na siebie. W jego oczach dostrzegłam niepokój.

– Wiesz co, chyba jednak sobie odpuszczę ten spacer – powiedziałam niepewnie.

Sylwester pokręcił stanowczo głową.

– Absolutnie nie! – zaprotestował kategorycznym tonem. – Idziemy, idziemy! Tylko się spakuję, moment.

I zaczął się kręcić po biurze, wrzucając do płóciennej torby z logo hotelu jakieś dokumenty i drobiazgi.

Przysiadłam na brzeжку krzesła, próbując się uspokoić. Przecież to, że Sylwek

miał klucze, jeszcze o niczym nie świadczy, tłumaczyłam sobie. Absolutnie o niczym. Przede wszystkim dlaczego miałyby zabijać Blankę? Nie miał motywu, więc...

Obserwowałam, jak się krząta. Odkąd zaczął pełnić funkcję dyrektora hotelu, ubierał się dużo wygodniej i bardziej na luzie. Idealnie wyprasowane polo zostało zastąpione przez T-shirt, a długie spodnie zamienił na szorty. Wygoda przede wszystkim. Był dokładny, szybki i kompetentny. I sympatyczny. I zdecydowanie nie wyglądał na mordercę. Idiotyczny pomysł.

A jednak...

Komórka, którą miałam w kieszeni, zaterkotała sygnałem Messengera. Wyjęłam ją i spojrzałam na ekran. Sikora? Znowu?

Po sekundzie wahania zrzuciłam go. Nie byłam z nim teraz w stanie rozmawiać.

Czy Sylwek zamordował Blankę?

Nie zdążyłam schować telefonu do kieszeni szortów, kiedy Sikora zadzwonił znowu.

Więc znowu go zrzuciłam, ale teraz też dla pewności wyciszyłam dźwięk. No bez przesady.

Pięć minut później wyszliśmy z Sylwestrem z hotelu. Cały czas biłam się myślami, czy iść z nim na ten spacer, czy nie. Z jednej strony przed chwilą okazało się, że może być mordercą. I choć on nie mógł wiedzieć, że ja wiem, to przebywanie z nim sam na sam nie było najlepszym pomysłem. Z drugiej strony – jeżeli nie spróbuję go pociągnąć za język, nigdy się nie przekonam, jak było naprawdę.

Zatrzymałam się u szczytu kamiennych schodów prowadzących na plażę. To był ostatni moment, żeby zawrócić. Mogłam powiedzieć, że się źle czuję, że mnie boli głowa, cokolwiek.

Sylwek, który pokonał już kilka stopni w dół, zatrzymał się i odwrócił w moją stronę.

– No chodź, chodź – pogonił mnie. – Chcę ci pokazać coś fajnego...

Odetchnęłam głęboko i... poszłam za nim.

Kiedy znaleźliśmy się na plaży, Sylwester wziął mnie delikatnie pod łokieć i skierował w prawo.

– A chodź pójdziemy tędy.

– Czy szkółka kite’owa nie jest tam? – machnęłam ręką w lewo.

– Jest – przyznał Sylwester. – Ale najpierw chciałem ci pokazać bardzo ciekawy i piękny fragment plaży. Założę się, że jeszcze tam nie byłeś.

Miał rację, do tej pory spaceru plażą odbywałam zawsze w kierunku północnym, wydawał się bezpieczniejszy i bardziej cywilizowany.

Ruszyliśmy. Jakiś czas temu rozpoczął się przypływ. Ocean był jeszcze daleko, ale wyraźnie się zbliżał. Pomyślałam, że kiedy będziemy wracać, będzie tuż przy plaży.

Kilkaset metrów przed nami z piasku wyrastały formacje skalne, które

podmywane przez ocean w kilku miejscach zapadły się, tworząc malownicze gruzowiska.

Widok był tak piękny, że na chwilę zapomniałam, po co tu jestem i wyjęłam z kieszeni szortów telefon, żeby zrobić zdjęcie. Na ekranie migały mi trzy nieodebrane rozmowy od Sikory oraz coś zaskakującego – wiadomość od matki. Otworzyłam czat. „Gdzie jesteś i kiedy wracasz?”.

Wszystko w tym komunikacie było dziwne. Po pierwsze fakt, że napisała do mnie na Messengerze, bo praktycznie w ogóle go nie używała. Po drugie dlaczego nagle po tygodniu zaczęła się interesować, co robię na urlopie? „Idziemy z Sylwestrem na spacer do skałek. Wracam za godzinę” odpisałam i w momencie, w którym stuknęłam w strzałkę, wysyłając odpowiedź, na ekranie pojawiła się twarz Sikory.

Pewnie powinnam go była rzucić, skoro zrobiłam to już wcześniej, ale jego upór mnie zaintrygował.

Sylwester, który wyprzedził mnie kawałek, zatrzymał się czekając, żebym do niego dołączyła.

Spojrzałam na niego, a potem na migający ekran komórki.

– Już, już, moment! – krzyknęłam do Sylwka i odebrałam rozmowę.

– Jacek, mam nadzieję, że to coś naprawdę ważnego, bo jestem na plaży i... – zaczęłam, ale Sikora mi przerwał:

– To jest Lis! – powiedział zachrypniętym z emocji głosem. – Ten facet to Lis.

Zatrzymałam się, wpatrując w ekran komórki i mrugając oczami, jakby miało mi to pomóc w zrozumieniu tego, co usłyszałam.

– Jaki facet? Jaki Lis? O czym ty mówisz?

– Magda, ogarnij się! – warknął Jacek. – Ten człowiek, który podszedł do ciebie na śniadaniu, nazywa się Lis i my go poszukujemy w związku z morderstwem w Grodzisku.

Popatrzyłam na Sylwestra, który stał kilkadziesiąt metrów dalej i machał na mnie ponagłająco.

– Jacek, z całym szacunkiem, ale opowiadasz bzdury – powiedziałam, ścisząc głos. – Gość się nazywa Sylwester Leśkiewicz, jest menagerem hotelu. Błagam, skąd ty bierzesz takie informacje?

– Pamiętasz, mówiłem ci o zegarku, który ukradł morderca. To był jedyny taki egzemplarz, zamówiony przez żonę na rocznicę ślubu dla męża w prezencie. Na tarczy są wygrawerowane dwa połączone symbole – fale i ryby, bo ona jest spod znaku ryb, on jest wodnikiem.

Z całej siły próbowałam sobie przypomnieć, czy tak rzeczywiście wygląda zegarek Sylwka, ale nie potrafiłam. Nigdy nie zwracałam na niego specjalnej uwagi.

– Przecież ja nie wiem, jak wygląda jego zegarek – jęknęłam.

– Ale ja wiem! Dostaliśmy od właściciela zdjęcia i wpatruję się w nie od tygodnia. Znam ten zegarek na pamięć. Kiedy rozmawialiśmy rano na czacie, a gość ci położył rękę na ramieniu, miałem tę tarczę centralnie przed oczami. Zrobiłem screenshot i sprawdziłem. Nie ma żadnych wątpliwości.

Przełknęłam ślinę.

– To co to będzie? Co ja mam teraz zrobić? – spytałam płacząco.

– Komenda Stołeczna uruchamia swoje kanały, mają powiadomić zanzibarską policję, gość zostanie aresztowany. To kwestia kilku godzin. A ty możesz zrobić tylko jedno: trzymać się od niego z daleka.

Podniosłam wzrok na Sylwestra i napotkałam jego uważne spojrzenie. Uśmiechnęłam się tak sztucznie, że poczułam ból szczęki. Sylwester odpowiedział uśmiechem i... ruszył w moim kierunku. Poczułam, jak mi po plecach spływa mokry pot.

Sikora musiał dostrzec w moich oczach panikę.

– Ożeż kurwa – jęknął. – Ty jesteś teraz z nim?

Potwierdziłam skinieniem głowy.

– Posłuchaj mnie. Nie możesz panikować. On nie wie, że ty wiesz, i to jest twoja przewaga. Powiedz mu, że właśnie dzwoniła twoja matka, złamała nogę czy coś i ty musisz szybko wracać. Jeżeli zachowasz spokój, nic ci nie zrobi.

Sylwester, czy raczej Przemek, był coraz bliżej.

– O Boże! Mamo! – krzyknęłam do telefonu, starając się jednocześnie wyglądać na wstrząśniętą i poruszoną. – Nie ruszaj się, zaraz będę!

I rozłączyłam się.

Sylwester zatrzymał się tak blisko mnie, że poczułam ostry zapach jego wody końskiej.

– Chciałem ci przypomnieć, że komórka nie ma kabla. I jak przez nią rozmawiasz, to możesz się poruszać – rzucił lekko.

Myślę, że miało to zabrzmieć jak żart, ale w moich uszach – nie zabrzmiało.

– Posłuchaj, straszne nieszczęście! – Dla większego dramatyizmu złapałam się za serce. – Moja mama się przewróciła i... i chyba złamała nogę!

– To faktycznie straszne – powiedział współczującym tonem i zrobił krok w moim kierunku. – Ale ja jestem dobrej myśli.

Kompletnie mnie nie obchodziło, jakiej on jest myśli.

– Muszę do niej biec! Natychmiast! – oznajmiłam stanowczo.

– A ja mam wrażenie, że to złamanie to nic poważnego.

Po co ty z nim w ogóle rozmawiasz? – skarciłam się. Trzeba stąd zwiewać, i to szybko. Ale coś w jego postawie mnie zaintrygowało.

– Dlaczego tak myślisz? – spytałam podejrzliwie.

W oczach Sylwestra pojawił się błysk rozbawienia.

– Bo gdyby było poważne, to twoja matka nie mogłaby chodzić – odpowiedział Sylwester, wpatrując się w jakiś punkt za moimi plecami.

Obejrzałam się, pełna złych przeczuc, i zobaczyłam matkę, kroczącą energicznie w naszym kierunku.

Zareagowałam instynktownie, co nie zawsze znaczy rozsądnie – rzuciłam się do ucieczki. To znaczy myślałam, że się rzucam, bo zdążyłam zrobić zaledwie krok,

kiedy poczułam, jak na moim ramieniu zaciskają się palce Sylwka. Złapał mnie i mocno szarpnął. Próbowałam się wyrwać, ale Sylwester wykręcił mi rękę boleśnie do tyłu, przyciągnął mnie do siebie i wyszeptał:

– Będziesz się stawiać, to cię zabiję. I twoją matkę też.

ROZDZIAŁ 32

Tręsząc się ze strachu i z bólu, obserwowałam zbliżającą się matkę. Miałam wrażenie, że moje ramię, które Sylwek cały czas mi dociskał do pleców, za chwilę wyskoczy ze stawu.

– Ta dam! Skończyłam książkę! – oświadczyła radośnie matka, zatrzymując się przy nas. – I bardzo chętnie sobie teraz z wami pospaceruję.

– Mamo... – zaczęłam, ale Sylwek pociągnął moją rękę jeszcze wyżej, powodując tak gwałtowną falę bólu, że jęknęłam.

– Madziu, co się dzieje? – zdziwiła się matka. – Panie Sylwestrze? – zwróciła się do Sylwka z nutą pretensji w głosie.

– Sprawy się nieco skomplikowały – wyjaśnił Sylwester spokojnie. – Czy może mi pani podać moją torbę? Tam leży.

Rzeczywiście, kiedy się szamotaliśmy, torba, którą miał ze sobą, zsunęła mu się z ramienia i upadła na piasek.

– Mamo, nie! – krzyknęłam, ale matka już się po nią zdążyła schylić.

Sylwester jednym ruchem wyrwał matce torbę i przytrzymując ucho zębami, wyciągnął z niej nóż do papieru, ten sam, który wcześniej widziałam w biurze. A potem szybkim ruchem przyłożył mi go do szyi. Poczułam ukłucie i chłód stali na skórze. Matka patrzyła na to zdezorientowana, co chwila otwierając usta i zamykając je.

– Czeka nas mały spacer. Tam, do tych skałek – wskazał ruchem głowy Sylwek. – Pani Zofia pierwsza – zarządził. – Już, już, nie mamy czasu.

– Panie Sylwestrze, to jest jakiś żart, prawda? – wydusiła w końcu z siebie matka. – Madziu, co tu się dzieje?

– Niestety pani córka wie coś, czego nie powinna wiedzieć – wyjaśnił Sylwester. – A to mi komplikuje sprawy.

– Nigdzie nie pójdziemy! – oświadczyła matka drżącym głosem. – Ma pan natychmiast wypuścić Magdę.

– Owszem, pójdziemy! – warknął Sylwek do matki, jednocześnie popychając mnie przed sobą. – I żadnych durnych akcji, bo córeczce poderżnę gardło.

Do tej pory takie sytuacje widziałam tylko na filmach. Z jednej strony złoczyńca,

przetrzymujący zakładnika i grożący mu śmiercią, z drugiej – policja, snajperzy, negocjatorzy. Sceny pełne napięcia, kiedy jako widz obgryzałam palce ze strachu.

Tylko że teraz, na tej cholernej plaży nie było żadnej drugiej strony – żadnego policjanta, negocjatora, nawet zwykłego turysty. Nikogo. Mogłam liczyć jedynie sama na siebie, a to nie wróżyło dobrze.

Oczywiście próbowałam stawiać opór, ociągałam się, potykałam i robiłam wszystko, żeby opóźnić dotarcie do skałek, ale możliwości miałam ograniczone. Sylwester prowadził mnie, cały czas wykręcając mi boleśnie prawą rękę i przykładając nóż do szyi. Był bardzo silny i bardzo brutalny.

– Jezu... – jęknęłam w pewnym momencie, kiedy za mocno przycisnął mi ramię.

– Sama jesteś sobie winna – skomentował to Sylwester. – Gdybyś nie węszyła, nie wtykała nosa w nie swoje sprawy, nic by się nie stało.

– Skąd wiedziałeś, że wiem? – Bardzo chciałam poznać odpowiedź na to pytanie, zanim... no wiadomo zanim co.

– Banał – parsknął. – Zauważyłem, jak się wgapiasz w moje klucze. A Szczygielski mówił mi wcześniej, że według ciebie mordercą jest ktoś, kto w nocy wszedł do biura, żeby wyłączyć oświetlenie. Tylko nie mogłem skumać, skąd wiesz, że te klucze miałem od początku. I nagle mi się przypomniało, że mi ktoś grzebał w rzeczach. Zauważyłem właśnie po kluczach. Schowałem je między drugim a trzecim T-shirtem od dołu, a leżały potem między trzecim a czwartym. Myślałem, że to robota sprzątaczkii, a to węszyła nasza pani detektyw. Więc jak tak patrzyłaś na te klucze, zacząłem podejrzewać, że się zorientowałaś, ale pewny nie byłem. Aż do tego idiotycznego kłamstwa z nogą mamuśki. Przeszłaś samą siebie.

Kiedy doszliśmy do skałek, zrozumiałam, dlaczego nas tutaj przyprowadził. Woda wyźłobiła w skałach groty, widoczne tylko od strony oceanu. Niektóre z nich były naprawdę głębokie...

Sylwester chciał mnie wprowadzić do jednej z nich, ale zatrzymałam się gwałtownie. Czułam, że jeżeli wejdę dalej, nikt i nic już nam nie pomoże.

– No idź!

Zapałam się piętami w piasek.

– Kurwa! – docisnął mi rękę do pleców. Krzyknęłam z bólu i upadłam na kolana.

– Wstawaj! – warknął Sylwek i szarpnął mnie w górę.

Poczułam piekący ból z prawej strony szyi. To czubek noża, który Sylwester cały czas przyciskał mi do ciała, przebił skórę.

Matka patrzyła przerażona, jak Sylwek mną szarpie. Myślę, że próbowała ocenić swoje szanse, gdyby odważyła się na niego rzucić. Czy raczej – moje szanse.

– Błagam, niech ją pan wypuści, a zostawi mnie – odezwała się zachrypniętym głosem. – Błagam...

Sylwek parsknął śmiechem. Wyglądał na naprawdę rozbawionego.

– Nie wierzę. I ty piszesz, kobieto, kryminały? Przecież ja nie potrzebuję zakładnika. Ja potrzebuję się was pozbyć.

Popchnął mnie tak mocno, że wylądowałam we wnętrzu groty.

– Trzeba mnie było zabić w biurze! – krzyknęłam, próbując się podnieść.

Sylwester uklęknął przy mnie i znowu przyłożył nóż do mojej szyi. Drugą ręką ściągnął torbę z ramienia i wysypał z niej zawartość. Oprócz teczek z dokumentami, na piasek wypadło kilka szerokich rolek taśmy klejącej.

– Naprawdę wolałabyś już nie żyć? – zakpił. – Nie zabiłem cię, bo nie byłem do końca pewny, ile wiesz. Poza tym w biurze nie ma jak ukryć ciała. To by było działanie doraźne i mało perspektywiczne, a ja staram się zawsze przewidywać na dwa ruchy do przodu. Dlatego postanowiłem wykorzystać ten spacer, na który już się wcześniej przecież zgodziłaś. Wystarczyło się tylko odpowiednio przygotować. – Pokazał na rolki taśmy. – Chciałem sprawdzić, czy faktycznie się domyśliłaś, że to ja zabiłem Blankę. Nie przypuszczałem, że dołączy szanowna pani Zofia.

Rzucił matce taśmę.

– Owijaj ją – rozkazał. – Najpierw stopy i kostki.

Matka podeszła do mnie na miękkich nogach. Nigdy nie widziałam jej tak przerażonej. Nigdy nikogo nie widziałam tak przerażonego. Wzięła taśmę i próbowała odkleić końcówkę, ale tak jej się trzęsły ręce, że nie była w stanie.

– Akurat z mojej mamy to ty się chyba powinieneś ucieszyć. Przecież lubisz starsze panie... – zauważyłam zjadliwie.

Wyprostował się gwałtownie.

– Skąd to, kurwa, wiesz?

Czułam, że Sylwester dopiero teraz naprawdę się zdenerwował. Myślał, że wiem tylko o Blance.

– Mój kolega policjant cię rozpracował – odpowiedziałam z satysfakcją. – I miałeś pecha, bo jak dziś rozmawialiśmy na czacie, zobaczył twój zegarek. Ukradziony z Grodziska. Policja na Zanzibarze też już wie. Nie uciekniesz, nie masz szans.

– Wiąż ją, no już! – wrzasnął na matkę.

Przesunął się, żeby zrobić jej miejsce. Matka uklękła na piasku i przystąpiła do oklejania moich kostek taśmą. Całe szczęście, że przed wyjazdem wydepilowałam sobie łydki, bo gdybym tego nie zrobiła, zdejmowanie taśmy byłoby koszmarem. Szybko jednak uświadomiłam sobie, że raczej to nie ja będę z siebie tę taśmę ściągać, tylko koroner, więc nawet gdybym tam miała loki, i tak bym nic nie poczuła. W jakimś sensie pocieszające.

– Mocniej! – denerwował się Sylwek. – I kilka razy w jednym miejscu. Na grubo ma być.

Usiadł na piasku na tyle blisko, żeby móc jednocześnie kontrolować mnie i matkę.

– Nie znoś ich – odezwał się nagle ze złością. – Tych z Grodziska. Traktowali mnie z góry. Niby udawali, że mnie lubią, zapraszali na obiady, wciskali ciuchy, ale zawsze mi dawali odczuć, że jestem gorszy. Bo biedniejszy. Jak tak na nich patrzyłem, to sobie obiecałem, że żeby nie wiadomo co, będę kiedyś spał na kasie. Zrobiłem studia, zacząłem pracować w biurze maklerskim, szło mi nieźle, bo się nie bałem ryzyka. Wstawałem rano i mówiłem sobie: „Kto będzie dzisiaj najlepszy?”. I wygrywałem, cały czas wygrywałem. Aż raz coś nie wyszło. Potem znowu.

A ponieważ sporo ryzykowałem, przegrane też były znaczne. Musiałem pożyczyć pieniądze, żeby pokryć straty. Myślałem, że się szybko odkuję i oddam, ale... No nie udało się. A ludzie, od których pożyczałem, stracili cierpliwość. Musiałem uciekać.

Przerwał na chwilę, żeby skontrolować, czy matka przykłada się do roboty. Chyba nie miał zastrzeżeń, bo wrócił do swojej opowieści.

– Wiedziałem, że dom w Grodzisku stoi pusty, pełen kasy, a jedyną przeszkodą będzie staruszka, wystarczyło ją unieszkodliwić. Tylko tych pieniędzy wcale nie było tak dużo. Kupiłem za nie paszport i niewiele zostało. Zacząłem się rozglądać za jakimś miejscem, gdzie mógłbym się ukryć i nie głodować. Wpadło mi w oko ogłoszenie o posadzie dla menagera w Karibu – ciągnął Sylwester. – Nie miałem doświadczenia, ale urok osobisty owszem. Okręciłem sobie Szczygielskiego dookoła palca, bo to akurat bardzo dobrze potrafię, i wszystko byłoby idealnie, gdyby nie Blanka.

Skurwiel, pomyślałam. Najlepiej zwalić wszystko na nieboszczkę.

Mimo wściekłości, która narastała we mnie jak para pod przykrywką czajnika, zapytałam obojętnie:

– Znaliście się wcześniej?

– Ja jej nie znałem, ale ona znała mnie. W naszym biurowcu była restauracja dla pracowników, tam mnie podobno kilka razy widziała. No i pechowo zapamiętała. W dodatku ktoś jej powiedział, kim jestem.

– Przypomniała sobie ciebie, kiedy stałeś przy bufecie – uświadomiłam mu.

– Wiem. Zaczepiła mnie na farmie przypraw i zaczęła coś tam pieprzyć, że świat jest mały i że to zabawne, że na siebie wpadliśmy. Powiedziałem jej, że się musiała pomylić, ale ona dalej się upierała przy swoim. Bałem się, że jak przyjedzie Szczygielski, wszystko mu o mnie wypaple. Wystarczyłoby, żeby mu podała moje prawdziwe nazwisko, i leżę. Na to nie mogłem pozwolić.

– Więc kupiłeś węża...

– O tym też wiesz? – popatrzył na mnie z czymś w rodzaju szacunku. – Tak, kupiłem węża od jakiegoś dzieciaka na farmie, potem wpuściłem go jej do domku. Niestety, to była nieudana próba. Następnej już nie mogłem spieprzyć.

Przyjrzał się krytycznie moim obklejonym taśmą nogom.

– Poczekaj! – zatrzymał matkę.

Przytrzymał mi ręce z tyłu.

– Teraz nadgarstki – rozkazał.

Każdy kolejny kawałek taśmy coraz bardziej mnie unieruchamiał. A matka pod okiem Sylwestra musiała się porządnie przykładać do pracy.

– Tamtego wieczoru zobaczyłem, że Blanka idzie nad basen – wrócił do przerwanej historii. – Byłem pewny, że popływać. To była superokazja, żeby sfingować utonięcie. Pobiegłem do biura, wyłączyłem światło, wróciłem nad basen, a ta siedzi na leżaku i grzebie w telefonie. Więc chwyciłem drewniany taboret, walnąłem ją nim od tyłu w głowę. Straciła przytomność. Ściągnąłem z niej szlafrok, wrzuciłem ciało do wody i przytrzymałem... Zanzibarska policja od razu przyjechała, że

to wypadek. Ale wtedy musiałaś wkroczyć ty. Z tymi tekstami, że ona się bała wody, bla, bla, bla. Trzeba było bić pianę? To teraz masz.

Otworzył nową rolkę taśmy, odsunął ode mnie matkę i sam przystąpił do pracy. Szybkimi, sprawnymi ruchami okleił mi ramiona, aż do szyi. Warstwa za warstwą pokrywał mnie pancerzem z taśmy. Po chwili wyglądałam jak gigantyczny, srebrny kokon. Nie mogłam zrobić żadnego ruchu, wszystko mnie swędziało i piekło.

– No, to jedna gotowa – stwierdził zadowolony. A teraz nasza szanowna autorka kryminałów. Pani Zofio, zapraszam – wykonał dworski ruch ręką.

Nie spodziewał się żadnego oporu z jej strony, więc musiał się zdziwić, kiedy matka najpierw z całej siły kopnęła go w krocze, a kiedy zgął się z bólu, chwyciła go za włosy i uderzyła jego twarzą o swoje kolano. Miałam nadzieję, że złamała mu nos.

Przez sekundę myślałam, że udało jej się go pokonać. A potem Sylwester podniósł głowę. Jego nos miał się świetnie, a to, co miało być poważną kontuzją, okazało się pierdnięciem śledzia. Jedyнным efektem, jaki wywołała matka tą szarżą, był wkurw Sylwka.

Rzucił matkę na piasek, aż jęknęła, zaczął ją owijać taśmą i po chwili zamienił, tak jak mnie, w nieruchomą mumię.

Wyprostował się, obrzucił nas kontrolnym spojrzeniem i stwierdził z satysfakcją:

– Dobra robota.

Spomiędzy wyrzuconych z torby rzeczy wyłowił dwa małe ręczniki frotté. Uklęknął przy mojej twarzy.

– Białe czy kremowe? – spytał, prezentując mi ręczniczki.

– Sylwek, proszę... – głos mi drżał, a łzy spływały po policzkach i szyi. – Ja mam dzieci. Błagam. Nie rób tego.

– O dzieciach mogłaś pomyśleć wcześniej – zwrócił mi uwagę. – Białe będzie ci pasował idealnie. Dawaj gębę.

Jedną ręką przytrzymał mnie za włosy, drugą brutalnie wepchnął mi materiał w usta. Natychmiast zaczęłam się dusić. Myślałam, że to już koniec, dopiero po chwili udało mi się uspokoić i zacząć oddychać nosem.

Sylwek następnie zakneblował moją matkę

– Pewnie się zastanawiacie, dlaczego was po prostu nie zadźgam? – zapytał prawie pogodnym tonem. – No cóż, nie lubię krwi. Na szczęście metoda, którą dla was wybrałem, jest równie skuteczna. Jak ją nazwiemy? – zastanowił się. – Może na nurka? Albo na syrenę? Ocean będzie tutaj za jakieś pół godziny. Miłego snorkelingu. Pa!

I wyszedł.

ROZDZIAŁ 33

Podobno kiedy człowiek umiera, przelatuje mu przed oczami całe życie. Mnie natomiast przed oczami przelatywało wnętrze Kobyły, wielkiej, topornej szafy, która zajmowała połowę górnego holu i stanowiła główną powierzchnię magazynową w naszym domu. Przed wyjazdem obiecałam sobie, że jak tylko wrócę, zrobię w niej gruntowny porządek, bo bałagan tam narósł nieziemski, ale oczywiście nie zdążyłam i teraz czuję straszny wstyd, że po mojej śmierci ktoś ją otworzy i sobie pomyśli, że byłam bałaganiarą, a przecież nie byłam, tylko z tą Kobyłą jakoś tak wyszło.

Nad tym, jak zareagują Kaja i Kuba, wołałam się nie zastanawiać, bo na sto procent zaczęłabym wtedy płakać, a płacz kiedy jest się zakneblowanym, to najgorsze, co się może zdarzyć. Poza zalaniem wodą oceanu, oczywiście.

A jednak myśl o dzieciach obudziła we mnie nagłą potrzebę walki. Poczułam, że nie mogę się poddać, bo to byłby egoizm najwyższej klasy.

Zakres ruchów, jakie mogłam wykonywać, był minimalny, w dodatku każdy okupiony był bólem skrępowanych zbyt mocno mięśni. Mimo to powoli, bardzo powoli zaczęłam manewrować ciałem. Podciągając pod siebie kolana i posuwając się ruchem gąsienicy, milimetr po milimetrze przemieszczałam się w kierunku matki. W ten sposób, po ładnych kilkunastu minutach, moja twarz znalazła się na wysokości jej nóg.

Przed moimi oczami znalazła się zadbana stopa o paznokciach w kolorze intensywnej czerwieni. Otarłam się policzkiem o duży palec, a matka, czując łaskotanie, odruchowo cofnęła stopę. Powtórzyłam to raz, potem drugi. Dopiero za trzecim razem udało mi się zaczepić o palec brzegiem knebla.

Matka uniosła odrobinę głowę, a kiedy zobaczyła, co zamierzam, zaczęła mi pomagać, próbując uchwycić ręcznik palcami stóp. Po kilku próbach jej palce zacisnęły się na materiale, ja cofnęłam głowę i knebel wyskoczył z moich ust jak korek z butelki.

Złapałam kilka haustów powietrza, które natychmiast podrażniło moje gardło i spowodowało gwałtowny kaszel. Dopiero po chwili byłam w stanie coś powiedzieć.

– Zaraz ci pomogę! – wychrypiałam. – Idę do ciebie!

Była to zdecydowanie deklaracja na wyrost, bo moje tempo poruszania się z chodem nie miało nic wspólnego. Jednak po kilku minutach bolesnego wysiłku moja twarz znalazła się na wysokości czerwonej jak burak twarzy matki. Sylwek musiał

włożyć jej knebel jeszcze głębiej niż mnie, bo najwyraźniej się dusiła. W jej wytrzeszczonych oczach zobaczyłam autentyczny strach.

– Już, mam, już!

Chwyciłam zębami róg ręcznika, który wypełniał jej usta, i zaczęłam go szarpać i ciągnąć. Nagle poczułam, że kłęb materiału zaczyna się rozluźniać. Jeszcze jedno ostatnie szarpnięcie i knebel matki znalazł się na piasku.

– Boże, dziękuję... – wyszeptała z ulgą i wdzięcznością. A potem wzięła kilka głębszych oddechów i oświadczyła: – Ale nas wpackowałaś w bagno.

Leżałam tak blisko niej, że kiedy mówiła, jej oddech poruszał moją grzywkę. Być może w innych warunkach nie podejmowałabym dyskusji, ale teraz musiałam się jakoś bronić, bo niesprawiedliwość była rażąca.

– Mamo, co ty mówisz? Ja? Chyba Sylwester!

– Gdybyś się wcześniej zorientowała, że on się zorientował...

– A ty mu mogłaś nie podawać noża!

– Nawet nie próbowałaś mu się wyrwać!

– Musiałaś mnie tak mocno wiązać? Musiałaś?

Kiedy już wyrzuciłyśmy z siebie wzajemne pretensje i emocje trochę opadły, rzeczywistość przypomniła o sobie lekkim chłodem, który nas ogarnął od dołu.

– Czujesz to? – spytałam, próbując przekrzywić głowę tak, żeby zobaczyć dno jaskini.

– Czuję – przyznała niechętnie matka. – Czy to jest to, o czym myślę?

– Tak.

Piasek właśnie zaczęły delikatnie lizać pierwsze fale przyływu.

– Jeżeli czegoś nie zrobimy, to nas zaleje – stwierdziłam ponuro.

– Krzyczymy?

– To na trzy cztery. Ratunku!

Przez chwilę darłyśmy się tak obie na cały głos. Zaschło mi w gardle i dźwięczało w uszach od hałasu, poza tym żadnych efektów nie osiągnęłyśmy.

Po kilku minutach opadłyśmy z sił.

– Ile mamy czasu? Jak myślisz? – z każdą minutą bałam się coraz bardziej.

– Nie znam się na przyływach. Pół godziny, może kwadrans? Kto wie?

Woda w jaskini podniosła się na tyle, że zaczęła łaskotać mi kark.

– Nikt nas tutaj nie znajdzie – szepnęłam. – Nie mamy szans.

Moja słabość natychmiast zirytowała matkę.

– Przestań jęczeć! Może od wody rozmięknie ta taśma?

– Ona jest plastikowa – przypomniłam jej.

– Skoro udało ci się przysunąć do mnie, może powinniśmy się czołgać do wyjścia? – zaproponowała.

Niestety, woda wypełniająca grotę sprawiła, że piasek, który wcześniej dawał ciału oparcie, teraz pod naciskiem ugiął się i rozpląwał, uniemożliwiając jakikolwiek ruch do przodu.

Wyglądało na to, że Sylwester doskonale wiedział, co robi, zostawiając nas tutaj. Leżeliśmy obok siebie, a woda powoli wspinała się coraz wyżej i wyżej...

– Mam termin na marzec – oświadczyła nagle matka.

– Słucham?

– Termin oddania książki mam na marzec.

W tej dramatycznej scenerii wyznanie matki zabrzmiało szokująco.

– To dlaczego cały wyjazd spędziłaś przy komputerze? – jęknęłam.

Matka odchrząknęła.

– No niezupełnie cały. Jak ty wychodziłaś, czytałam sobie książki albo szłam na plażę...

– Co ty mówisz, mamo?

– Najpierw, jak Bogdan zaproponował, żebym cię ze sobą zabrała, ucieszyłam się. Naprawdę. Chciałam, żebyś sobie odpoczęła, przewietrzyła się. Po rozwodzie było ci to bardzo potrzebne. Ale im bliżej wyjazdu, tym większe zaczynałam mieć wątpliwości. Tak dawno nie spędzałyśmy czasu ze sobą. Nie wiedziałam, jak nam się będzie razem funkcjonowało. A najbardziej to się bałam, że znowu mi się włączy opcja matki.

– Ale przecież ty jesteś moją matką – szepnęłam.

– No jestem, ale długo walczyłam, żeby się od tego mentalnie uwolnić.

Moja matka walczyła o to, żeby się uwolnić od bycia moją matką? Dowiedzieć się czegoś takiego tuż przed śmiercią to sztos.

– Chodzi mi o to, że twórczość wymaga poświęceń – ciągnęła. – Żeby pisać, musiałam zabić w sobie wszystkie inne osoby, że się tak wyrażę. Personę matki, babki, teściowej...

Co prawda według Tomasza persona teściowej pozostawała u matki w pełnym rozkwicie, ale uznałam, że nie warto jej tego uświadamiać.

– Nie da się jednocześnie pisać i uprawiać życia rodzinnego, niestety. Dużo mnie to kosztowało, no ale wiesz, musiałam na coś postawić. Kiedy byłam żoną twojego ojca, czułam się taka... nieistotna. Dopiero pisząc, odnalazłam siebie. Tak jakby... na nowo się zdefiniowałam?

Czy miałam prawo mieć pretensje do mojej matki, skoro sama znalazłam się teraz w bardzo podobnej sytuacji? I wiedziałam, że dokładnie to mnie czeka: próba zdefiniowania się na nowo. Której tak bardzo się bałam...

– Generalnie rozumiem – powiedziałam ostrożnie. – Ale po co ci był ten cyrk z terminem książki?

– Przestraszyłam się, że jak będziemy razem spędzać czas, to mi się to spodoba i znowu wejdę w buty matki, rozumiesz?

– Nie mogłaś po prostu powiedzieć, że chcesz spędzać czas sama? Przecież ty jesteś asertywna...

– No ale gdybym tak ci powiedziała, to by ci było przykro.

– A teraz myślisz, że mi nie jest?

– Nie zamierzałam ci mówić. Tylko Boguś dzisiaj zadzwonił i mnie złążał, i kazał się przestać wygłupiać. To dlatego. No i może też z powodu okoliczności...

No właśnie, okoliczności... Rozmowa odciągnęła naszą uwagę od tego, co się działo dookoła nas. A nie działo się dobrze, bo nagle w okolicy ucha poczułam delikatne łaskotanie. To oznaczało, że woda się podnosi.

– Mamo, musimy krzyczeć! – jęknęłam, przerażona. – Ratunku! Ratunku! *Help!*

Wody w grocie było coraz więcej i więcej, a my krzyczałyśmy i krzyczałyśmy, i krzyczałyśmy, powoli tracąc głos i nadzieję, której i tak nie miałyśmy zbyt wiele.

I nagle gdzieś od strony morza coś usłyszałam. Jakby... śmiech.

– Mamo, słyszysz? Ktoś tam jest? – wychrypiałam, bo gardło miałam kompletnie zdarte. – Tutaj! Tutaj! – zaczęłam krzyczeć znowu. – Pomocy! *Help!*

Głosy zbliżały się. Z trudem uniosłam głowę, żeby widzieć wejście do groty. Czy to możliwe, że wpadające do środka światło coś przysłoniło? Czyjaś sylwetka? Niewielka i jakby znajoma?

– Tatuś, chodź tutaj. Tu ktoś leży! – usłyszałam głos małego Dukaja.

A potem głos jego ojca.

– O Boże...

Akcja ratunkowa przebiegła zaskakująco sprawnie. Syn Dukaja miał przy sobie scyzoryk, za pomocą którego dość szybko udało się nas uwolnić. Przy okazji wyszło na jaw, że depilacja, której poddałam się przed wyjazdem, nie była aż tak dokładna, bo kiedy Dukaj zdierał z nas taśmę, miałam wrażenie, że robi to razem ze skórą.

Kiedy opuszczaliśmy grotę, wody było już po kolana. Jeszcze kwadrans i nie byłoby co zbierać.

Okazało się, że Dukaj zabrał całą trójkę swoich dzieci na spacer, żeby dać Monice odpocząć, chyba po naszej ostatniej rozmowie ruszyły go wyrzuty sumienia. Czasami jednak warto wetknąć nos w nie swoje sprawy.

Jeszcze z drogi, używając telefonu Dukaja, zadzwoniliśmy do właściciela hotelu, który natychmiast skontaktował się z miejscową policją, ale tak, jak przewidywałam, Sylwestra już w hotelu nie było. Mogłyśmy jedynie liczyć na to, że go złapią na lotnisku.

Drugi telefon wykonałam do Sikory, który przez ostatnią godzinę odchodził od zmysłów. Kiedy mnie zobaczył na połączeniu wideo, popłakał się.

Po powrocie do naszego bungalowu matka natychmiast otworzyła komputer i zadzwoniła do Bogusia, potem ja spróbowałam się skontaktować z dziećmi, ale ich oczywiście nie było. Udało mi się do nich dodzwonić dopiero wieczorem. Starłam się zachowywać normalnie, rozmawiając z nimi o śniegu, nartach i kiełbaskach z musztardą, które zjedli na kolację, i Kubie smakowały, a Kai nie. Wyczuli jednak, że jestem wzruszona, zaczęli nawet dopytywać, czy coś się stało, ale bez problemu ich zbyłam. Zrobiłam sobie za to screenshota ekranu z ich uśmiechniętymi twarzami i nie pytając matki o zdanie, ustawiłam jej z tego zdjęcia tapetę. Z dedykacją dla osoby

babki.

Wieczorem spotkałyśmy się z Wojtkiem na kolacji. Nie mógł uwierzyć w to, co się stało, ale kiedy powtórzyłam mu, czego się dowiedziałam od Sylwestra, przyznał, że rzeczywiście wszystkie elementy tej układanki pasują do siebie idealnie.

Podszedł też do nas Szczygielski, głęboko poruszony całą sprawą, i zaoferował i nam, i Wojtkowi w prezencie bezpłatny pobyt w Karibu w dowolnym terminie, na dowolnie długi czas. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek wykorzystała to zaproszenie.

Kiedy wróciłyśmy z restauracji i matka otworzyła komputer, żeby jeszcze raz zadzwonić do Bogusia, na Skypie odezwał się Walczak. Nie odebrałam. Nie miałam żadnej koncepcji, o czym z nim rozmawiać. Bo nie zamierzałam się z nim dzielić moją dzisiejszą historią. W żaden sposób go nie dotyczyła. A ponieważ w tym najbardziej dramatycznym momencie mojego życia nie pojawił się moich myślach nawet przez moment, znaczyło to, że nie jest na tyle ważny, żeby z nim o tym rozmawiać.

Usypiając, myślałam znowu o tym, co powiedziała matka. Czyli o definiowaniu siebie na nowo. Przez trzynaście lat definiował mnie Tomasz. Najlepsze, co mogłam teraz dla siebie zrobić, to nie pozwolić, żeby znowu zacząć się definiować przez mężczyznę. Jakiegokolwiek mężczyznę. Nawet tak przystojnego jak Walczak.

KONIEC

OFICYNKA ZAPRASZA WSZYSTKICH MIŁOŚNIKÓW DOBREJ LITERATURY!

Znajdziecie Państwo u nas książki interesujące, wciągające, służące wybornej zabawie intelektualnej, poszerzające wiedzę i zaspokajające ciekawość świata, książki, których lektura stanie się dla Państwa przyjemnością i które sprawią, że zawsze będziecie chcieli do nas wracać, by w dobrej atmosferze z jednej strony delektować się warsztatem znakomitych pisarzy, poznawać siłę ich wyobraźni i pasję twórczą, a z drugiej korzystać z wiedzy autorów literatury humanistycznej.



Księgarnia Oficynki www.oficynka.pl

e-mail: oficynka@oficynka.pl

tel. 510 043 387



OFICYNKA
WYDAWNICTWO

SPIS TREŚCI:

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © Oficynka & Katarzyna Gacek, Gdańsk 2021

Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze w języku polskim, Gdańsk 2021

Redakcja i korekta: zespół

Projekt okładki: Studio Karandasz

Zdjęcia na okładce: © Julia Volk/Pexels; Charlie's/Adobe Stock;
Yeti Studio/Adobe Stock

ISBN 978-83-66899-70-4



www.oficynka.pl

email: oficynka@oficynka.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek